

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie (52 tomy) rs. 10
Półrocznie (26 tomów) „ 5
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie. (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . . (za 52 tomy) rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów). „ 3 —
Kwartalnie (za 13 tomów). „ 1 — 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Świącicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47. — Telefonu 554.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska N 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

N 90.

NOVELLE.

Macieja Wierzbńskiego,

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.



Maciej Wierzbński

Cena 40 kop

W prenumeracie 30^{ty}, k

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja:

42. Nowy-Swiat 12.

1899.

№ 64 5.
Maciej Wierzbinski.

NOWELLE.

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.

Błazen. — Przekupień myśli i gazet. — Ironie życia. — Gen- tleman John. — Dora.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Іюня 1899 года.



K-114/77/83467

Maciej Wierzbński.

Przedstawiamy dziś czytelnikom „Biblioteki dzieł wyborowych“ nową siłę literacką, znaną dotąd w kraju bardzo mało. Tę siłę wydała ziemia poznańska, uboga w talenty artystyczne.

Maciej Wierzbński, syn Władysława, zasłużonego publicysty i pośła poznańskiego, łączy w sobie dwa zajęcia, odpychające się zwykle nawzajem: jest kupcem i literatem. Kupiectwo daje mu chleb powszedni, a literatura zadowolenie wewnętrzne.

Nauki początkowe pobierał Wierzbński, liczący obecnie około lat trzydziestu, w swoim mieście rodzinnem, w Poznaniu. Gimnazjum kończył w Opolu, na Szląsku, studia uniwersyteckie odbył w Berlinie, na wydziale prawnym.

Jego pierwsza młodość przypada na chwilę, w której Poznań postanowił być praktycznym. Wszelkie muzy, wszelką działość Apollina skazano około r. 1870 nad Wartą na banicję, wypędziwszy je bez litości z miasta Libeltów, Morawskich, Raczyńskich i tak dalej.

Echa głosów działaczy publicznych docierały

aż do cichych sal szkolnych, w których młodzież czerpała światło i poglądy idealne na życie i jego cele ze starych klasyków greckich i rzymskich. Słowem: bank, giełda, kupiec, inżynier, przemysłowiec, sto tysięcy, milion i t. d., padaly na świeże wyobraźnię dzieci, obrzydzając im nieopłacający się trud nad książką.

— Na co wam ta mitrega wieloletnia, która nie przynosi, kiedy możecie w czasie daleko krótszym zdobyć byt wygodny, pracując na domiar użytecznej dla kraju? Na co nam ludzie z wykształceniem humanistycznym? Niepraktyczni to ideologowie.

W ten sposób przemawiała do kształcącej się młodzieży rodzina i prasa.

Więc rzucał jaki taki książkę i szedł między kupców. A kto skończył szkoły, ten udawał się do akademij inżynierskich, budowniczych lub innych zakładów technicznych.

Wir ten porwał i uniósł Macieja Wierzbińskiego. Aczkolwiek czuł on pociąg do pióra bardzo wcześniej, bo już na ławie szkolnej napisał dwie nowelle p. t. „Grusza na pustkowiu,” i „A jednak pokochał” (drukowana w poznańskim „Tygodniku dla kobiet”), mimo to, przerzucił się z wydziału prawnego do handlu. Odbyszy praktykę kupiecką w Antwerpii, przeniósł się do Anglii, do Londynu, gdzie przebywa dotąd jako reprezentant fabryk francuskich i amerykańskich.

Zajęcia handlowe wytrąciły z rąk Wierzbińskiego na czas dłuższy pióro, dopiero lat temu cztery, w r. 1895-ym, przypomniał on sobie upodobania pierwszej młodości i zaczął znów pisać, lecz na ra-

zie prawie wyłącznie po angielsku. W lipcu roku 1896 wydrukował w miesięczniku *The Savvy* nowelę p. t. *The Clown*, w r. 1897 dwie nowele w miesięczniku *The Sonate*. Od roku jest on stałym literacko-artystycznym felietonistą tygodnika *The Sunday Special*.

Równocześnie pomieszczał Wierzbiński w piśmie warszawskich i poznańskich najpierw korespondencye i sprawozdania literackie, a następnie nowele.

Przepędziwszy lata najwrażliwsze, bo dojrzałą młodość, za granicą, w Niemczech, Belgii, Francji i w Anglii, nie mógł się Wierzbiński przypatrzeć okiem obserwatora naszemu życiu i naszym typom. Oderwany, odcięty od pnia ojczystego, zżył się ze społeczeństwem obcym, głównie angielskiem, i z tego też społeczeństwa czerpie pomysły do swoich obrazków i nowel.

Uważamy sobie za obowiązek ułatwić utalen-towanemu ziomkowi, rzuconemu okolicznościami na obcy grunt, wstęp do literatury polskiej. Może go ta jego pierwsza książeczka, wydana w kraju, zachęci do dalszej pracy na niwie piśmiennictwa ojczystego.

Teodor Jeske-Choiński.

BLAZEN.

Ha-lala-i-ti! — zapiął kogucim głosem błazen przy wyjściu z areny.

Potężny, przyprawny nos, fioletowej barwy, wystawał, jak ogórek, na mięsistej twarzy, biały, workowaty kostium, nakrapiany czarnymi kulami, zawiązał się i powiewał wokoło jego kształtów, a maleńki kapelusz w formie cylindra, na bakier zwieszony, tańczył za każdym ruchem nerwowo na gumce przy rudym czubie peruki. Ramiona niby śmigły wiatraka zakreślały w powietrzu koła, gdy składał pożegnalny ukłon, łamiąc się wpół, lecz potem raz jeszcze zbliżył się do swego lilipuciego karego kucyka, który prawie nieustannie kiwał łebkiem, targnął go za ogon, uniósł w górę, kazał mu przykleknąć, aż z powtórzeniem: „ha-lala-i-ti!” zanurzył bałwochwalczo koniec peruki w piasku i znikł z przed oczu widzów wśród gromkich oklasków.

Po krótkiej pauzie rozległ się dźwięk dzwonka i tęgi siwek, ubarwiony szkarłatną uzdą i płytą na grzbiecie, wypadł cwałem z po za kotary, a za nim lekka, jak puch, piękność cyrkowa w baletowym stroju wzbijała się wysoko w susach wpośród grupy wygalowanych masztalerzy i hałaśliwych kłownów z gaza powleczonej obręczami.

Tymczasem w stajniach zapanowała cisza. Niekiedy tylko szelest tratowanej kopytami słomy, brzęk łańcucha lub parsknięcie konia przerywało senny spokój. W półświatle zrzadka rozsianych laterek,

widniały niewyraźne najróżniejszej krwi konie: nikły blask drgał na lśniących grzbietach gniadych i ciemnokasztanowatych wierzchowców, posrebrzał mleczne grzywy dostojnych arabów i kładł się jasnymi plamami na silnych słoniowych nogach gigantycznych perszeronów. Po za tą pstrą galerią zaś drzemały w mniejszych ogrodzeniach osły, kozy i psy, w poczet czworonożnych artystów cyrkowych wchodzące.

Nagle zabrzmiał głos błazna: „Dzielny Fifi! I promień życia wtargnął do mrocznej szopy z odgłosem stapań i stukiem drobnych kopyt kuczka, który podreptał z wolna do swej przegrody, a wszedłszy, czekał, aż pan jego, zdjawszy nos i minimalny cylinder, nie podrzuci mu wiązki siana. Jakby nie mogąc jej się doczekać, zaczął trącać go nozdrzami, trzeć swe uszy o jego nogę z pieczytliwością kotka, spragnionego towarzystwa.

Gdy konik, powitawszy siano parsknięciem, zabrał się do zasłużonej wieczerzy, kłown, podparłszy się pod boki, spoglądał długo z pewną dumą na maleńkie, jak cacko stworzenie, zbudowane harmonijnie, co zaledwie sięgało powyżej jego kolan. I klepał go po muskularnym karku, muskał aksamitne krucze włosie, mrucząc pod nosem:

— He? smakuje ci? Grubas!... Krzywdy nie masz, co?...

Wreszcie usiadł na wiadrze wywróconem dnem do góry, rozpiął biały strój pod szyją, rozsunał kryzę i czerwoną chustą przetaił oblicze. Z kieszeni, ukrytej gdzieś w fałdach, wynurzyła się manierka z wódką, tyknął raz i drugi i wsparłszy się łokciem na kolanie, złożył na rękę swą głowę zgrabną, jakby wyrosłą z pnia, z karłowatymi o potężnych, niby postronki, muskulach.

Tak siedząc, jakże odmiennie przedstawiał się od owego głupkowatego pajaca z areny! Przyprawy nos, dziwaczne czarne linie, przekreślające po-

liczki i czoło wokoło oczu, napiętnowały twarz jego bezczelnością wścibskiego idyoty, przejętego poczuciem swej godności, tymczasem teraz czarna, niedbale zmazana szminka, osadziwszy się na brwiach i pod oczyma uwydatniała i podnosiła świetny, demoniczny połysk ciemnych źrenic, a oczy, jak czarne plamy z zarzęciami się w pośrodku gwiazdami, wynurzały się dobitnie z śnieżno-białego oblicza o pięknej karnacji. I na rysach jego rozlała się ponura zaduma; pograżył się w myślach, zapewne w czarnych myślach, zimny i surowy, kryjąc w sobie może trochę szalonej namiętności. Lecz cóż mogło zachmurzyć jego czoło? Sowita zapłata, obfita kuchnia i wódki dostatek wystarczały przecież, aby stworzyć dlań raj na ziemi, pominawszy już oklaski, towarzyszące mu zawsze, ufność w pięść atlety, poczucie swej doskonałości na arenie, oraz wybitnego stanowiska w gronie cyrkowców.

Myślenie u takich jak on, jest prostą funkcją organiczną! Zkąd przeto ta zmiana?... Czy podobna, by po za zasłoną zwierzęcego istnienia kryły się odcienia jakichś śmielszych pragnień, nadziei i popędów, by na dnie tej cielesnej bryły dźwięczały struny duszy, chociaż w przybliżeniu tak potężnej, jak jego tors granitowy? Dość było popatrzeć na niego, aby nie wątpić — bo cała elegia bólu i nie-mej skargi wyzierała z głębin jego oczu. Czy przyświecała teraz przez nieprzyjaźń jego?... Czy blazeńska mimika, mimo wszystkie pozory szczerości, była zdawkową sztuką wytresowanego rutynisty i maską, zakrywającą czeluście, pełne wulkanicznych ognió? Może wmawiał w siebie, jak w widzów, że ta farsa jest istotnie zabawną? A śmiejąc się ku rozweseleniu tłumów, co śmiały się w odpowiedzi i... płacili, chciał zagłuszyć na chwilę jęk smutnego serca? Może...

Wkrótce dał się słyszeć stuk butów i brzęk ostrogów, i na wybrukowanym chodniku stajni po-

jawiła się wysoka kobieta w oliwkowej, obcisłej amazońce, przy boku jaskrawo umundurowanego oficera jazdy belgijskiej. Gdy rozmawiając żywo przechodzili powoli obok ogrodzenia kucyka, amazonka rzuciła gniewliwe spojrzenie w stronę błazna, nieruchomego jak statua, potem odwróciła głowę z dąsem na swej przystojnej twarzy. Wsparłszy ramię na ramieniu towarzysza, spozierała w twarz jego i z rozchylonami wargami słuchała jego konceptów.

— *Dieu! que c'est drôle!* — zawołała, zanosząc się od śmiechu.

Żaden ruch jej nie uszedł uwagi błazna, oczy jego przeprowadziły ją wzdłuż stajni, a gdy znikła, zatopili się w przestrzeni. Lecz wtem strzeliła z nich błyskawica wściekłości, pięść zacisnęła się konwulsyjnie, tors wyprężył i zdawało się, że skoczył lamparcim susem, poczem jednak ton posępnej rezygnacji legł znów na jego rysach.

Po upływie kilku minut wszakże „la belle Clotilde“ powróciła—sama, ale błazen na jej widok ani drgnął, tylko zwiesił głowę jeszcze niżej tak, że czerwona peruka sterczała na niej, niby grzebień koguci.

Klotylda zbliżyła się wprost do niego.

— Jack! — ozwała się wyniośle podniesionym głosem, uderzając szpicrutą po sukni. Raz na zawsze zapowiedziałam ci, abyś nie wałęsał się przed memi oknami i nie wysiadywał tu niby zbój. Dość mam tego szpiegowania! Kto ci tu kazał czychać i wytrzeszczać oczy, ty głupcze? Jack, moja cierpliwość ma granice, zapamiętaj to sobie.

Błazen nie poruszył się.

— Czy słyszysz? Zakazuję ci tych wybryków idyotycznych! Dość tego, rozumiesz?... Słuchaj-no, Jack—zaczęła łagodniejszym tonem po chwili, trącając srebrną galką szpicrutę perukę pajaca.—Daj mi trzy louisory, proszę cię. Spieszno mi. Nie każ się błagać o taką drobnostkę, Jack. Ach!—wybuchnęła

wzburzona, zaciskając zęby.—Ja nie cierpię tych ceregieli! Jack, słyszysz?!...

Milczenie było jego odpowiedzią.

— Czyś pijany, czy też nie dość pijany? Dawaj mi te pieniądze i basta! Czy zastawiłeś w lombardzie swój język, ty... ośle?... Jack! — powtórzyła kilkakrotnie coraz głośniej, natarczywiej, z twarzą oblaną szkarlatem, a nie otrzymawszy ani słowa odpowiedzi, smagnęła go szpicrutą przez plecy i wrzasnęła w furii: — Głupi błaznie!... Mówię przecież do ciebie!

Błazen nie dał znaku życia.

„La belle Clotilde“ stała przed nim w milczeniu, podtrzymując ogon sukni, z licem w ogniu, piersią falującą, tupiąc nogą w bezsilnym gniewie, który w końcu rozbił się o skałę nieczułości. Ponościła atak.

— Jack, Jack! — szeptała, zniżając głos, że brzmiał niemal nutą pieśniedoty. — Czemu przybierasz te nieznośne miny! Potrzebuję tych pieniędzy zaraz.

Nie podnosząc oczu, Jack wreszcie poruszył się, sięgnął po słomkę z końskiego pośłania i, wsunawszy ją pomiędzy zęby, mruknął zcicha!

— Dla niego?...

— Cóż cię to może obchodzić? Zresztą, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć — tak. Szczęście mu wczoraj nie sprzyjało. Gdy się odegra, zaprosi cię na wino.

Na to on potrząsnął głową przecząco.

— Więc wyobraź sobie, że to dla mnie te pieniądze. Proszę cię o nie. Zwrócę ci wszystko razem.

Za całą odpowiedź Jack znowu poruszył peruką.

— Nie chcesz, abym ci oddawała? Tem lepiej. Ale, Jack, nie zwlekaj tak długo! Boże, jakiś ty okropnie nudny!

Krew zaczęła grać w jej żyłach, ale się oparowała.

— Chciałbyś zjeść ze mną dzisiaj kolację? — spytała po namyśle.

Blażen wyjął z ust słomkę, złamał ją we dwójce powolnym, wymownym gięciem i odrzucił, a ruch głowy mówił krótko: nie!

— Nie chcesz? — szepnęła zdumiona. Wypuściła z ręki suknię, przysiadła u stóp jego i, kładąc mu rękę na kolanie, ciągnęła:

— Zaprzestań tych grymasów, nie bądź taki głupi: wiesz, że cię lubię. Pożycz mi tych pieniędzy, a po spektaklu...

Chciała ująć dłoń jego, gdy on nareszcie podniósł na nią oczy bardzo spokojne, zimne i wymowne i odsunął jej rękę stanowczym ruchem, z jakim łagodny brytan odpędza napastującego, warczącego psiaka, poczem, wydobywszy z kieszeni skórzany woreczek, wysypał jego zawartość na jej łono, i wyrzekł głosem ochrytym:

— Masz, idź!

— Po widowisku...

Byłaby ścisnęła jego rękę, gdyby szybko nie był jej cofnął.

— Idź, mówiłem: idź! — wykrztusił przez zęby, wzburzony, prawie bez głosu.

Zgarnawszy pieniądze, „La belle Clotilde” podniosła się opieszale, trochę nachmurzona, i przeszedłszy stajnię, zatrzymała się u wyjścia, wołając:

— Jack! Jack!...

Napróżno czekała słowa lub spojrzenia. I ruszywszy pogardliwie ramionami, znikła.

A on popadł w zadumę, z której wyrwał go dopiero kucyk, gdy wyciągnawszy kark poprzez ogrodzenie, poczał ciągnąć go zębami za rękaw.

— Fifi, chodź-że do mnie!

Małeńki ogier chrapnął, potrząsł grzywą gwałtownie i zabrał się do podważania najwyższego drąga, zatkniętego po obu stronach w drewniane słupki. Trącał go nozdrzami dopóty, dopóki drąg

nie spadł na słomę, poczem zamiast skoczyć, przelazł z wolna noga za nogą przez niższe szczeble, jak to zwykł był czynić na arenie ku niemalej uciesze galeryi. Wsunawszy się niezwłocznie pomiędzy kolana swego pana, oparł swój czarny łebek na jego ramieniu i tak stał z przymrużonemi ślepiami.

Dziwny, prawie patetyczny wyraz zagościł na ponurem obliczu kłowna, w oczach jego zakreśliły się łyzy radości, jaka rozczula młodą matkę, gdy jej niemowlę po raz pierwszy wyciąga ku niej rączkę.

— Fifi, mój Fifi! — szeptał blażen z twarzą do karku konika przytuloną. — Mój mały, kochany, jedyny... Aż głos mu się urwał i zaczął okrywać ciepłe jego nozdrza gorącemi pocałunkami. A nieruchomy Fifi strzygł uszkami ciekawie i wachlował z wolna długim, pięknym ogonem.

Na arenie tymczasem „La belle équestrienne” odbierała zasłużone oklaski za swą jazdę *à la haute école*, dzieląc je ze swym gniadym trakeńskim wierzchowcem, zawsze pewna sympatycznego przyjęcia ze strony poruczników kawalerii, którzy, jakby pełniąc służbę, stali zawsze wzdłuż wjazdu, gdzie zielonkowate i amarantowe ich mundury wpłatały się w dwa szeregi granatowo przyodzianych groomów i stajennych. Pomiędzy nimi dominowała postać rotmistrza René z monoklem w oku i zwykłym uśmiechem wewnętrznego zadowolenia na chudym, kościstym obliczu.

Bystry, niepospolity znawca koni zajmował się rzeczywiście czy pozornie każdym nowym wierzchowcem i biegunem, każdą cyrkową nowością. Lubo prawie bez majątku, należał do grona oficerów, najwystawniej żyjących. Nikt też nie ugaszczał tak sumy kolacyjkami, nikt nie obdarzał woltyżerek i baleniczek tak chętnie buketami i koszami wina. Z pełnej szkatuły każdy czerpać potrafi, ale z puścigo bodaj jedynie alchemik, jak René, należy szampana. Jakoż wszędzie było go pełno, wszyscy prze-

padali za niezrównanym, nieprzebranym w konceptach koleżką. I Klotylda, wyjeżdżając z areny i kłaniając się z gracya, wyróżniła go i za salwę oklasków obdarzyła spojrzeniem łaskawem i poufałem.

Program zapowiadał z kolei „nieśmiertelne (!) *salto mortale* przez osiem koni” i otóż znowu Jack wtoczył się zawadyacko, z białą, stożkowatą czapką na peruce, ze stereotypowym uśmiechem błazna, wrzeszcząc i piejąc w niebogłosy.

Przez kilka minut ustawiał trzy konie jednego przy drugim z komiczną gięstykulacją, to garść piasku ciskając na czupryny mastalerzy, to inne płatając im figle, to popisując się z najprzeróżniejszymi akrobatycznymi sztukami, aż drepzcząc i przedrzeźniając skromną, bojaźliwą panienkę, zbliżył się do elastycznej odbitki. Cofnął się, wyprężył, w ogromnym skoku runął na jej skraj, wzbil się, jak piłka, w kłębek zwinięty zakreślił w powietrzu jeden i drugi koziołek i... stanął na ziemi uśmiechnięty.

Raz po raz więcej sprowadzano koni, aż dzięki nieustrudzonym muskułom, akrobata przeokoziłkował nad kłębami ośmiu. Ale i teraz zapal jego nie ostygł.

Krzyknął po dwa konie jeszcze, niezależnie od programu.

Zagrzmiały brawa, ale pomiędzy stajennymi, zaskoczonymi tym rozkazem, wywiązała się narada; nie było bowiem więcej na ten cel wytresowanych koni. Ostatecznie wszakże Jack postawił na swoim; wyciągając w górę dwa palce, wrzeszczał:

— Dwa, jeszcze dwa, wy gapiel! Nie dwa osły, jak wy! Dwa konie!

Aby wypełnić nieuniknioną zwłokę, błazen stoczył się z odbitki, stanął na głowie wierzgając nogami, a potem przebiegł pod brzuchami spokojnych szkap na drugą stronę cyrku. I ze wrzekomym wysiłkiem zaczął windować się po ogniu na pierwsze-

go z rzędu konia, a wgramoliwszy się na kłęb jego, przybrał najdzielniejszą minę tryumfatora — z farsy.

Teraz rozpoczęły się sztuki z czapką, którą podrzucał wyżej i wyżej, tak, iż spadała to na głowę, to na plecy, to na stopę. Podrzucił ją znów — niezgrabnie skoczywszy na arenę, podniósł i muskał ją dłonią, śmiejąc się sam do siebie i zerkając wokół, aż niespodzianie, z błyskawiczną szybkością cisnął ją hen daleko w powietrze.

Czapka zakreśliła duży krąg i wypadkiem — albo może nie wypadkiem — uderzyła w twarz ulubionego oficera.

Wielki śmiech błazna zabrzmiał w cyrku.

— Błazeńska gęba! cha, cha...

Na to nadbiegli masztalerze, wiodąc dwa konie, które wszakże, nieprzywykłe stać w zbitym szeregu, za dotknięciem innych prychały i wierzgały... Wpierw jeden, potem drugi przestępował niespokojnie, aż wszystkie dziesięć zaczęły poruszać się nerwowo.

Dźwięki kapeli ucichły, angielski groom napominał jeszcze konie: *steady, steady, now!* i raz jeszcze, jak z procy strzeliła w górę biała postać pajaca, lecz — runęła na kłęb ostatniego z koni; Jack stoczył się, zarył twarzą w piasek areny...

Dziki krzyk, zgiełk, zamieszanie, panika pomiędzy widzami, popłoch między stajennymi i końmi, a ot tam, na piasku leżała niekształtna, nieruchoma bryła: garść białych płócien, wymalowana, wykrzywiona maska — nieżywy błazen.



Przekupień gazet i myśli.

OBRAZEK LONDYŃSKI.

Sobotni koncert w klubie „Savage” ściąga dopiero o późnej godzinie liczniejszy zastęp członków, stojących w tej lub owej styczności z piśmiennictwem albo sztuką. Wówczas na stołach, w literę E ustawionych, pojawiają się szklanki i butelki, wielka sala jadalna z widokiem na Tamizę zmienia się w gwarne obozowisko palących cygara mężczyzn, a członkowie, biorący zwykle udział w amatorskim koncercie śpiewem, deklamacją lub humorystycznym *entertainment*, zaczynają się wsuwać jeden po drugim do sali zcicha, jakby chcąc dać do zrozumienia, iż nie zamierzają bynajmniej nudzić więcej zebrania swym repertuarem lub też produkcjami swej skromnej muzy. Lecz dość bywa jednego wymownego spojrzenia ze strony przewodniczącego, aby wywołać wpółrozpaczliwy gest ręki przybysza, który z góry przeprasza za swą nieudolność, zdaje się mówić: „Jeżeli już koniecznie pragniecie mnie usłyszeć, to niechaj się dzieje wasza wola.” Dość niemego zezwolenia, aby prezydujący członek, uderzywszy groźną maczugą w stół, obwieścił „braciom dzikim”, że „nasz przyjaciel N. N. będzie łaskaw przyczynić się do uświetnienia wieczoru,” a słowom jego towarzyszą szmery zadowolenia i półgłosne koncepty.

Tego wieczoru dał się uczuć brak zawodowych artystów, którzy zwykli tu szukać rozgłosu, i na *smoking concert* złożyły się wyłącznie siły klubowe, zabawiające rzekomo dziką brać piosnkami, jakie

z ust ich można posłyszeć każdej soboty, każdego miesiąca i każdego roku. Ten i ów przeto czmychał do pokoju, gdzie Bachus króluje, albo do bufetu, otoczonego wieńcem stolików.

Ściany wysłane obrazami, przeważnie datkami członków klubu, nie zwracały mej uwagi, gdy zasiadłem tu do kolacyi z doktorem V., uprawiającym w wolnych chwilach niwę poetycką, który nie zasłynał jako poeta, lecz uchodzi powszechnie za dobrego lekarza i, co najważniejsza, za zacnego człowieka.

W toku rozmowy uderzył mnie wszakże obraz, na honorowem umieszczony miejscu, którego dotąd nie widziałem. Mimowoli raz po raz wzrok mój czepiał się płótna, wnet poprostu nie mogłem oderwać odeń oczu, nie tyle może wykonaniem, ile modelem zaciekawiony. W tej dziwnej i pięknej twarzy starca tkwiło bowiem coś, co niewolniczo przykuwało moją uwagę, przemawiając do mnie innym, nie angielskim językiem.

Na ciemnem tle rozpościerało się popiersie sędziwego mężczyzny, naturalnych rozmiarów. Śnieżna, rosochata broda spadała na piersi, na czarny płaszcz, niby wachlarzem okalając twarz szeroką. Przysłaniał ją w części bujny, długi wąs, tak, że jedynie prosty nos i wydatne kości licowe wynurzały się z śnieżnej masy włosów. Czaszkę, formy kulistej, pokrywały śmiało odrzucone, srebrne pasma włosów, odsłaniając wyniosłe czoło, powiększone na bokach dwu językami, poorane w bruzdy, nachmurzone głęboką powagą. A pod krzaczastą brwią kryły się niebieskie oczy, jakieś stroskane, smutnie na dół spuszczone w wielkiem zamyśleniu, które nie pozwalało wątpić, że ten człowiek nie żył myślą na tym świecie, lecz przebywał gdzieindziej, w krainie szaroty i smętku, może z własnego ducha poczętej. Powieka lewego oka, obwisła nieco więcej, potęgowała nieźmiernie to wrażenie gluchego rozmarzenia, trosk

z pokorą męczennika przyjmowanej, uroczystego spokoju, patryarchalnej powagi, bezgranicznej łagodności i głębokiej prostoty, które, kojarząc się w świetną aureolę, koronowały tę wspaniałą, szlachetną głowę. Odwracał się od świata nie ze wstrętem, lecz z obawą, aby jaki widok nie pokalał cudnych iluzji, nie zakłócił dawnych wspomnień muzyki, nie przeciał snów i marzeń uroczej tkaniny.

Nie wiem, co było w tych niezapomnianych ryśach więcej czarownego: czy cicha elegia zakrwawionego serca, czy tony idealnego hymnu, czy też majestat świętości, który tchnęła weń mistrzowska natura, jak Tycyan w oblicze Chrystusa.

— Zkąd zablakał się tu ten patryarcha? — spytałem.

Uśmiech zadowolenia błysnął na twarzy mego towarzysza.

— Nie pierwszy pytasz i nie pierwszy zwiesz go patryarchą—odparł.—Wistocie wyglądał tak, jakby wyionil się żywcem ze Starego Testamentu.

Przerwał, chcąc zapewne zaostriżyć moją ciekawość.

— A więc to nie studyum?

— Portret. Dziwi mnie, że nie znałeś go, bo wydaje mi się, że każdy mieszkaniec Londynu musiał zachować w pamięci postać tego starca, który przez długie, długie lata sprzedawał gazety tuż obok dworca kolei Charing Cross, na Strandzie. A kto raz go widział w życiu—nie zapomni... Sąznisty był to mężczyzna, z górą sześć stóp, barczysty, jakby ze spiżu ulany, lubo później pochylił się pod brzemieniem lat. Lecz zawsze królewska postać przekupnia górowała nad rączym strumieniem przechodniów, zdala już go można było zobaczyć przy żelaznych sztachetach kolejowego dziedzińca z pliką gazet, przewieszoną przez ramię. Zdrowie miał niezrównane; słota nie słota, wystawał tam zawsze kilka godzin, a, jak mówił, nie zaznał choroby. Dopiero starość—

musiał liczyć osiemdziesiąt lat — zamknęła mu oczy na wieki. Odtąd Strand nie zdaje mi się być tym samym StranDEM; brak mi zawsze tam czegoś — tej królewskiej figury przekupnia...

— Ciekawa fizygnomia — wtrąciłem.

— Od pierwszej chwili postać przekupnia miała dla mnie niewyc'owiony urok, który przy bliższym poznaniu nietylko nie rozwijał się, lecz wzrastał, może przeważnie z tego powodu, że nie przestał on być dla mnie zagadką. A ileż to razy, gawędząc z nim, starałem się wywiedzieć, z kąd był rodem, jak się nazywał i jakich zaznał losów. Ale to pewna, że ów patriarchy nie zawsze sprzedawał gazety... Wszystkie moje zapędy rozbijały się o skałę niewzruszonej skrytości: nie znałem człowieka więcej w sobie zamkniętego. Nauczywszy się przestawać z sobą i wystarczać sam sobie, w swych myślach znajdował najmilszego towarzysza. Szkoda, że tak skąpą ręką sięgał do skarbnicy swego ducha! A przecież łączyła nas długoletnia zażyłość, bo nie było prawie dnia, abym przechodząc tędy do szpitala, nie zamienił z nim słów kilku przy odbieraniu gazety. Lecz on stronił od ludzi, unikał widocznie poufaleści, będąc zbyt dumnym, aby im się spowiadać, wystawiać się na ich krytykę i współczucie. Znając naturę ludzką, odczuwał, jak ludzie przyjmują wyznania. Gdy im serce ciśniesz pod nogi, odwróca się od słabości z uśmiechem politowania... Nie łatwo narzucić sobie więzy skrytości, lecz gdy kto nad sobą odniesie zwycięstwo, jarzmo to staje się lekkim, skrytość instynktem. Niezwłocznie odkryłem, że w tem wspa-
niałem ciele ukrywa się wspaniała dusza, lecz dużo upłynęło czasu zanim dowiedziałem się, że w ekspedycjach dzienników zwano go starym Andrzejem, *the old Andrew*, lub krótko: *Andrews*. Nikomu nie był znanym pod innem nazwiskiem. Do tego stopnia dochodził u niego wstręt do wspomniania o sobie. Zapytany o swe nazwisko, odparł spokojnie i to-

nem, który kwestyę tę zamykał: „Jestem przekupniem gazet.“

Był to dziwny przekupień gazet: nie dość, że sprzedawał dzienniki, ale znał ich treść. Polityka stanowiła jego ulubiony przedmiot rozmowy. Chętnie też słuchałem jego poglądów i oryginalnych politycznych prognostyków, które zdradzały niepospolitą znajomość historii. Językiem angielskim władał znakomicie, posługując się dyalektyką literacką z domieszką słów biblijnych. Nie zapomnę jego wróżb, dotyczących kwestyi wschodniej. Mówię wróżb, bo czasami wybiegał umysłem hen w przyszłość, nie mierząc politycznych wypadków łokciem dziennikarskim, lecz sięgając głęboko w podwaliny charakterów narodowych, wyprowadzał ztąd daleko sięgające wnioski, które w jego ustach dochodziły do szczytów wyroczni. Rzadko zapalał się, lecz gdy głos jego zadbrał nutą serdeczną, suggestyjonował słuchaczowi najmielsze przypuszczenia, które przyjmowało się za pewniki, nie wątpiąc, że kiedyś z ciemności powsta nie wspaniała światłość. Wszystko to zaś opierał na niewzruszonych argumentach. Teraźniejszość istniała dla niego o tyle jedynie, o ile jest matką jutra. Wspomnieniami przeszłości nie dzielił się z nikim, pogrzebał je w kościele swej duszy, wzbraniając doń przystępu profanom. W tej świątyni wypoczywał, a żył w przyszłości. Poziomym istotom wystarcza terażniejszość, zgrzybiałym starcom i duszom złamanym a wątlm przeszłość jest światem, tylko młode duchy przebywają w przyszłości, niesamolubne i promieniste w przyszłości wszechświata.

Gdy stosunek nasz się ustalił, stokrotnie przychodziła mi ochota przyjść mu z pomocą materyalną, lecz nie śmiałem, bo cechowała go pewna duma urodzonego dzentelmana, pana z panów, nie odpychająca jednak od niego, ale przeciwnie, zmuszająca do szacunku i podziwu. Uciekałem się tedy do podstępów i tak raz, wręczywszy mu czterozylingówkę, oddali-

lem się, udając pośpiech i zapomnienie, lecz wszystko napróżno. Przez tyle a tyle następnych dni nie przyjmował odemnie zapłaty za gazety. Ile razy zaś wyciągnąłem go na szklanę piwa (wódki nie pijał, znając się na higienie), nie mogłem wymówić się od przyjęcia poczęstunku z jego strony. Nigdy też nie powiodło mi się nakłonić go do przybycia na obiad tu do klubu, gdzie fizyognomia jego byłaby wywarła niemałe wrażenie. Nawet bardzo rzadko mnie odwiedzał w domu. Wszelako rozповідаjąc o nim wszystkim znajomym, spowodowałem wielu do kupowania gazet od patryarchy, który podówczas był znanym członkiem klubu. Na swem skromnem stanowisku zdawał się zupełnie szczęśliwym. Ludzie tego pokroju godzą się łatwo ze swym losem, w sobie samych znajdując dostateczne i obfite źródło szczęścia. A jeśli oblicze jego troską było powleczone, to punktem wyjścia teje nie były osobiste sprawy. Ów cień zadumy, na ziemi poczętej, wyszlachetniał w abstrakcyi i świat opasywał cały. W rysy jego zakula natura odbłask duszy... bolał w cichości nad znikomością wszechrzeczy, eterycznością marzeń, dusz pustką, serc wyschłością i smutkiem jesiennego krajobrazu. Jeśli ziemi odgłosy wzbijają się ku niebiosom pięknym akordem, twarz jego była tej muzyki echem...

Pewnego dnia, pamiętam, powietrze było zgniłe, ulica przesłonięta siatką wilgotnej, dżdżystej mgły i stosunkowo pusta. Wokoło dworca krążyły tylko owe uliczne nietoperze, czyhające na ofiary pijaństwa, a na ulicy wałęsał się zagubiony psiak. Pomimo sloty wszakże, stary Andrzej stał na swem stanowisku. Wracając ze szpitala, zatrzymałem się na chwilę z przyzwyczajenia, gdy wtem zbliżył się do niego jakiś podejrzan, może napity włóczęga, którego, jak mi później objaśnił przekupień, wydałono z kilku ekspedycyji gazet wskutek pijaństwa i kradzieży. Bez względu na mą obecność, odezwał się

obcesowo do patryarchy, jakby mu było spieszo: „Nie masz tam dla mnie jakiej myśli?... Straszne pustoski u mnie w kieszeni.“

Zrazu nie pojmowałem, o jakie „myśli“ chodzi temu włóczędze, który zapewne nie miał ani jednej zdrowej myśli w głowie, lecz przypominałem sobie o istnieniu indywiduów, pozujących na wykołone, czy zapomniane przez ludzkość geniusze, które nawiedzają pracownie malarzy i rysowników, dostarczają im za skromnem wynagrodzeniem oryginalnych idei do „oryginalnych“ rysunków. Różne są sposoby zarobkowania na bruku londyńskim... Ponieważ ów przekupień pomysłom sam cierpiał na wielką posuchę myśli, uciekł się przeto o pomoc do naszego patryarchy. Ten ubogi człowiek odkrył sobie drogę do udzielania jałmużny; zda się, biedakom biedacy jedynie podają rękę. Iluż to wielkości był on zdolnym wspierać swego ducha wytworami! Dobre idee są bardzo rzadkie, rzadko chodzą też w parze z techniczną zdolnością i zręcznością. Najdzielniejsi rzemieślnicy w dziedzinie sztuki składają się przeważnie z ubogich umysłowo istot. Tych, o których najwięcej mówią, najmniej słuchać warto, a ci, co mają coś do powiedzenia, milczą, bo nadać formę serca wpływom jest męką, zwłaszcza, gdy twórca pozwala sobie przeszkadzać myślom.

Na słowa włóczęgi stary Andrzej zażenował się, widocznie było mu niemiło, że stałem się świadkiem tej rozmowy. A przykuty isticie babską ciekawością, nie myślałem go pożegnać. „Nie mam żadnej... — odparł po chwili. — Czy zamierzasz chodzić pomimo tej niepogody?“ „Muszę, niema rady. Pustoski w kieszeni. Poszukaj-no jakiej myśli, bo źle ze mną“ — mówił przybysz. Stary Andrzej popatrzył mu w twarz, a potem, odwróciwszy się od niego, utopił wzrok w przestrzeniach i pograżył się w myślach. W milczeniu staliśmy obok niego, nie spuszczać oka z jego twarzy.

Po długim namyśle westchnął zcicha i odezwał się wolnym głosem, który, w miarę jak mówił, podnosił się, nabierając kryształowego dźwięku: „Widzisz tego psa na środku ulicy? Otóż wyobraź sobie, że w tym miejscu znajduje się nagi chłopczyk z jasną, kędzierzawą głową, ze skrzydełkami z plec wyrosłymi, z kołczanem złocistym i kilku złamanymi strzałami w rączkach. Chłopczyk zziąbnął w mgle, opadł z sił, głodem zmorzony, i lada chwila dorożka przejechać go może. Potoczył się w błoto... Widzisz teraz te roje snujących się na chodniku upadłych, nieszczęśliwych kobiet? Na widok tego chłopięcia rzuciły się ku niemu, ciekawością i litością przywiedziona. Zaznały chłodu i głodu, zaznały może kiedyś miłości... Pośpieszyły mu na pomoc, podnoszą go, ratują biednego wyrzutka... Ten obraz nazywa się: Miłość—wyrutek, *Love the outcast...*”

Po chwili starzec dorzucił: „Czy umiesz to powtórzyć? Spróbuj, a potem idź szukać z tą myślą szczęścia... nieszczęścia, pieniędzy. Może ci kto rzuci za nią kilka szylingów.” Włóczęga słuchał z napięciem i rozchylonemi wargami, potem zabrał się do powtórzenia lekcji. Udało mu się to, lecz w jego ustach wszystko to brzmiało inaczej. Nie zrozumiał tej „myśli” i dlatego uznał ją za znakomitą. Czy mógł on ją zgłębić?

Nad tym obrazem myślałem często i nie jestem wcale pewnym, czy ja sam odgadłem całą myśl starca, ale to pewna, że uszanowałem wielkie serce, spoczywające w jego piersi, to serce litością przepelnione nawet dla wyrzutków społeczeństwa, i pojąłem, że śnił o ludzkości zbratanej węzłami miłości. Na tym włóczędze nie kończyło się. Często gościem u niego bywał młody irlandzki malarz, gorątkowy entuzjasta, sam obfitujący w pomysły. Lecz spowiadał mu się ze swych tematów, zanim przenosił je na płótno, aby mu je stary Andrzej pogłębił, wynosząc z sobą od patryarchy skupienie myśli, ze-

spolenie sił duchowych i nieodzowny do pracy wewnętrzny spokój. Mam powód przypuszczać także, że stary Andrzej przychodził mu z pomocą materyjalną... Aby zdobyć środki na ten cel, sprzedawał pomysły znanemu powszechnie rysownikowi, z którym poznał się, pozując znajomemu jego do obrazu. Dziwnem zrządzeniem losu artysta ten zdobył sobie rozgłos, dzięki pewnym właściwościom rysunkowym, które odróżniały go spośród tłumu innych pracowników. Ale dopiero gdy stary Andrzej zaczął podsuwać mu idee i pomysły, uderzać w struny jego lutni duchowej, wydobywać chociażby nikłe tony, artysta zasłynał jako wielkość. Od czasu śmierci Andrzeja przerysowuje swe dawne prace z nic nie mówiącymi zmianami. Tak zaopiniował o nim niedawno jeden z krytyków, który wszakże nie domyśla się, czemu przypisać ten wyraźny zanik twórczości... Wynagradzany hojnie przez tego fabrykanta rysunków, Andrzej mógł być stworzyć sobie przyzwoity byt, lecz on to wszystko rozdawał... Ilu biedaków wyrwał z nędzy, niepodobna oznaczyć, bo z zasady nie wydawał się z niczem, co dotyczyło jego osoby. Najmniejsze zeznanie trzeba było niemal gwałtem z niego wydobywać, podchodząc go z lisią przebiegłością, a i wówczas dowiadywałem się li tylko tyle, ile sam chciał mi powiedzieć. Wszelako odkryłem, że w jednym wypadku wspomógł upadłą kobietę, która omdlała przy dziedzincu kolejowym, w drugim zaś czynem i słowem powołał na nowo do życia guwernantkę, Niemkę, która, próżno szukając zajęcia przez czas dłuższy, popadła w rozpaczliwą nędzę. Zdradził się tem przedemną, gdyż chodziło mu o dostarczenie jej pracy. Po starym Andrzeju spodziewałem się wszystkiego dobrego; atoli nie mogłem pogodzić tego postępu z jego głęboko zakorzenioną niechęcią do narodu niemieckiego. Ten człowiek musiał przejść w życiu bardzo smutne koleje i cierpieć wiele, jeśli wobec niedoli zdołał zapomnieć o sobie

i odczuć nić społeczeństw, spajającą ludzkość w jedno ognisko. Jedynie bardzo piękne natury, nie-szczęść i bólu cierniami stargane i uszlachetnione, wznieść się umieją do niebotycznych szczytów tak potężnej miłości... Gdy poczyniłem odkrycie, iż zarobek, wpływający od owego „wielkiego” artysty, obracał na zapomogi, spytałem go, czemu nie odda się wyłącznie handlowi myślami, na co mi odrzekł: „Z mej głowy nie chcę robić fabryki, ani z mych myśli artykułu.” Niepojęty człowiek! Gdyby ludzkość liczyła wielu podobnych osobników, byłoby bodaj za dobrze i za pięknie na ziemi. Czemże wówczas byłoby niebo?

Przywiązałem się do niego serdecznie. Wyobraź sobie zatem, jaka zdjęła mnie obawa, gdy pewnego dnia napróżno rozglądałem się za nim na Strandzie. Poprzedniego dnia zdarzyło się, że zanim udałem się do szpitala, wypadło mi pośpieszyć w inną stronę i później niezwłocznie odwiedzić chorego. Stary Andrzej mógł przeto być słabym od dwóch dni. Ale gdzież go szukać? Wzbraniał się podać mi swego adresu, chcąc zapobiedz przesyłaniu podarków z mej strony. Widując go codziennie na ulicy lub gdzieindziej, przestałem go wreszcie wypytwać o miejsce zamieszkania. Lecz pożałowałem tego, bo przyszło mi teraz jeździć z jednej ekspedycji do drugiej i z niemalym trudem dopiero otrzymałem pożądaną informację. Niestety, przeczcucie nie omyliło mnie; zastałem go w łóżku, złożonego niemocą. W ciągu doby pobrał i wychudł, łagodne jego źrenice lśniły gorączkowym ogniem i miotał nim wewnętrzny niepokój.

Zajmował schludną izdebkę o ścianach, pomalowanych błękitną farbą. Na krześle stała miednica i dzban gliniany, rzeczy wisiały na drzwiach, na stole ceratą pokrytym spostrzęgłym imbryk, szklanki i kilka książek, przed kominkiem patelnię i inne przybory kuchenne. Na wymiecionej podłodze bawił

się czarny kotek z kłębkim nici i jedyną prośbą chorego było, abym kazał przynieść dla niego mleka i nalał je w miseczkę. Panowały tu niepodzielnie pogoda i spokój.

Zanim udałem się do apteki, siadłem przy nim chwilę na wązkim żelaznym łóżku. I wówczas wyznał mi, że owa guwernantka nie tylko odesłała mu zapomogę, ale co rok na gwiazdkę przysyłała mu podarki razem z dziękczynnym i przyjacielskim listem. Rozczuliło go to i dodał: „Dlatego samego warto żyć na świecie.” Prosił mnie, abym nad nią czuwał i nad jego kotkiem... Rozmowa nasza urywała się, bo słabość w krzyżach zapierała mu oddech, lecz, ściskając mi rękę z niemem podziękowaniem, wyraził życzenie, abym spalił na kominie dwie książki, które znajdowały się na stole. W jakim były języku, nie mam najmniejszego wyobrażenia. Podejrzywałem, że był Szwedem z rodu, lecz zdaje mi się, że stare, zniszczone druki były w innym języku. „Nie chcę, aby się poniewierały”—rzekł do mnie.—W jakim są języku?—zagađnałem, sądząc, że teraz może opadną okowy dumy, która mu zamykała usta, że wreszcie odchyli zastonę z swej przeszłości, lecz stary Andrzej pozostał sobie wiernym do końca. Milczał, potem, odwróciwszy twarz odemnie, westchnął. Jakżeż można było nalegać? — „Nie chcę, aby się poniewierały”—powtórzył—są mi bardzo drogie.”

Nazajutrz miał się lepiej, w tydzień później... nie żył.

Tu opowiadający umilkł i zadumał się, wywołując może z głębi wspomnień postać patriarchy na łożu śmierci. Po chwili wszakże dorzucił:

— Zapomniałem nadmienić, że krótko przed zgonem wręczył mi wizerunek Matki Boskiej, wyrity dość misternie na kwadratowej płycie mosiężnej, objętości książki. Nosił go zawsze na piersi. Zape-

wne odziedziczył go po przodkach rycerzach, uważając za talizman, chroniący go od przystępu złego. Być może, że sam wystawiał pierś na ogień bojowy. Mimo to wszakże, że talizman przewiercony był od kul, nie znalazłem na jego ciele rany. Gdy zawieszono tu ten portret mego zmarłego przyjaciela, który na- byłem dla klubu od tego irlandzkiego malarza, umie- ściłem ten talizman po za płótnem, aby...

Nie słuchając dalszych słów doktora, powstałem szybko od stołu i wydobyłem z po za ukośnie za- wieszzonego obrazu czerniałą płytę.

Doktor V. natychmiast zbliżył się do mnie, w nadziei, że potrafię mu dać objaśnienie.

Na odwrotnej stronie talizmanu mieścił się herb: poniżej rogów, które spajały ramiona stojącej w po- środku niewiasty, związana chusta... Wizerunek wyo- brażał Matkę Boską z dwiema bliźniami na licu, a u dołu, gdzie mosiądz ucierpiał najwięcej od zębu czasu, było można dostrzedz rząd nieczytelnych liter. Lecz udało mi się odcyfrować jedno słowo, słowo... polskie:

— Matka...

Długo nie mogłem oderwać oczu od talizmanu.

— Co oznacza ten herb i podpis? Czy to rzu- ca jakie światło na przeszłość i narodowość starca?— pytał dr. V., ale milczałem, nie chcąc zdradzić taje- mnicy zmarłego.

Zresztą nie miałem słów i zapominałem wnet o obecności towarzysza, bo przeniesiony w świat in- ny, daleki, łowiłem uchem drogie echa dawno prze- brzmiałej przeszłości i zdało mi się...

Już nie wiem, co mi się zdało...

IRONIE ŻYCIA.

Epizod z życia starej panny.

Let come what will; there is one thing worth
To have had fair love in the life upon earth
To have had love safe till the day drew night
While skies had colours and lips were red.

Algernon Swinburne.

I.

Któż tam bębni na fortepianie?

Pióro wypadło z rąk autorki, gdy fala brawurowych tonów zabrzmiała z przeciwka. Czoło jej sfaldowało się, pociągała twarz namarszczyła się surowym wyrazem.

Gdzież miała zakopać się przed odgłosami świata, zanurzonego w uciechach zmysłowych? Jako sekretarka klubu kobiet postępowych, miss Florence Williams była przykutą do Londynu, ale osiadłszy zdale od ulicznego zgiełku, w jednym z tych nieodgadzionych zakątków, gdzie gnieźdzą się ciche, wieczorem opustoszałe pracownie malarskie, spodziewała się być sam na sam z sobą. I nigdy dotąd gra fortepianowa nie przerywała jej pracy nad artykułami i pamfletami, za pomocą których rozprzestrzeniała swe poglądy na kwestię kobiecą. Dopiero tego wieczora zakradły się do jej przybytku tony muzyki, jakby chcąc zakłócić wieczorną ciszę, stargać wątek myśli i ściągnąć ją gwałtem z ideologicznej wyżyny w prochy elementarnego istnienia.

Zirytowana miss Williams sądziła, że powinny istnieć przepisy policyjne, wzbraniające hałaśliwych wybryków w tem artystycznym zacisku i postanowiła poskarżyć się przed gospodarzem na nowego lokatora. Ież bowiem wzniosłych myśli mogły rozpędzić bezmyślne płody ulotnej muzy, czyniąc ogół, może ludzkość całą, uboższą? A czyż i w tym wypadku brutalna siła miała obrócić wniwecz szlachetne zamiary kobiety?

Ucichły akordy, lecz ozwał się donośny głos barytonowy, niosący jej wstępne słowa serenady:

„Adieu, Suzon, ma rose blonde
Qui m'a aimé pendant huit jours...”

Och, to już nie do zniesienia! Panna Florentyna zapiściła z łoskotem szybę okna i zaczęła przechadzać się tam i napowrót po bibliotece, wyłożonej ciemnym kobiercem.

Półki książek, które ściany były szczelnie wysłane, nadawały gabinetowi cechę urzędową, a oko zatrzymywało się jedynie na dużej podobiznie Johna Stuarta Mill'a, wiszącej nad biurkiem. Krąg światła niskiej, zielonym kloszem przysłoniętej lampy, nie sięgał wyrazistej twarzy sławnego socjologa, lecz rozkładał się po drukach i papierach, pokrywających biurko, oraz po części obicia, oczekującego portretu samej panny Williams, gorącej wielbicielki autora: „Ujarzmienia kobiet” i „Wyzwolenia”. Opodał duże okna kilka krzeseł i foteli okalało japoński stolik bambusowy. Zresztą mroczna przestrzeń biblioteki była wolną.

Z tym przybytkiem wiedzy postać panny Florentyny nie harmonizowała; zdało się bowiem, że nawał ksiąg przygniecie i zmiażdży jej lekko narysowaną, wąską i drobną figurę, w której regularnych ruchach było coś nawskróś kobiecego. Atoli oblicze jej, zmrażające bijącym żeń chłodem, zadawało kłam

temu; zaciśnięte usta świadczyły o zaciętości, wysokie czoło o dumie i myślącym zakroju ducha, a na rysach spoczywał ton, podsuwający przypuszczenie, że jej duchowa lutnia nastrojona była na poważną nutę.

Lubo nie miała lat czterdziestu, śnieg przyprószył już jej włosy, splecione w bezpretensjonalny węzeł, wszelako srebrne nici łagodziły surowy wygląd zwiędłych lic. W półcieniu biblioteki panna Florentyna wydawała się sylsem, wynurzonym z tajemniczego pomroku.

Po chwili, usiadłszy znów przed stosem papierów, pochyliła głowę i, aby uwolnić się od muzyki i zebrać rozpierzchłe myśli, odczytywała głośno skreślony świeżo ustęp swego essay'u:

„Zamiast na wzór zgnuśniałych umysłowo kobiet W. Brytanii zdawać ustawodawstwo, dotyczące spraw kobiecych na łaskę albo raczej niełaskę posłów-mężczyzn, obywatelki Nowej Zelandyi nie tylko zdobyły sobie mandaty poselskie, ale wytrwale dążą do zniwelowania przywilejów, przysługujących płci męskiej we wszystkich gałęziach życia społecznego. Jak donoszą świeżo gazety, wystąpiły one z wnioskiem, aby żonie przysługiwało prawo rozporządzania samowolnie połową dochodu i majątku męzowskiego. W osobnej rozprawie postaram się wykazać, jak ważnym krokiem naprzód byłoby wprowadzenie w życie takiej ustawy na drodze do ekonomicznego równouprawnienia kobiet, wyzwalając je z pod materialnej zależności od mężów, oraz stanowiąc hamulec rozpasanemu egoizmowi tychże. Lecz wniosek ten sięga dalej.

„Ujawnia on dążność obywaterek do postawienia instytucji małżeńskiej na pozytywnej podwalinie, to jest zamienienia małżeństwa na ściśle i jasno sformułowaną spółkę, istniejącą w celu swobodnego zaspokojenia popędów macierzyńskich i zachowania rasy. Dotychczas w tej spółce męczyzna był dominującym

wspólnikiem, a nawet samowładcą. Prawo rozwodowe i inne zostały zredagowane w duchu partyjnym, przez mężczyzn na korzyść mężczyzn. I nie rozciągnięto prawodawstwa tak daleko, jak domagają się tego obywatelki Nowej Zelandyi, z obawy, aby nie uszczknąć znów gałązki przywilejów, mężczyznom przysługujących. Jak dawniej, usiłowano obalić racjonalne żądania czczem słowem: miłość.

„Prawodawstwo tymczasem nie może żadną miarą liczyć się z tak elastycznym pojęciem, a w dzisiejszych czasach, w których poczucie osobistych interesów i rozsądek są busolą życiową, miłość, „materya natury przez wyobraźnię upstrzona świecidełkami”, nie jest w stanie regulować spraw małżeńskich. Zresztą obserwacya życiowa poucza nas o tem, że ów popęd, przez poetów w idealne gazy odziany, poszedłszy w niewolę zdrowego rozsądku, przestał odgrywać rolę przy kojarzeniu związków i w pożyciu małżeńskim. Stwierdza to wiele głosów śmiałych, do wyświeatlenia prawdy dążących pisarzy. Już w zamierzonych wiekach średnich, w roku 1174, kapelan króla francuskiego orzekł „stabilito tenore” przed sądem „miłości” hrabiny Szampanii, iż „miłość pomiędzy mężem i żoną jest niemożliwą”.

„Wszelako, z chwilą, gdy dwa osobniki wchodzą w ściślejszy stosunek, następuje walka odnośnych indywidualności, która prowadzi albo do kompromisu, albo do rozterki. Chodzi zatem o to, aby kobieta jak najlepiej była przygotowaną do tej walki i naczelne zajęła stanowisko. Jakoż utrzymuję, że rozwijanie uczuciowości w kobiecie jest szkodliwem dla jej interesów osobistych i płci żeńskiej w ogólności, innemi słowy, że miłość żony do męża jest niepożądaną.

„Wiadomo bowiem, że przewaga pierwiastku uczuciowego nad rozumowym jest dowodem słabości i niskiego rozwoju cywilizacyjnego, zaniku lub braku indywidualności. Niestety, istnieją jeszcze w naszym

kraju zacofane matki, które schlebiając mężkemu egotyzmowi, wpajają w córki przekonanie, że miłość powinna splateć ręce małżonków, że jest ona jedyną ścieżką do kariery, a słabość siłą i bronią ich, źródłem zadowolenia i szczęścia. Tym sposobem utrzymują niewiastę poniżej człowieczeństwa. A tymczasem miłość, jeżeli nie jest czczem słowem, okazuje się nieodzownie źródłem niepokoju i rozterek duchowych, obniża intelektualną wartość człowieka, prowadzi do zaniku godności i do upodlenia, kryje w sobie zarodek nieszczęść. Odarta z poetyckich przysłów, staje przed nami nie w szacie boskiej, lecz jako niski i zwierzęcy popęd, surowa i prymitywna materya natury, jako przeciwstawienie wszystkiego, co w człowieku jest wzniosłem. Ze strony miłości grozi płci żeńskiej wielkie niebezpieczeństwo.

„Zdobycze swe na drodze do równouprawnienia zawdzięcza ona swej niezawisłości umysłu od wpływów męskich. Odkąd bowiem zaczęła spoglądać na mężczyznę poprostu jako na człowieka, wyzwołała się z pod jego przewagi, a na gruncie uświadomienia swego powołania w społeczeństwie rozkwitła bujnie jej indywidualność, która popchnęła ją do bogatej w owoce działalności.

„Tymczasem miłość, poddanie się pod jarzmo mężczyzny, wytrąca z jej rąk berło przewagi, wprowadza ją w letarg biernego bytu, umysłowego niedołęztwa, zabija ambicje i samoistość. Przykuta i zaślepiona do mężczyzny, kobieta staje się ofiarą jego samolubstwa, w życiu społecznym przykłada rękę do umocnienia jego przywilejów. A zatem niewiasty powinny wystrzegać się tego uczucia, nie wychodzić za mąż za człowieka, którego wpływowi podlegają, lecz idąc za głosem rozsądku, łączyć się z mężczyzną prymitywnym i ze zdrowego pnia, stojącym na niższym szczeblu umysłowej kultury. Ponieważ zaś natura powierzyła kobiecie zachowanie

rasy, jej to przysługuje prawo wyboru ojca swych dzieci, a nie odwrotnie.

„W tym duchu ukształtowana kobieta nie pozwoli wywodzić się w pole, poniżać w oczach ludzkości. Wówczas instytucja małżeńska odmienną przybierze formę i nie stanie na przeszkodzie do ostatecznego tryumfu nad zwyrodniałą płcią męską. Zważywszy zaś, iż natura udzieliła kobiecie pewne przywileje, równouprawnienie oznacza tyle, co hegemonia płci żeńskiej, powołanej do odrodzenia świata.

„Zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, gdzie sprawa kobieca posunięta jest o wiele dalej, niż w innych krajach europejskich, gdzie samodzielnego umysłu kobiety wywalczyły sobie szereg praw, oraz spowodowały ewolucję w zasadniczych poglądach na kwestię kobiecą, a licznie przerastają mieszkańców płci męskiej o milion dwakroć sto tysięcy głów i szczytą się rozgałęzioną organizacją...”

Tu miss Williams podjęła pióro, ale zaledwie umilkła, tony zaczęły znów oblegać jej głowę, wprowadzając przytłumione i dyskretne, ale natrętne, wprowadzające do biblioteki żywioł obcy.

Muzyka zaś, którą panna Florentyna uważała za niezdrową podniecię zmysłów, spowodowała tem większą dystrykcję, bo nauczwszy się wystarczać sama sobie, żyła ona w pewnem odosobnieniu, w sferze z jej własnego ducha poczętej. Nie znosiła przeto, gdy cośkolwiek zmuszało ją do wyjścia z siebie i poddania się wpływowi świata zewnętrznego. Atoli, gdy myśli jej odczepiły się od pracy, pogodziła się ze śpiewem i zamiast przejść do innego pokoju, zaczęła się przysłuchiwać. Otworzyła okno.

Śpiew rozbrzmiewał teraz wyraźnie:

„Les plus courts plaisirs de ce monde
Font souvent les meilleures amours...”

Te Mussetowskie słowa uderzyły ją jako ostatni wyraz taktiki mężczyzn, bo panna Florentyna była niestrudzoną w wyszukiwaniu ujemnych stron znienawidzonej płci. Dobra Suzon kochała go, a on był tak wspaniałomyślnym, iż pozwolił się kochać i raczył się nią zajmować przez dni osiem. Powolna sługa kochała go dopóty, dopóki sobie tego życzył, oszczędzając mu fatygi zrywania stosunku; posiadała bowiem dość rozsądku, aby zrozumieć, że długi związek nuży, że kobieta musi spowszednieć. Złożywszy przeto w daninie pewną sumę rozkoszy, odchodziła uszczęśliwiona z królewskiej łaski... ośmiodniowej. Jeśli zakrwawiła sobie serce, milczeniem i kłamliwym uśmiechem pokrywała boleść, aby nie zachmurzyć ani na chwilę czoła mężczyzny. Za to odebrała sowitą nagrodę: grzeczne pożegnanie i tytuł jasnej róży. To była boska miłość! O błędne kobiety! Własne matki wychowały was na niewolnice! O bezduszni mężczyźni, haniebni egości, oto wasz ideał!

Melodyjny, piękny głos płynął w cichą noc majową i zdało się, że noc zasluchiwała się w serenadę, ukołysana rzewną, serdeczną nutą, której panna Florentyna, z upiorem wroga płci żeńskiej przed oczyma, nie mogła odczuć.

Z ciemnego sklepienia niebios mrugały roje gwiazd i księżyc rzucał blady woal światłości na zielony trawnik, który wąską wstęgą dzielił dwa szeregi niskich, bezpiecznych domostw, w jedną całość spojonych. Co kilka kroków z szarych murów wznosiły się duże, kwadratowe okna frontowych pokojów, do których przylegały obszerne pracownie malarzy, zaznaczające się na zewnątrz szklanymi wzniesieniami na dachu. Nie przedzierał się w to ustronie żaden odgłos ulicy, bo rozpościarał się pomiędzy niemi stek oficyn i stajni, przecięty ciasnem przejściem. Wszystko spało.

Jedynie szeroka szyba, spoglądająca wprost w mieszkanie panny Williams, stanowiła uderzającą

świeatną plamę, stłumioną w tonie. Na otwarte okno bowiem zapuszczono cienką żaluzję.

Zajawszy miejsce pod oknem biblioteki, autorka mimowoli skierowała wzrok na tę jasną szmatę i ujrzała na niej sylwetkę mężczyzny, w górnej połowie widoczną. Z ruchu ramion wywnioskowała, że grał na fortepianie. Lecz naraz zasłonił go inny cień, kobiety. Kontury jej, zrazu niewyraźne i olbrzymie, zmniejszyły się i uwydatniły ostro, gdy zbliżyła się do okna, i można było zaobserwować zgrabną głowę, nakrytą okrągłym kapeluszem, i wdzięczną figurę.

Gdy śpiew ucichł, kobieta klasnęła w dłonie i srebrny głos jej zmieszał się z barytonem mężczyzny.

Panna Florentyna nie mogła od nich oderwać oczu.

Nieznajoma rzuciła się w fotel przy oknie, on ukląkł tuż przed nią. Profile i głowy czulej pary, odrzynające się dokładnie na żaluzji, zbliżały się do siebie, sylwetki zlewały się w jedną grupę, to znów rozsuwały, a niższe ich głosy, przebiegając nieznacznie przestrzeń trawnika, zestrzały się w uchu panny Florentyny w drżący szmer, pełen uroków.

— Kiedy cię znów zobaczę, *darling*? — pytał mężczyzna.

W odpowiedzi młoda kobieta opłótła szyję jego ramionami i szepnęła mu coś na ucho. Szeptala długo, lecz ani słowo nie przekradło się po za obręb pokoju.

Po chwili wszakże ozwał się głos mężki:

— Nie ma innej rady!...

— Jednakże okropnie, że nie ma innej drogi wyjścia — rzekła nieznajoma i przysłoniła oczy chusteczką.

— Nie płacz, Heleno! Jestem przekonany, że wszystko ostatecznie będzie dobrze.

— I ja mam to przecucie, ale jednak... Donesiesz mi, czy...

— Nie kłopotuj się o to. Otrzyj łzy, droga!

Prosił, okrywając jej ręce pocałunkami.

Panna Florentyna odrzuciła pasmo włosów z czoła bezkrwistą rączką i przymknęła oczy. Chciała powstać i odejść, lecz coś trzymało ją na uwiezi.

Zegar na pobliskim kościele zaczął wybijać dziewiątą i wibrujący, poważny dźwięk spływał w nocną ciszę, przypominając im o istnieniu miasta i świata.

Cienie pierzchły w oka mgnieniu, jak mary, potem drzwi zaskrzypiały i dwie ciemne postacie wysunęły się z przedsionka. Młoda kobieta, z gęsto zawoalowaną twarzą, idąc naprzód, westchnęła:

— Jak ten czas upływał!

— Nie mam dość dosadnej klątwy — odrzekł.

Gdy pośpiesznym krokiem mijał okno biblioteki, naciskając czarny kapelusz, zasłonił ramieniem głowę, tak, że panna Florentyna nie dojrzała jego twarzy. Lecz wysoka jego postać korzystnie zrobiła na niej wrażenie.

Kroki ich przycichły i głucho było znów wokół.

Samotna autorka spoczywała długo z głową usłaną na wezgłowie fotela, jakby zahypnotyzowana, pod czarem obrazu, i spozierając zadumana gdzieś ku księżycowym wyżynom, westchnęła głęboko.

II.

Nazajutrz wieczorem, gdy panna Williams powracała do domu z wizyty i spojrzała w okno niezanego sąsiada, sylwetki młodej pary zarysowały

się przed oczyma jej duszy, uprzytomniła sobie podpatrzoną scenę i ogarnęło ją dziwne, odurzające uczucie, któremu poddała się poprzedniego wieczoru. Wszedłszy do biblioteki, mimowoli skierowała swe kroki ku oknu i długo spoglądała naprzeciwko, wywołując cienie, które utkwily jej w pamięci i, osłonięte urokiem tajemniczości, zaciękawiały ją niezmiernie. Wyobrażenia podszeptowały jej, że w tej milczącej pracowni snul się wątek miłosnej historii.

Ale w ciągu wieczora ciemność i niezakłócony spokój panowały nad całem zaciszem, sprawiającem teraz na niej wrażenie pustkowia. Odczuwała w niem instynktownie brak czegoś, co nie miało nazwy w jej słowniku, brak promienistej iskry życia, która od kochanków szła do niej, przenikała ją dreszczem i budziła w niej przystońnię, uśpione na dnie jej istoty pragnienie radości.

Aby upożorować przed sobą i usprawiedliwić pewne rozstrojenie nerwów, robiła sobie wyrzuty za swą pustą ciekawość i niedyskrecję, oraz wzniecała w sobie oburzenie na nieznanego, powtarzając:

— Uwodziciel, nikczemnik, skandaliczna sprawa. Z pewnością nie omyliłam się w domysłach!

Osoba i los młodej nieznanym zaczęły żywo zajmować pannę Florentynę. Musiała ona pochodzić ze sfery inteligencji. Za przypuszczeniem tem przemawiał nie tyle ubiór i dystygowana powierzchowność, ile raczej sposób wysławiania się i intonacja pełna kobiecego wdzięku, które zdradzały ogładę, uprzejmość w obejściu i kulturę umysłową. Nieraz zdarzało się spotkać pannie Florentynie osoby, jak najlepsze robiące wrażenie, a dość było posłyszeć z ich ust kilka, chociaż banalnych słów, aby odrazu odkryć w nich nieokrzesane kobiety. Niezawodnie wykradła się od rodziców lub męża, by stawić się na schadzkę.

Lecz czyż podobna powziąć takie przypuszcze-

nie? Czyż mogła zapomnieć się tak dalece, pozwolić się wyprowadzić na manowce?

Widocznie odurzył egzaltowaną kobietę kadzidłami czczych pochlebstw, zaklęć i frazesów. Garść błyskotek rzucają mężczyźni pod nogi kobiet, chcąc zaćmić ich rozsadek, wyzuć z godności, ujarzmić i odsunąć je tym sposobem od wielkiej uczyty życia. A nie poczynalże on już śpiewać na inną nutę? Ostatnie jego słowa wydały się pannie Florentynie wymuszone i nieszczerze; kusił się o dobitne wyrażenie wrzekomego żalu nad rozłączeniem, bo go istotnie nie odczuwał. A cóż oznaczały słowa: nie ma innej rady? Naturalnie nie było innej rady, musiał ją porzucić. Przeczując taki koniec romansu, nieznanoma płakała. Zapłacze gorzko, gdy on wprost do niej zanuci: *adieu, ma rose blonde*.

W miarę, jak nasuwały się pannie Florentynie różne wątpliwości i inne przypuszczenia, wzmagala się niepomahowana ciekawość i postanowiła zasięgnąć języka o nowym lokatorze.

W kilka dni, przez które autorka nie widziała ani „jej”, ani „jego”, przyszła posługaczka, aby jak zwykle raz na tydzień zmyć podłogę w przedsionku. A ponieważ pani Buns uprzątała także niektóre z pracowni malarskich, panna Williams, po chwili walki z sobą, zagadnęła ją:

— Czy wynajęto mieszkanie, które zajmował pan Stephens?

— Przed trzema tygodniami wprowadził się tam pewien dżentelman — odparła posługaczka, szorując twardym kawałem mydła podłogę.

— Zapewne także rzeźbiarz? — rzuciła stara panna.

— Nie — rzekła pani Buns, podnosząc zdziwione oczy na autorkę, która w sobie zamknięta, nie wdawała się nigdy z nią w pogawędkę. — Gdzieżby taki dżentelman miał brudzić sobie ręce w glinie, albo smażyć beefsteaki na kominku, jak

mister Stephens! Myślałby kto, że mister Stephens nie miał za co wypić szklanki piwa, a on nabył teraz kamienicę, ten sknera!

Panna Williams uśmiechnęła się z tego, że pani Buns poczytuje smażenie beefsteak'ów za nieodzowną cechę rzeźbiarza, ale życzyła sobie mniej posłyszeć o nim, a więcej o nowym lokatorze. Jednakże zawsze skłonnej do wypoczynku posługaczki nie potrzeba było prosić, ciągnęła dalej:

— Takiego dżentelmana dawno nie mieliśmy tutaj. Powiadam pani, co on ma za piękną bieliznę. Kaftaniki jedwabne...

Panna Williams życzyła sobie mniej posłyszeć o bieliznie, a więcej o jej właścicielu.

— Wogóle prawdziwy dżentelman! Onegdaj gdy przyszedłam rano uprzątać pokój... Ale on tutaj nie mieszka; wielka pracownia stoi pustką, tylko frontowy pokój urządzone ślicznie, z fortepianem, ale bez łóżka. Tej nocy mister Oswald spał na swej czerwonej kanapie tureckiej i kazał mi zrobić śniadanie. Dał mi za to trzy szylingi i mówi: niech pani wypije szklankę piwa za moje zdrowie i powie, co słyhać nowego. Toż wypilam piwa za jego zdrowie! Naopowiadał mi moc żartów. Nie uśmieiałam się tak od ślubu pani Jones, która, jak pani wiadomo, ma sklep jarzyn na rogu ulicy. To prawdziwy dżentelman, a nie dumny, piękny pan.

Pochwały posługaczki drażniły pannę Florentynę i przerwała.

— Czem on się zajmuje?

— Tego nie wiem—odrzekła zawstydzona swą ignoracją pani Buns.—Zdaje mi się, że on sobie pisze nuty, czasem pogra, pospiewa i nie widać go przez kilka dni. Pewnie wyjeżdża, aby grać w kromkę, w golfa, lub na polowanie... zwyczajnie jak dżentelman.

— Czy on żonaty?

— Żonaty? Nie... Pewnego razu pyta mi się:

pani Buns, ma pani męża? a ja na to: mam męża woźnicę i ośmioro dzieci. On zaś mówi: niechaj go pani trzyma krótko w cuglu, aby nie zajeżdżał do szynku. Jeśli pani raz już zrobiła to głupstwo i chłopca sobie wzięła, należy go pilnować, bo jakby go nie stało, drugi raz pani gotowa zrobić głupstwo. Pewnie sam nieżonaty. Urodziwy dżentelman, sześć stóp wysoki, śpiewa donośnie, to i panie lgną do niego. Nie wie może, którą wziąć.

Rysy panny Florentyny oblokły się w jowiszową grozę. Oddaliła się, wynosząc tę pewność, że pan Oswald posługiwał się mieszkaniem do tajnych schadzek, że był muzykiem z zawodu i najohydniejszym potworem pod słońcem.

— Oswald! — powtarzała sobie, starając się przypomnieć sobie napróżno, gdzie słyszała to nazwisko.

Tymczasem pani Buns zupełnie była zadowolona z pogawędki, bo za najzabawniejsze uważała te rozmowy, w których jej samej nie zamykały się usta. Ośmielona teraz do panny Williams, przy najbliższej sposobności przyniosła świeżą wiązkę wiadomości o tajemniczym, prawie nigdy nieobecnym lokatorze.

— Pytała mi się pani, czy pan Oswald żonaty... Well, wydało się, że jest narzeczoną.

Tu posługaczka przerwała, aby pozwolić pannie Florentynie ochłonąć z wrażenia, jakie tak ważna wieść musiała na nią wywrzeć. Gdy spostrzegła na twarzy autorki odciśnięte niezadowolenia, które w tem miało swe źródło, iż starej pannie zdała się wymykać z pod mikroskopu sposobność do studyowania czerni charakterów, posadziła ją, że pomimo siwiejących włosów, chętnie zarzuciłaby wędkę na przystojnego sąsiada.

— Wczoraj opóźniłam się z uprzątnięciem pokoju pana Oswalda—zaczęła z namaszczeniem posługaczka, wspierając swe grube, niby kłody, ramiona na poręczy schodów—bo pani Jones wyprawiała chrzci-

ny. Świetnie wystąpiła: piwa dała kilka „kwort“, jakby w Kanie galilejskiej, skopowinę z pomidorami, placki, dżyn... A zatem dopiero z południa przysłałam ścierać pył. Pana Oswalda znów nie zastałam, ale wnet zapukano i stanęła przedemną wysoka panica, biała jak mleko. Wystroiła się do kawalera w białą, flanelową suknię i białe trzewiki. Dosyć sobie tęga, ale bodaj nie waży więcej nad dziesięć stone'ów. Na mój widok mocno się zaczerwieniła, bo nie godzi się pannie chodźć do dżentelmana. Wprawdzie pan Oswald dżentelman zasobny, a więc nie będzie jej krzywdy, jednakowoż nieładnie, bo nuży się rozniosło. Mówiła, że nie spodziewała się zastać pana Oswalda, chociaż mnie tam oczu nie zamydli, włożyła w wazon dwa bukiety kwiatów, „zawinęła się“ i poszła.

Z opowiadania przezacnej pani Buns nie wynikało, aby młoda kobieta była narzeczoną muzyka, lecz posługaczka przywiązywała do tego określenia bardzo szerokie i trochę niejasne pojęcie.

Tego samego dnia, pod wieczór, panna Williams, pracując w bibliotece, posłyszała łoskot otwieranego okna i szybko przypadła do fotelu, aby przez szparę, pomiędzy obramowaniem okna i zapuszczoną żaluzją przyjrzeć się, co się dzieje w przystani muzyka.

Niewidoczna z przeciwka, mogła przeto objąć okiem znaczną część nie głębokiego pokoju, gdzie widać było pianino z wazonami kwiatów. Całą uwagę starej panny pochłonął naturalnie sam lokator, brunet z twarzą smagłą, bez zarostu, z odrzuceniami śmiało włosami, profilem dumnym, rzymskim. Bili z tej twarzy wesołość, swoboda i zapał. Gdy pałac papierosa, wsparł się na gzymsie okna i wychylił głowę, wydał się w tej niedbałej pozycji jednym z tych, którzy, gdy iskra zapali zasoby ich energii i popchnie ich w pewnym kierunku, rzucają

się naprzód, niepomni przeszkód, ścielących się po drodze.

Panna Florentyna wzięła go za syna gór walijskich lub Zielonej wyspy, za portret artysty, plastyczny do złudzenia, ujęty w ramy okna. I lubo zaspokoila ciekawość do woli, nie mogła nasycić się widokiem bohatera „skandalicznej sprawy“, wyznając sobie, że nieco odmiennie wyobrażała sobie tego „nikczemnika.“ Ozwał się w jej duszy jakiś łagodniejszy ton i rozbrojona z arsenału bezpodstawnych uprzedzeń, epitet: nikczemnik, zastępowała w myśli określeniem: „ten mężczyzna.“

Tymczasem pan Oswald, nie zmieniając pozy, spoglądał bez przerwy ku wyłomowi w szeregu przeciwnych domów, który zapoczątkowywał wyjście z czworoboku na ulicę, i raz po raz wydobywał zegarek, widocznie oczekując przybycia „swej ofiary.“

Naraz światłość padła na jego oblicze taka, jakby pożłociła ją słońce. Dał się bowiem słyszeć szelest sukni i na trawniku ukazała się młoda kobieta w eleganckim czarnym stroju letnim, w różowym słomkowym kapeluszu, suto w róże ubranym, zawalowana gęsto lśniąca gaza, z pod której wyzierały splecione w falisty węzeł włosy lniano-żłote.

— George.. — zaczęła żywo, gdy drzwi przedsionka odemknęły się przed nią, lecz dalsze jej słowa i ona sama pograżyły się w głębi korytarza. Po chwili wszakże ukazali się w pokoju oczom panny Williams.

— Musiałam przybiedz na chwilę. Śpiewałam ślicznie. I jak dobrze, że wybrałeś na „encore“ intermezzo z Pagliacci!—mówiła nieznajoma, zdejmując kapelusz.

— I temu zawdzięczam niespodzianą wizytę?—pytał, całując jej ręce.

— Nietylko temu. Tęskniłam...

Biblioteka. — T. 40

Tu panna Florentyna zamknęła oczy, aby nie patrzeć na nich, wsłuchiwać się bez roztargnienia w odgłos powitalnych czułości.

— Nie byłam pewną, czy cię zastanę. Domyślałeś się, że przyjdę?

Muzyk wyrzwał na trawnik i nie dostrzegłszy żadnego niepowołanego widza, usadowił Helenę w krześle przy oknie, a sam, zajmując miejsce tuż przed nią, mówił:

— Daję słowo, sam nie wiem, czemu wprost z koncertu dałem się tu przywieźć. Schodząc z estrady, gdy spojrzenia nasze się skrzyżowały, zdało mi się, że mrużąc twe niepocziwe szafiry, przesyłasz mi wezwanie. Z radości o mało nie spadłem ze schodów, wiodących do pokoju artystów.

— Ó, George! Przesadzasz!—roześmiała się zarumieniona.—Ale to dziwne, że mnie zrozumiałeś.

— Rzeczywiście. Miłość ma swój język, niepodobny do zrealizowania, a wyraźny i piękny, jak muzyka.

Pieszcząc jej ręce, spytał:

— Dlaczego to dopiero twoja trzecia wizyta? Nic nie stoi ci na przeszkodzie i mnie nie obawiasz się przecież?

— Nie!—odparła Helena.—Ufam ci, wiem, że mnie szanujesz, zresztą... jestem panią siebie.

— Moja najdroższa Heleno! — zawołał, jakby dziękując jej za tę odpowiedź. — A zatem przybądź jutro.

Po chwili namysłu młoda kobieta zrobiła przeczący ruch głową.

— W sobotę będziesz miał moją wizytę, bardzo długą... na całe życie.

Chcąc jemu i sobie wynagrodzić zwłokę, podała mu obie ręce. Ciemna jego głowa przysłaniała śnieżne lica Heleny i od szczęśliwej płynął szmer czułych słów ku pannie Florentynie, która to przy-

mykała, to podnosiła powieki. Lecz widocznie było nad jej siły wyrzec się widoku.

— Przeklęta sprawa!—zawołał naraz Jerzy—że czekają mnie jeszcze dwa koncerty; radbym jednym susem przesadzić sześć dni dzielących nas od...

— *No, darling*, nie prosz, abym przyszła przed sobotą. Zresztą lękam się, aby nas kto nie wyszedził.

— Ależ dlatego prawie nigdy tu nie bywam.

— Gdyby kto z sąsiadów cię zoczył, poznanoby cię odrazu. Mogłoby to dojść do uszu...

— Wieczne milczenie i pustka zalegają to ustroenie, ludzie tu żyją, niby myszy w jamie, obok dwie pracownice stoją pustką.

— Jakie to miłe zacisze!... Jak często widzę je w mych myślach... Ale niekiedy budzą się we mnie obawy. Nasunęło mi się bowiem przypuszczenie, czy kto nie doniósł ojcu... Ale być może, domyśla się on czegoś prosto, widząc mnie tak ożywioną od czasu naszego porozumienia, bo ojciec wszystko zauważy, lubo nic po sobie nie pokazuje.

— Czy mówił coś do ciebie?

— Przedwczoraj, gdy zastał mnie samą w salonie, spytał się od niechcenia, czy wybiłam sobie ciebie z głowy, a gdy mu odparłam, że nic nie wpłynę na zmianę mych uczuć, odparł trochę zirytowany:

— Uparłaś się... Uporczywość zda się być wybitną cechą kobiet młodszej generacji. No, będąc pełnoletnią, masz prawo po swej stronie i wolno ci zrobić każde głupstwo. Lecz jeżeli rozsadek nie odezwie się i nie przemówi do sir Vincent Lintona, który jest dla ciebie jedynie odpowiednią partią, musisz wyrzec się ojca...

— Ach, gdyby ojciec mniej uwzględniał stronę prawną, a więcej był mi ojcem, ośmieliłabym się wreszcie wypowiedzieć przed nim, przekonać go, iż

nietylko serce, ale rozsądek nakazuje mi sprzeciwić się jego życzeniu. Miałam na ustach wyznanie, ale zdawało mi się, że stoję przed sędzią i zamilczałam. Mimo to, coś mi mówi, że on pogodzi się z dokonanym faktem.

— Ha!—wybuchnął Jerzy.—Niepodobna pojąć, jak człowiek tak świątły, inteligentny, prokurator królowej, mógł ugrząść tak głęboko w konwenansach. Zresztą, na Jowisza, w pojęciu dzisiejszych ludzi mój baryton tyle znaczy przecież, ile sędziowska barania peruka i fortuna sir Vincent, może więcej... Nasi ojcowie posiadają pewne zalety, których nam brak, ale my natomiast możemy poszczycić się szerszymi na świat poglądami, uważamy kobiety za rozsądkiem wyposażonych ludzi, nie upieramy się...

— Prawda, George — przerwała — ale nie mów nic... Jeżeli ojciec mój uporczywy, to ja po nim odziedziczyłam tę właściwość, a nie możesz przecież utyskiwać na moją uporczywość...

— To pewna, że przekazał ci on swe adwokackie zdolności, moja najdroższa!—zawołał z uśmiechem. — Szkoda wszakże, że wzbrania się pomóc mi ze mną w cztery oczy; musi być droga do niego. Wprawdzie nie robię sobie najmniejszych skrupułów, ale chodzi o ciebie. A czy sir Vincent nie podobał ci się ani trochę?

— O, George, jakis ty zabawny!—rozśmiała się radośnie, pieszcząc go po twarzy rączkami. — Nie masz mnie przecież za dziecko, które nie wie, czego pragnie i kogo kocha?... Czy pragniesz, abym cię kochała trochę?

Dalszą rozmowę przerwały George'a uściski rąk. Po chwili wszakże, z twarzą oblaną szkarlatem, zasłoniła mu usta dłonią, mówiąc:

— Czas na mnie... Ale, George, postąpimy najwłaściwiej, jeżeli zaraz po koncercie wyjedziemy.

Drzę na myśl o scenie z ciotką i z ojcem, na wypadek, gdyby wysłiedzono naszą kryjówkę.

— Tu, moja droga, jesteśmy najbezpieczniejsi. Nikt nie wpadnie na nasz trop. Zresztą lubisz to zacisze, a gdy nastąpi spotkanie, ja cię zasłonię. I ostatecznie świat cały jest bezbronnym przeciw nam, mamy prawo za sobą i dzielnego przed ludźmi rzecznika: miłość...

— A zatem, darling, w sobotę...

— Spotkamy się o jedenastej, jak się umówiliśmy. Poprzednio spakuję rzeczy, wywożę, pozostawiając gospodarza w mniemaniu, że niezwłocznie po koncercie wyjeżdżam na kontynent. A tymczasem my tu przenocujemy, nazajutrz zaś z południa odpłyniemy ku fiordom... O, gdyby to już...

— Niezadługo już darling—szepnęła, i przytuliła się do jego piersi, a kaskada tkliwych wyznań lała w serce muzyka upajające zdroje.

Gdy wysunęła się z jego objęć i znikła, ujął bukiet róż, poił się ich wonią i jaśniejący szczęściem, zatopiony w słonecznych myślach, dotykał ustami kwiatów różowe głowy.

III.

Zamęt i bezład zapanowały w dumaniach panny Florentyny, gdy znużona, rozstrojona, niemal złamana, spoczywała w fotelu. Nigdy nie była świadkiem podobnej sceny i teraz, gdy pokój naprzeciwno opustoszał, nie była pewną, czy wszystko to było prawdą, czy wytworem wyobraźni. I wydało jej się, że huragan przeszedł po ogrodzie jej teorii, ogołocił go ze wszystkiej krasy, połamał łodygi troskliwie wychodowanych kwiatów i pozostawił smutną pustkę.

Lzy zaszklily się w jej oczach. Ocierała je machinalnie, nie pytając, gdzie ich źródło. Zaprzestała krytykować „tego mężczyznę”, wzbudzać w sobie

litość dla „niej“; zawiadnęło nią zobojętnienie dla siebie, dla świata, swych prac i ideałów. Wstąpiła w nieznana sferę uczuć, pełną dotkliwych przykrości, lecz zarazem przesiąkniętą subtelnym, rozkosznym prądem. Zapatrzona przyjaznym okiem w mieszkające muzyka, westchnęła, potem mówiła coś do służącej, która pytała o kolację, kazała sobie przynieść herbaty i płakała.

W reformatorce i człowieku ocknęła się kobieta.

Następnego dnia powstała z łóżka blada, z przegastłymi żrenicami. Dopiero gdy odwiedziła ją niespodzianie jedna ze znajomych dam i wywiozła na dłuższą przejażdżkę za miasto, panna Florentyna przyszła do siebie.

Wprawdzie pani Forster była zbyt światową osobą, aby zaskarbić sobie łaski reformatorki, jednakowoż potoczna rozmowa, nie wymagająca umysłowego wysiłku, stanowiła pożądaną dystrakcję, odwołując ją od samej siebie. Zapragnęła nawet towarzysztwa pani Forster na koncercie, w którym, jak wychyłała w gazecie, brał udział Jerzy Oswald.

W toku rozmowy kilkakrotnie chciała zagadać przyjaciółkę o śpiewaka, oraz o „ową blondynkę“, córkę prokuratora, lecz obawa, aby pani Forster nie wyczytała jej sekretu z twarzy, zamykała jej usta. Występ zaś jego na koncercie upozorował indagację z jej strony i w tym celu głównie zaprosiła panią Forster z sobą. Jeśli wymieniano imię Heleny w kołach towarzyskich w styczności z imieniem słynnego barytonisty, nie wątpiła, że pani Forster potrafi dać jej pożądaną informację, gdyż zamilowanie jej do muzyki i teatru objawiało się przeważnie w dokładnej znajomości osobistych stosunków artystów, zwłaszcza ich spraw mniej lub więcej skandalicznych natury.

Uczucia jej względem kochanków uległy zmianie. Pan Oswald przestał być antypatycznym i nik-

czemnikiem, pragnęła ujrzeć go jak najprędzej i widywać jak najczęściej. Wspomnienie Heleny zaś wywoływało głuche uczucie niechęci i zazdrości.

Wszelako panna Florentyna nie śmiała zeznać przed sobą prawdy, zamykała oczy na istotny stan swego serca. Natomiast uciekała się do okłamywania samej siebie.

Nie z ciekawości pragnęła poznać nazwisko Heleny, lecz z wyższych pobudek. Nie mogła przecież spoglądać spokojnie na upadek zbłąkanej kobiety, która zmierzała ku przepaści. Bo pan Oswald, zapewne zepsuty powodzeniem, nie zrobiłby takiego „głupstwa“, aby poślubić Helenę wbrew woli jej ojca! W ciągu długiej rozmowy nie było mowy o ślubie! Byłoby ciężkim grzechem wydawać Helenę na pastwę męskiego egoizmu; należało ją ratować.

Myśli „ratowania“ Heleny od niebezpieczeństwa nie podyktowały jej teorie, absolutnie bezsilne wobec realnej, o struny jej serca potrącającej sprawy. Słuchiła ona jedynie za parawan, przysłaniający pospolitą zazdrość. Sama nie żywiąc nadziei, aby mogła zająć miejsce Heleny, nie życzyła sobie widzieć innej kobiety w jego ramionach. A ponieważ los młodej kobiety nie grał żadnej roli, nie zastanawiała się zrazu wcale, jaką drogą wyprowadzić ją z matni, lecz uspokajała się, miała ostentacyjnym zamiarem, upajała szumnie i zgódnie z jej zbłądłymi teoryami brzmieniem słowem: ratunek!

Z bijącym sercem weszła panna Williams do sali koncertowej, tak przepelnionej różnobarwnymi toaletami i strojnemi kapeluszymi, że robiła wrażenie lanu falujących kwiatów.

Lecz otoczenie nie ściągnęło wcale jej uwagi; jakby w półśnie czekała występu pana Oswalda, a gdy wreszcie pojawił się na estradzie, witany żywymi oklaskami, twarz panny Florentyny wypogodziła się.

Odrazu śpiewak zawiadnął całem audytorium

pięknym organem, zrozumieniem pieśni i przejęciem się melodyą. Tony same przez się, bez względu na cel, jakiemu służyły, były dlań źródłem radości duchowej, wsłuchiwał się w nie, niby ptak w swe tryle, słowa pieśni zaś tchnęły w nie iskrę ducha, stanowiąc niejako podkład, czy natchnienie. I gdyby nawet ucho nie pochwyciło słów, śpiew sam przenosił przewodnią myśl utworu w piersi słuchaczy, wzbudzał nastrój, pod którym powstały strofy. Jakóż pieśń zamieniła się w muzyczny poemat.

— Dawno nie słyszałam go tak śpiewającego! — zawołała pani Forster, klaskając entuzjastycznie.

Panna Florentyna milczała, przejęta do głębi. W tej chwili przekonała się jasno, że nie jest jej obojętnym.

— Czarujący człowiek! — rzekła pani Forster. — Chciałabym go spotkać w towarzystwie. Żal mi go...

— Czemu? Czemu? — podchwyciła panna Florentyna, siląc się na ton obojętny.

— Musiałas słyszeć, że był żonatym z Ellą Masketyne, tą piękną sopranistką, która pięć lat temu sprawiła w Londynie istną sensację. Ale z pewnością wiesz, jak się to skończyło.

— Jak się to małżeństwo rozeszło?

— Wyobraź sobie — ciągnęła żywo pani Forster, czując się w swym żywiole — po ślubie okazało się, że piękna Ella zdradzała pociąg do... kieliszka. A nałóg ten rozwinął się wkrótce do tego stopnia, że oddano ją do zakładu dla alkoholizmem dotkniętych osób. Stan jej jest okropnym, beznadziejnym. Biedny mr. Oswald! Podobno odwiedza ją od czasu do czasu. Tak interesujący człowiek!

— Zapewne wziął rozwód?

— Niezawodnie, dość, że wkrótce ma poślubić pewną Amerykankę, nie młodą, lecz niezmiernie mądrą, która oddawna nim jest zajęta.

— Czy to pewne?

— Mogę ci zaręczyć. Chodziły pogłoski, że miał wejść w związek z miss Egerton, córką lord justice.

— Czy mówisz o prokuratorze Egerton z Portman square? — podchwyciła panna Florentyna.

— Tak jest. Ojciec sprzeciwił się, zagroził jej wydziedziczeniem i ostatecznie miss Egerton wychodzi za sędziego sir Vincent Linton, a nasz śpiewak bierze miliony i starą Amerykankę. Ale wystaw sobie, co opowiadano mi o lordzie Lister i pani Harrington, żonie owego milionowego piwowara, która na wyścigach...

Tu pani Forster rozpoczęła skandaliczną historię, która obiegała właśnie koła wyższego towarzystwa, ale przyjaciółka zaledwie jej słuchała.

Zaspokoiwszy swą ciekawość, nie podzieliła się z panią Forster wiadomościami o panu Oswaldzie ze swego źródła. Zresztą pieściła nadzieję, że może on istotnie zamierza połączyć się z amerykańską milionerką. Jaki los spotkałby wówczas Helenę? W tem przypuszczeniu było coś kojącego, błogiego. Nie żyjąc sobie zakłócać pogodnego usposobienia wido-kiem pięknej panny Egerton, panna Florentyna nie rozglądała się za nią po sali, ale gdy po koncercie, wśród natłoku zwolna posuwała się ku wyjściu, ujrzała znajomą sobie blondynę, w czarnej lekkiej sukni i różowym kapeluszu, w towarzystwie kilku dam.

— Przepięknie śpiewa i sam piękny, czarujący... — mówiła jedna z dam zapewne o panu Oswald do Heleny, której śnieżne lica powlokły się radosnym szkarłatem. A uśmiech jej, jak kwiat, miał swą woń, bo gdy pierzchnął, pozostawił na jej twarzy odbłask czego, wielkiego szczęścia.

Drobne to zdarzenie, które panna Florentyna zaobserwowała, odjęło jej jasny nastrój umysłu, i po-

żegnawszy niebawem towarzyszkę, podążyła do domu spochmurniała.

Nie było go w zacisznym pomieszkaniu. Przybył wszakże nazajutrz po południu i autorka zauważyła ze swej kryjówki, że długo krzątał się po pokoju, robiąc widocznie przygotowania na przyjęcie swej... blondyny.

Widok czarującego mężczyzny tak dalece pochłaniał uwagę starej panny, że zaledwie zdawała sobie sprawę, iż on urządza sypialnię dla „niej“, tej hożej, młodej kobiety, której sypał pod nogi tyle wyznań miłości.

Wieczór ten upłynął rozkochanej pannie Florentynie w półśnie rozmarzenia. Wyobrażała sobie bowiem, że jej własny cień zapanował w przystani miłości. Gdy śpiewał, śpiewał dla niej, panny Williams, nie tej starej, siwiejącej, ztetryczalej, zgorzkniałej reformatorki, lecz młodej, uroczej, kochającej. Gdy zamyślony siedział w krześle, jej potret wywoływał przed oczy duszy, gdy uśmiech błysnął na jego twarzy, ją całował w myśli, gdy westchnął, za nią tęsknił, gdy leniwym ruchem wznosił ramiona w górę, pragnął ją objąć jak najprędzej. Bo kochał ją, tylko ją...

Przycisnąwszy ręce do piersi, panna Florentyna zapatrzyła się w niego zamglonem okiem i — ktoś bylbym posądził ją o to? — gorącym szeptem wyznawała mu swą miłość... Ciskała mu pod nogi swe serce bezwzględnie, oddawała mu się serdecznie i raz po raz ze wzburzonej falą uczuć piersi uciekało nieposłyszane westchnienie: ach, gdyby mnie kochał...

Jakżeż daleko odbiegła od swych teoryj?

Śpiewak przespał tę noc w swej kryjówce, nie chcąc rozstać się z wspomnieniami swej ukochanej, które odnajdywać tu musiał żywe i urocze. Do późna też przelewał potok swych uczuć w tony, spo-

wiadał się muzyce ze swych nadziei i szczęścia, a stara panna z przeciwka patrzyła, słuchała, dumiała...

IV.

Helena! — Z tem imieniem na ustach zbudziła się nazajutrz autorka i uprzytomniła sobie jasno wszystko. Nie zeznała jednakże przed sobą, że jedynym bodźcem do czynu, do wyjścia z roli biernej była zazdrość, bo lękała się śmieszności nawet wobec siebie samej. Jakoż projekt „ratowania zbłąkanej, szalonej dziewczyny“, wyłonił się znów i zaprzął jej głowę.

Czas nagił. Następnego dnia mieli przybyć pokryjomu i raz jeszcze, może po raz ostatni, stargać jej nerwy. Należało działać niezwłocznie.

Atoli panna Florentyna nie od razu powzięła postanowienie. Czy miała wystosować list do niej lub do jej ojca? Nie. Tym sposobem bowiem zdradziłaby swą niedyskrecję. Anonimowe listy zaś uważała za niegodne siebie i nie wiodące do celu. A gdyby nawet prokurator dał wiarę jej pismu, czyliż Helena nie mogłaby skutecznie swego zamiaru w kilka dni później? Ostatecznie zdecydowała się panna Florentyna poprosić pannę Egerton do siebie przez służącą, zanim przestąpi próg kryjówki muzyka, pomówić z nią otwarcie, w cztery oczy, odezwać się do jej rozsądku, rozbudzić uśpione poczucie kobiecej godności.

Mimo, że podjęła się roli opiekunki, tak zgodnej ze swemi teoryjami, bez zapалу myślała o „ratowaniu“ Heleny, nie czując się na siłach, aby spojrzeć jej śmiało w oczy, bo w głębi jej duszy szeptał głos sumienia, iż zamierza stroić się w fałszywe pióra.

W rozterce z sobą oczekiwiała przybycia kochanków. Godziny upływały leniwo. Wybiła siódma i ósma, potem wieczór zapadał, stada sinych

chmurek usiały się na posmutniałym błękitie niebios. Rozgorzały w różowych blaskach zachodzącego słońca i zagasły. Noc nadchodziła chłodna, lecz w pokoju muzyka było pusto.

Nie zapaliwszy lampy, autorka stała wsparta przy framudze okna, miotana takim niepokojem, jakby wyglądała swego kochanka. Zaczęła przypuszczać, że idąc za radą Heleny, wyjechali natychmiast po koncercie w podróż, i na tę myśl ogarniał ją żal, bo bądzcobądź na dnie jej serca tliło się pragnienie popatrzenia na nich, zaczerpnięcia od nich kilku upajających kropli z krynicy radości życia. Jakoż wynajdując powody, przemawiające za rozłączeniem ich i za uniknieniem widoku kochanków, obawiała się, czy nie zmienili planu i nie unieśli z sobą kagańca miłości, który jej samej oświeślał i zabarwiał widnokrąg. Jak smutno było bez nich wokoło!...

Lecz w tem doleciał ją odgłos głosów. To oni. Przesunęli się przez trawnik i zniknęli w przedsionku.

Zazdrość przeszła ją bolesnym prądem, zrobiła ruch, jakby chciała odejść i wydać polecenie służcej, ale czuła się bezsilną, ubezwładnioną. Nie mogłaby w tej chwili kłamać. Współprzymiotna wyteżyła zmysły, by nic nie uronić z rozgrywającej się naprzeciwko sceny, banalnej, a przecież tak uroczej.

Tymczasem w pracowni zapalono lampy. Byli sami, młodzi i rozkochani, świat zniknął, albo raczej zamknął się w obrębie zacisza i skrytyzował w ich piersiach. I stali tak długo wśród światła i kwiatów, a przez uchylone okno wykradał się szmer ich głosów, zlewający się w jeden cichy akord słodkiej muzyki, która odbijała się echem o struny serca starej panny. Wsluchiwała się w tę dziwną, denerwującą harmonię, czując, że miły zamęt ogarnia jej głowę, wyzwała z cielesnych okowów i przenosi ją w inną sferę.

Lecz lzy płynęły jej z oczu obficie.

Naraz okno naprzeciwko zapadło, powlokło się

mlecznym woalem, a panna Florentyna jakby ze snu zbudzona, zsunęła się w fotel, wyczerpana, pijana sensacją. Ale nie odwróciła oczu od sylwetek.

Na skrzydłach wyobraźni wybiegłszy raz do sypialni muzyka, panna Florentyna pozostała jeszcze z nimi. Ale po chwili pochwyciła się rękoma za głowę, zatopiła je we włosach, a na twarzy jej spoczął rys rozpacz.

— Nie chcę, nie ścierpię!...—szepnęła i zerwała się z siedzenia. — Za te tortury zgotuję im gody weselne!

Skreśliła szybko kilka słów bez podpisu i sama pobiegła wrzucić w skrzynkę list, zaadresowany do prokuratora Egerton.

Wracając, przystanęła na trawniku i, zwrócona twarzą ku pomieszkaniu śpiewaka, myślała:

— Czemu człowiek nie może wyrzec się znikomości świata, zaprzeczyć się miłości, żyć w duchu i dla ducha?...

Plamka przyćmionego światła mrugała ku niej z sypialni śpiewaka i panna Florentyna, tłumiąc okrzyk serca, szepnęła, pokonana przez wzdrgniętą miłość:

— Okrutna zemsta amoral!...

V.

Wysoki mężczyzna z siwującymi faworytami, twarzą poważną, piękną, jakby z granitu wykutą, wszedłszy około dziesiątej zrana w czworobok zabudowań, rozglądał się wokoło i spostrzegłszy przechadzającą się po trawniku kobietę, ozwał się.

— Czy może mi pani wskazać pomieszkание pana Jerzego Oswalda?

Lord Justice Egerton stał przed panną Williams, która po złe przespanej nocy, znechęta migreną, wy-

szła na świeże powietrze. Ze strumieniem wypłakanych łez odpłynęła jej zazdrość, powiew erotyczny rozwił się, żar w żyłach wygasł i nareszcie wszystko jasno zarysowało się przed nią. I w tym momencie, gdy grom zawisł tak blisko nad głowami kochanków, pojęła swój postępek i zarumieniła się ze wstydu, iż zdradziła ich tajemnicę, zdradziła anonimowym listem. Ona, poważna autorka, sekretarka klubu postępowych kobiet, godziła na szczęście młodej kobiety, która obstając silnie przy swych prawach człowieczeństwa, nie pozwalała narzucić sobie ojcowskiej woli.

A wydawało jej się w tej chwili, że przenikliwe żrenice prokuratora spoczywały na niej z odcieniem pogardy, że wyczytywały, iż ona była autorką anonimowego listu, który go tutaj sprowadził. Zawahała się z odpowiedzią.

Gdyby można naprawić małoduszny postępek i odwrócić od nich nawałnicę!...

— Nie wiem... — odparła wreszcie, z trudnością opanowując wzruszenie. — Jeśli się nie mylę, jedną z tych pracowni, będących obecnie do wynajęcia, zajmował do niedawna dżentelman podobnego nazwiska, ale... nie wiem.

— A gdzie mieszka właściciel tych domów?

— Na przedmieściu Wimbledon.

Było to o kilkanaście mil angielskich od tego zacisza.

Niezrażony przybysz popatrzył uważnie na tablicę, umieszczoną nad pustą pracownią, na której stało nazwisko i adres agenta, wydzierżawiającego pomieszkania. W ostateczności mógł uciec się do niego. Tymczasem zaś szukał oczyma kogobądź, ktoby udzielił mu zaraz informacji, a gdy wzrok jego zahaczył się o pomieszkane śpiewaka, panna Williams, wskazując w przeciwną stronę czworoboku, rzekła:

— Tę pracownię zajmuje malarz-akademik, pan Stanley.

Skłoniwszy się pannie Williams, pan Egerton zapukał do wskazanej pracowni. Widocznie jednak nie zasięgnął języka, bo po chwili rozmowy z panem Stanley zwrócił się ku drzwiom, wiodącym do atelier francuskiego pejzażysty.

— Mr. Oswald! — powtórzył Francuz, nie rozumiejąc, a co chodzi. — No, no, mr. Oswald... Henri Mazel.

A gdy prokurator usiłował wytłumaczyć się, wzruszył ramionami i, gestykulując żywo, dodał:

— Je ne comprends pas... connais pas mr. Oswald.

Z kolei pan Egerton skierował się ku kryjówce śpiewaka.

— Co za scena! Com uczyniła! — pomyślała panna Florentyna, która, przechadzając się zwolna, nie spuszczała z oka przybysza. Wszystko musiało wyjść na jaw i zarazem jej sprawka.

Pan Egerton zastękał raz i drugi, lecz drzwi się nie rozwarły, pukał jeszcze — napróżno, poczem zwrócił się ku wyjściu z zafrasowaną fizyognomią.

Autorka odetchnęła głęboko, kamień spadł jej z serca.

— Może posłyszeli i rozpoznali głos jego... — pomyślała.

Przybysz zawahał się jeszcze i zanim odszedł, spojrzął znów na tablicę agenta.

Z pewnością udał się wprost do biura agenta — przypuszczała stara panna — lecz zajmie to najmniej trzy kwadransy czasu. Gdyby można ich uprzedzić natychmiast o wszystkim! Wówczas nie padłoby na nią podejrzenie, że jest autorką listu. Ale jak uskutecznić to bez narażenia się na inne podejrzenia, że... wie o wszystkim?

W kilka minut dostrzegła panna Florentyna, że żaluzja w oknie śpiewaka uchyliła się ostrożnie. Po-

tem drzwi odemknęto i stanął przed nią, wysoki brunet w jasnym, flanelowym ubiorze, aż nadto dobrze jej znany.

— Przeczysz panią—odezwał się, tocząc okiem po dziedzińcu—czy nie zauważyła pani, kto pukał do mego mieszkania?

Gdy panna Williams, wpatrzona w niego ciekawie, opisała mu przybyśa i oznajmiła drżącym głosem, iż pytano ją o pana Oswalda, zawołał wesóło:

— Rzeczywiście?! Na honor, to ciekawe!... I jaką dała mu pani odpowiedź, jeśli wolno spytać?

— Że nie wiem.

— I odszedł z kwitkiem?!—wybuchnął rozpromieniony z uśmiechem zadowolonego figlarza!—Kapitał!—Bardzo jestem pani wdzięczny...

„Nie łatwo zdekoncertować tego koncertanta“—pomyślała, sama nie mogąc się oprzeć uśmiechowi. Ale gdy rzuciła przypuszczenie, że sędziwy dżentelman pojechał do agenta, muzyk zastanowił się i szepnął przeciągle:

— O!... To być może.

— Zapewne pan...

— Tak jest, jestem George Oswald... Dziękuję pani bardzo...

— Żałuję, że nie wiedziałam...

— Nie stało się nic złego, przeciwnie... Podążę zaraz za... tym panem.

Jakby uderzony jakąś myślą, dodał:

— Wszelako mógłbym minąć się z nim w drodze, a żona moja nie życzy sobie... nie jest gotową przyjąć tego pana... Czy przeto nie byłaby pani tak uprzejmą dać jej u siebie gościnę, bo... zapewne pani sąsiaduje z nami. Proszę mi wybaczyć, że trudzę panią osobistą sprawą...

— Z największą przyjemnością — podchwyciła, czując, że wszystko dla niego zrobić gotowa, tak dalece opanował ją jednym słowem.—Oczekuję żony pańskiej.

Mimowoli położyła nacisk na słowo: żona, ale

pan Oswald nie zauważył tego, rad, że oszczędzono mu wyjaśnienia. Podziękowawszy jej z wylaniem, pospieszył do siebie, a niebawem wybiegł na ulicę.

Tymczasem Helena schroniła się do panny Williams, wielce zaambarasowana, nie wiedząc, w jakich słowach umotywić dziwne postępowanie z ich strony. Ale autorka, pragnąc zbliżyć się do nich, tych dwojga istot, w których romans jej dusza i serce wplątały się tak usilnie, zdobyła się na niezwykle uprzejme przyjęcie i zachowała pozory osoby niczem nie zdziwionej. Jakoż ujęta i ośmielona młoda kobieta, wypowiadała się półsłówkami ze swej miłosnej historii.

— Kiedy odbył się ślub?—podjęła z ukrytą ciekawością stara panna.

— Wczoraj zrana... Lękam się, jak ojciec to przyjmie...

Z niepokojem spozierała przez okno, porywała się na nogi za najłżejszym szmerem, a gdy wreszcie posłyszała kroki, pędem wybiegła do sieni.

— Zdybałem go—ozwał się śpiewak żywo.

— Mów, George! — zawołała i klasnęła w dłonie, z rozpromienionej jego twarzy czytając dobre wiadomości.

— Przebaczenie! Odniosłaś zwycięstwo, zaimponowałaś ojcu, który w gruncie rzeczy czuje się z ciebie dumny, daje słowo.

— Co mówił?

— Dużo, poważnie i wymownie o nierozwadze kobiet, o twem prawie rozporządzania sobą, o swych powinnościach ojcowskich, o braku poszanowania rodziców w młodej generacji, Bóg wie, o czem nie pawił. Ja zaś pokazałem mu dokument ślubny, wypaliłem lakoniczną oracyę na twą obronę i spytałem: Czy na mem miejscu postąpiłby pan inaczej? Kocham Helenę i kwita, a ponieważ nie jestem starą babą, zatem... To go nawet rozśmieszyło.

— O! kochany ojciec! Wiedziałam, że to ta nieznosna ciotka!... Koniecznie muszę się z ojcem pożegnać!...

— Jaką zrobi minę nie wiem, ale pewno się ucieszy.

— O George, jak doskonale się złożyło!

Upłynęła długa chwila, zanim przypomnieli sobie o obecności panny Williams, która przysłuchiwała się z pokoju. I raz jeszcze doświadczyła tortur zazdrości na widok ich zupełnego, słonecznego szczęścia, tryumfu miłości.

Poszli, a ona pozostała bardzo sama... z pliką papierów i swymi myślami.

VI.

— Szczęśliwi!...—westchnęła zadumana i wobec jasności, opromieniającej ich drogę życia, własna jej przyszłość zdała się tonać w тумanie przynębiającej monotonnej szarości.

— Innym wytykam drogowskazy—mówiła sobie—a lekki powiew wiatru z po za obrębu mego światka wyrwał mi ster z ręki i poniósł mnie samą w objęcia miłosnych szalów. Jak odmienną okazałam się od reformatki? Słabą, zmysłową, zazdrosną, małoduszną, niezgodną z memi pismami, niekonsekwentną jak dziecko, działające pod chwilowem wrażeniem. Teraz dopiero zaczynam rozumieć siebie... Głosząc kobietom wytwory mych życzeń, nie liczyłam się z potężnym instynktem, który zadrwił sobie ze mnie, obalivszy gmach mych teoryj i zmusivszy pójść za swym głosem...

— I kto wie, czy nie lepiej brnąć śmiało w życie, cierpieć i radować się na ziemi, niż zamknąć się wyłącznie w sferze ducha i usiadłszy na olimpijskiej wyżynie, pędzić dni w głuchej martwocie. Oni nie wyrzekli się uciech znikomych, nie uciekli od

życia i spłynął na nich ciepły promień szczęścia. Niepomna na głos natury, wołam: „nie zrywajcież róż, bo mają kolce“, wołam napróżno. Czyliż przeto wszystka moja praca bezowocna?...

Po długich dniach rozterki i zwątpienia wszakże wstąpił duch w pannę Florentynę. Epizod postradał żywy koloryt, myśli skierowały się w zwykłe łożysko i panna Williams zaczęła znów pisać według dawnej modły. Jednakże zapanował w jej rozprawach ton minorowy, jakby czuła się trochę zachwianą w dogmatycznej wierze w swe teorye i niedowierzała sama sobie, a gromy, ciskane na pleć mężką i na miłość, wyrwały się z pod jej pióra bez bombastycznego hałasu.

Lecz raz jeszcze zakłócono jej spokój duszy.

Było to w dwa lata później, wiosną. Państwo Oswald przybyli niespodzianie na sezon wiosenny do Londynu i zajęli pomieszkane naprzeciwno, gdzie czekało ich tyle drogich wspomnień.

Wówczas zacieśniły się pomiędzy dwiema kobietami węzły, zadzierzgnięte wśród niezwykłych okoliczności, i panna Williams niejednokrotnie naprowadzała rozmowę na zajmujące ją kwestye.

— Być może, że miłość zadaje cios śmiertelny samoistności kobiety, z natury niesamoistnej—zauważyła Helena pewnego razu przy herbacie w bibliotece autorki—być może poniża kobietę, z natury ku nizinom się chylącą, lecz na podstawie mego doświadczenia doszłam do odmiennego przekonania. Miłość bowiem wznieciła we mnie poczucie człowieczeństwa, skryształizowała mój charakter, dała mi siłę do walczenia o prawa mego serca, do pokonania przeszkody, która kładła się kamieniem na drodze do swobodnego rozprzestrzeniania się mej indywidualności, do mego szczęścia... Jak może pani przyczynić się do dobra kobiet, zaszczipiając w nie nienawiść do płci męskiej, pojąc je goryczą, rozgraniczając rodzaj ludzki na każdym kroku na dwa obozy? Tym-

czasem myśmy wszyscy ludźmi, skazanymi na to, aby żyć z sobą wspólnie. Sądzę, że więcej dokazałaby pani, idąc między kobiety ze słowem miłości na ustach....

— A przecież twierdzenia pani nie obalą mej teoryi—rzekła wymijająco autorka.

— Teoryi...—powtórzyła Helana.— Jerzy, mający wstręt do reguł i formulek, utrzymuje, że każda teorya ma to do siebie, iż jej negacya, czyli wręcz przeciwna teorya, jest również prawdziwą. Bądź co bądź zatem, moja teorya jest także dobrą, a w życiowej praktyce...

Tu śpiew przerwał dalszą rozmowę. Obie kobiety spojrzały naprzeciwko.

W głębi pokoju było widać kołyskę. Pan Oswald zaś siedząc w oknie, nucił pieśń swej kompozycji do balady Swinburne'a i zaręczał słowami poety, że niechaj los co chce niesie, jedno w życiu nie traci wartości: zaznać szczerzej miłości, przeprowadzić ją bezpiecznie przez ciernie po ścieżkach żywota, póki dzień na niebie, póki obłok się stroi w barwy żywe, a usta pałają gorącym szkarlatem.

Na widok drogich sobie istot Helena zapomniała o całej rozmowie i pospieszyła do siebie.

Tymczasem autorka, lubo odczuwała dotkliwie czczość swych teoryj, bezwartościowość swych przepisów, rozbijających się o skalę codziennego życia, oraz eteryczność swych duchowych uciech, które z siebie samej czerpać musiała—próbowała w pracy szukać zapomnienia. Lecz ścigały ją słowa pieśni, stawały przed oczyma sylwetki pary, związanej węzłem szczerzej miłości, i czarował ją obraz cichego szczęścia, które składali sobie u nóg wzajemnie. Pióro wypadło jej z ręki i szepnęła znekana:

— Zbankrutowałam...

Wieczór zapadł i głęboki cień smutku osiadł na licach starej panny.

Gentleman John.

— John, mam z tobą do pomówienia. Przyjdź do mego buduaru! — rzekła po śniadaniu wdowa po pułkowniku Aylesbury do swego kamerdynera w jasno granatowym żakiecie ze świecącymi guzikami, który z godnością wielkopańskiego domownika odstawiał srebrne naczynia ze stołu na pięknie rzeźbiony kredens z orzechowego drzewa.

Głos jej zadrzał mimowoli uroczystą nutą, smagłe oblicze o ostro zarysowanych rysach powlokło się cieniem zakłopotania, jakby w prostym wezwaniu wyraziła wszystko, co miała na sercu. Spuściła oczy i, zabrawszy listy i gazety ze srebrnej tacy, powstała, szumiąc spódnicami.

Nic nie odrzekłszy, kamerdyner podniósł na nią zdziwiony wzrok, uderzony niezwykłym tonem swej żołniersko, zwykle lapidarnie przemawiającej chlebobdawczyni, i patrzył się w jej energiczną twarz, jak w tuza, a gdy wyszła z jadalni, nie rzuciwszy nań swem żywym i bystrem okiem, ujął się pod boki i zwrócony ku zapadłym drzwiom z rozchyłonymi ustami, zamyślił się. Z obłoku osłupienia wynurzył się wreszcie nieśmiały uśmiech, kiwnął głową wesoło, przymrużył jedno oko filuternie i sprzątał dalej ze stołu z taką opieszałością, z jaką leniwa myśl jego krążyła wokoło zagadkowego zachowania się pani domu.

Ociągał się ze spełnieniem rozkazu; wszelki pośpiech bowiem sprzeciwiał się jego flegmatycznej naturze. Zresztą, jak każdy służebnik angielski, tak lękał się zapracować i zamęczyć, tak ocięzał w wygodnym trybie życia, iż wszystko szło u niego w powolnem, ospałem tempie, mimo niepoślednią siłę muskularną, o jakiej mówiły kształty tego dobrze odżywianego, rosłego i barczystego chłopca lat trzydziestu kilku. Zanim wstąpił na schody, wiodące do salonu, gabinetu i innych pokoiów wielkiego domu londyńskiego, zatrzymał się w obszernym przedsionku przed kryształowem zwierciadłem. Poprawił biały krawat i pikową kamizelkę, jak przystało na szanującego się lokaja, wyszczotkował rękawy i spodnie, pogładził dłonią płasko przyczesane blond włosy, co zachodziły na niskie czoło i uśmiechnął się do wizerunku swej przystojnej osoby, o postawie pokażnej, niemal pańskiej.

O swojej urodzie, którą mierzył łokciem, John Hopkins nie wątpił ani chwili. Wzrostowi i powierzchowności zawdzięczał doskonałe stanowisko w wiejskiej siedzibie lorda Wimborne, a potem u pułkownika Aylesbury, który zmarł wkrótce po objęciu przez niego lokajskich obowiązków. Powtórę, pleć żeńska nie szczędziła mu oznak sympatii, dlatego przyjmował je, jako rzecz naturalną, z pewnem lekceważeniem, traktując oddaną sobie kucharkę z pobliza, z którą łączył go poufale stosunek, lubo w czasie nieobecności jej chlebobawców gospodarował w ich domu jak u siebie, a w dzień swych urodzin i na gwiazdkę odbierał od niej kosztowne podarki. Odwdzięczał się jej za to, biorąc ją czasem do teatru, gdy nie nawinęła się inna niewiasta, oraz udzielając jej cennych wskazówek, dotyczących biegunów wyścigowych. Oboje bowiem grywali systematycznie w totalizatora, a John zasięgał języka u znajomych masztalerzy i wtajemniczonych w arkana turfu indy-

widuów, których nieprzeliczone mnóstwo waleśa się po miejskim bruku.

Za innemi amatorami John nie uganiał się, lecz niemi też nie gardził, lubo cenił sobie wygodny stosunek z kucharką. Wyróżniał czarnowłosą Bessie, młodą pokojówkę jednej z przyjaciółek pani pułkownikowej. Zapoznawszy się z nią w czasie krótkiego pobytu w nadmorskiej osadzie Parkstone, w hrabstwie Dorset, gdzie obie te damy posiadały wille, odświeżył znajomość w Londynie. Wprawdzie obcowanie z nieokrzesaną, nieobytą w świecie prowincjonalną gaską nie licowało ze stanowiskiem *butler'a*, lecz Bessie, krew z mlekiem dziewczyna, wpadła mu w oko głęboko. Odczuwała ona różnicę zachodzącą pomiędzy sobą a dostojnym kamerdynerem i względny jego schlebiali jej wyraźnie. Jakoż chętnie wychodziła z nim na przechadzkę lub na widowisko, jednym słowem, „była słodką względem niego,” ale na tem się skończyło. Potulna, niby jagnię, w niektórych razach jednak okazywała się zuchowatą, nie pozwalając nawet pocałować się bez fanaberyi. Mimo, że to „nierozsądne” postępowanie Bessie irytowało Johna, poczęła go nawiedzać myśl o ożenku. Nie zdradzał się z tem wszakże przed służbą i ostatecznie wzgląd na ludzi, w których pojęciu spadłby nisko, odstraszał go od stanowczego kroku. Zresztą, chcąc później nabyć oberżę, życzył sobie za żonę wzbogacą, elegancką kelnerkę, wogóle pannę posażną. Mógł się przecież podobać? Ot, sama pani Aylesbury dała mu do poznania, iż uważa go za przystojnego mężczyznę!

Było to pewnego ranka, gdy pięćdziesięciokoletnia wdowa odbywała zwykły przegląd swych mnogich psów, wiszących na łańcuchach przy budach, którei okolone było całe, wyasfaltowane podwórze. Już to kochała się w nich ona! Broń Boże, aby któremu z nich stała się krzywda, a jeśli ten lub ów inwalid zaniemógł ciężko, powstawał w do-

mu taki rwetes i harmider, że John nie mógł prawie wypić szklanki piwa w spokoju. Wiele psów ratowała pani Aylesbury od niechybnej zagłady, nabywając z *home'u* dla zbłąkanych przez właścicieli nieodebrane i skutkiem tego zagrożone śmiercią sieroty, których pozbywała się, jak i gdzie się dało, aby znaleźć przytułek u siebie dla nowego legionu znajdów. Każdy, wchodzący w jakimkolwiek charakterze w styczność z jej domem, prędzej, czy później musiał przyjąć jednego z faworytów. Doskonale wiedzieli o tem kramarze z sąsiedztwa, powolni jej życzeniom pod grozą utraty klientki, aczkolwiek zdarzało się, że owe podarowane psy się zawieruszały i przepadały bez śladu. Nad zgryzą psów czuwał osobny posługacz, spędzając dni albo na przeprowadzaniu ich na przechadzkę, albo na drzemce przy kuchennym kominie. Karmienie ich odbywało się prawie zawsze w obecności Johna, który, jako generalissimus w tem państwie, zdawał szczegółowe raporty najwyższej władzy o stanie ich zdrowia. Z biegiem czasu doszedł on do takiego obznajmienia z psimi dolegliwościami, iż wielokrotnie zastępował weterynarza z dobrym skutkiem. A nabyta w tym kierunku erudycja przejmowała go niemalą dumą.

Tego dnia młody, kłapouchy ceter, wielce zbiedzony, a pod okiem Johna wyleczony z robaków i dobrze odpasiony, powitał panią Aylesbury radosnym szczekaniem. Skomlał, łasił się, targał za łańcuch i wyskakiwał pełen dobrego humoru, który udzielił się jego pani. Dotknęła się ręką jego zimnego nosa i, spoglądając z zadowoleniem na lśniąca, ceglastą jego sierć, mruknęła:

— Przyszedł do siebie. Dobrze! John, przerobiłeś tego zdechlaka na ładne zwierzę. Choć, dam ci za to suwerena.

Mimo swój wiek, objawiający się srebrzystymi plamami powyżej uszu, pomaszterowała prosta, zamaszysta i sprężysta w ruchach do pokoju, a John

kroczył poważnie za nią z obliczem okraszonym zadowoleniem z pochwały i nagrody, co w sezonie wyścigowym przyszła mu na rękę.

Wręczywszy mu pieniądze, pani Aylesbury popatrzyła się łaskawie na wygoloną jego twarz bez wyrazu, o zdrowej karnacy i poklepała go dość silnie po policzku, zacinając przytem zęby.

— Dzielný chłop, ani słowa!... Ruszaj teraz, a nie zaniedbaj kulawego buldoga.

Oczy jej zatrzymały się na nim długo, objęły krytycznie całą jego postać i przeprowadziły go do drzwi.

Odtąd przyglądała mu się często, uważnie, z widoczną przyjemnością. Wkrótce zaszczyciła go znów takim lwim karesem i byłaby może wdała się w pogawędkę, gdyby nie zaskoczył jej wizyta ojciec Muphry, Jezuita, żyjący trochę na uboczu od swego zakonu w ubogiej mieścinie portowej Poole. Lubo z rodu anglikańskiego, pani Aylesbury od lat kilku uczęszczała do katolickich kościołów, sprawami katolicyzmu zajmowała się gorąco, nie szczędząc także hojnych datków na kościołek w nędznej siedzibie rybaków i marynarzy, do którego zajeżdżała podczas swej bytności w przyległym do Poole Parkstone. Ojciec Muphry był zawsze miłym gościem jako człowiek, o skromnej powierzchowności wprawdzie, ale inteligenty, rozumny, z oglądą towarzyską i niepospolicie muzykalny. W młodości był nauczycielem muzyki, lecz zakochany bez wzajemności w jednej ze swych uczennic, porzucił swój zawód, aby szukać ukojenia i pokoju dla zranionego serca na łonie kościoła. Nić idealno-erotyczna, wpłataną w pasmo spokojnego i przykładnego żywota, dodawała mu pomiędzy arystokratycznymi rodzinami w Parktone tyle powabu, ile świetna gra na fortepianie budziła podziwu.

Po długiej rozmowie z nim w cztery oczy, pani Aylesbury zatrzymała go na obiad, w czasie któ-

rego ojciec Muphry strzelał z pod siwych brwi bladym, mądrym okiem w stronę kamerdynera, co jednakże uszło uwadze Johna.

Względem kleru i kościoła butler był usposobiony obojętnie, nie zaprzętał sobie tem głowy nigdy i jedynie na prowincyi, gdy można było oczekiwać pięknych śpiewów chóralnych, uczęszczał do kaplicy angikańskiej dla zabicia czasu i spełnienia powinności, spoczywającej na dystyngowanym lokaju.

Nie przypuszczał, aby odwiedziny ojca Muphry stały z jego osobą w jakiegobądź styczności. Natomiast wielokrotnie rozpamiętywał sobie głośny objaw łaski, jaka spłynęła na jego policzek z silnej dłoni pani Aylesbury, i zmierzając do jej buduaru, spodziewał się że spotka go ten sam zaszczyt po raz trzeci, a może nawet suweren dostanie mu się w nagrodę za troskliwość, okazywaną jej faworytym.

W pokoju, wysłanym plecionką trzciniową, pożyłkową zielonkawymi pasmami, umeblowanym lekkimi sprzętami bambusowymi i przystrojonym bogato wytwornymi tkaninami indyjskimi, makatami, mosiężnymi medalionami i akwarelami widoków morskich, przechadzała się tam i napowrót Mrs. Constance Aylesbury z nożem z kości słoniowej do rozcinania papieru w rękę, machając nim niekiedy w powietrzu niby maczugą. Jej wysoka, ciemna sylwetka odrzynała się wyraziście od blade-żółtego tła gustownie urządzonego buduaru.

Gdy kamerdynier przestąpił próg, zajęła miejsce przy biurczku, upstrzonym kosztownymi cackami, w szczególności figurkami psów, i przeładowanem fotografiami syna, piastującego wysoki urząd w Szangaju, zamężnej córki, lady Erskine i miss Evelyn, młodszej córki, która, doszedłszy do pełnoletności i swego działu majątkowego, puściła wodze swej podróżymanii i, nie harmonizując z matką, najczęściej rozbijała namiot w Wenecyi z dwiema podstarzałymi, niezamężnymi kuzynkami. Na jasnej ta-

pecie zaś czernił się brązowy medalion dzielnego pułkownika grenadyerów gwardyi.

— John, siadaj tu! — rzekła dama rozkazującym tonem, bez cienia zakłopotania, jakie znalazło do niej przystęp poprzednio, wskazując służącemu krzesło tuż naprzeciw siebie.

Na to oczy kamerdynera rozwarły się szeroko. Zdało mu się, że się przesłyszał, bo nic podobnego nie wydarzyło mu się w życiu. On, płatny domownik, miał zająć krzesło przy majątnej damie, skoli-gaconej wysoko! Po chwili wahania, przestępując z niemądrą miną z nogi na nogę, przycupnął na brzegu krzesła ze skulonemi pod siebie nogami, z torsem wyprężonym, jakby postawą chciał wyrazić, że chociaż rozkaz spełnił i siedzi, pragnie stać i prawie stoi.

Iskra wesołości zatliła się w ciemnych, przenikliwych źrenicach żołnierskiej wdowy, która poniżyła się w opinii Johna, wazkie jej wargi rozwarły się do śmiechu, odsłaniając rzędy zdrowych zębów, a twarz z dwiema bruzdami, idącemi od nozdrzy ku kątom ust, dawniej może nieszpeta, teraz nieświeża, zmięta i czerwona, przybrała wyraz znamionujący głębokie ukontentowanie.

— Pomyślałeś ty kiedy o ożenku, John? — zagadnęła obcesowo.

W zakłopotaniu John przecierał dłonią kark i mrugał szybko powiekami.

— Zapewne ożenie się, chociaż...

— Ja ci powiem, co ty zrobisz, John. Poślubisz... mnie.

Skonfundowany, John drgnął, zerknął na nią i znów zwiesił głowę. Czyliż on dostał się w świat zaczarowany? W głowie jego powstał zamęt, myśli hulały, niby wichrem pędzone, a on nie mógł pochwycić z nich żadnej, nie mógł ogarnąć umysłem oświadczenia, ani zrealizować jego doniosłości. I siedział bez słów, bez czucia, nawpół pijany, i drapał

się po kolanach, powtarzając sobie w myśli machinalnie: „John... poślubisz... mnie!”

Napróżno czekając odpowiedzi, pani Aylesbury podważyła mu brodę nożem, mówiąc:

— Patrz się na mnie, John! Słyszałeś, co mówiłam. Ojciec Muphry pobłogosławi nasz związek, poczem wyprowadzę się do hrabstwa Dorset. *John you lucky dog*, otóż spotkało cię wielkie i niezasłużone szczęście! Wyjdiesz na dżentelmana!

Na dźwięk tego magicznego słowa John poruszył się, jakby elektrycznym prądem tknięty.

— Czeką cię wygodne życie — ciągnęła pani Konstancya. — W testamentcie nie zapomnę o tobie. Tymczasem jednak nie myślę wcale schodzić z tego świata.

Ścięty z nóg, jakby ubezwładniony, John nie odzyskał jeszcze głosu. Słowo „dżentelman” grało mu koło uszu, niby fanfara trąbki myśliwskiej, fala radości podniosła się w nim i ogarnęła zmysły, lecz nie mógł wykrztusić ani sylaby, bo gdy wzruszenie zakradło się do prymitywnej, surowej jego natury, przybierało potężne rozmiary i rozpiekało mu piersi... A gdy wreszcie miał odpowiedź na ustach, uprzytomniał sobie, kogo ma przed sobą, i milkł, niemal przerażony.

Atoli różpromieniona twarz mówiła dość pani Aylesbury, która bez zwłoki siadła na jego kolanach i opłótłszy mu szyję, wyciłowala go serdecznie.

Wywarło to nań wpływ ożywczy. Oddał jej jeden i drugi uścisk, nie troszcząc się o to w tej chwili, czy młodą i ładną, czy też szpetną i starą całuje kobietę, bo jak żołnierz w boju, szaleńcem ogarnięty, rzucił się ślepo naprzód, nie pytając, kogo miecz jego usiecze.

— Słuchaj, John! — ciągnęła pani Aylesbury. — Służbę odprawię, na jej miejsce zaś przyjmę później inny personel ze względu na ciebie. Tymczasem trzymaj język za zębami; wszystko, co mówiłam,

musi pozostać tajemnicą aż do ślubu. No, John, jesteś zadowolony?

Głośny, wesoly śmiech jej wtórzył pytaniu.

— Teraz idź, a nie daj nic poznać po sobie!

— Dobrze — wyszeptał i wyszedł jak pijany.

Oprzytomniał dopiero w izbie jadalnej dla służby, gdzie stangret palił fajkę, czytając pisemko brukowe. Tu, rzuciwszy się w krzesło, odetchnął głęboko, jakby znużony nadmiarem wrażeń, i z przyzwyczajenia sięgnął po swą fajkę, lecz nie zatliwszy jej, zawołał:

— Fred, pójdziemy pod „Białego Łabędzia.” Poczęstuję cię piwem i cygarem. Nie, funduję ci *pint* szampańskiego wina, abyś nie wąpił, że masz do czynienia z dżentelmanem.

Stangret nie dał się prosić i gawęda w traktyer ni przeciągnęła się dopóty, aż pokojówka w zastępstwie swego ulubieńca forysia, wsunawszy głowę do przedziału szynkowego, przeznaczonego „wyłącznie dla dżentelmanów,” nie zawiadomiła stangreta, iż pani kazała zaprzęgać.

Do kamerdynera zwróciła się z wyrzutem, że nie pilnuje domu, na co on odparł jej opryskliwie i wykapł ją w dodatku.

Po wyjeździe pani na miasto, udał się na podwórze, wykrzyczał posługacza z powodu kulawego buldoga, poczem rozparł się w honorowym krześle w kuchni. Zapaliwszy cygaro, żartował z kucharką, drwił z pokojówki z butną miną, ignorując jej pomocnicę, a na schadzkę z kochanką nie stawiał się wcale. Gdy język go swędził, upominał się w duchu: „John, nie masz pisać ani słówka!” na pocieszenie odmieniając przez wszystkie przypadki najpiękniejszy w języku angielskim rzeczownik: *gentleman*.

II.

Na stromem wzgórzu, na ławce, spoglądającej na ciche wody zatoki morskiej, spoczywał Mr. John

Hopkins w granatowym ubraniu, z marynarską czapką na jasnej, kulistej głowie, pałac z rozmysłem krótką fajeczkę, a przy jego głowie leżał na murawie popielaty mopsik z pomarszczoną, czarno zabarwioną mordą, z wywieszonym, zaślinionym językiem. Tłusty, rozlany, widocznie zmęczony i dychawiczny, ziałał szybko i chrapliwie.

Palenie tytoniu stanowiło najważniejszą i bodaj najmilszą czynność pana Hopkinsa, i zwłaszcza w jasny, pogodny dzień majowy, siedząc na wolnym powietrzu wśród malowniczej okolicy, gdzie czuł się swobodnym, z prawdziwą rozkoszą cmokał drewnianą fajeczkę z bursztynowym trzonkiem, ukołysany w *dolce far niente* ciszą i wielkim spokojem, rozlanym w przestworach ożywczej atmosfery.

U stóp jego czerwono-fioletowy kobierzec gęstego wrzосу wyścielał spadziste wzgórze, przetykany żółtem kwieciami janowca, pękami ostrzycy, paproci i ostromleczka, porosły miejscami krzewami jeżyny, i spadał aż na jego zbocza, gdzie jasno-żółte piaski wily się wstęgą wzdłuż brzegu sennej, błękitnej zatoki. Po morza odpływie przybrzeżne piaski zapuszczały długie kliny i błotniste zagony w stojące wody, tu i owdzie jeno pokarbowane delikatnie podmuchem zefiru, a tak płytkie, że w wielu miejscach zieleniły się oliwkowe plamy przegniłych traw, po których brodziły mewy. Skrzydła ptactwa bielily się zdala, odbijając wdzięcznie od ciemnych zarośli i blado błękitnej toni. Dalej na głębinach, ciemniejszych w tonie, sterczał szereg czarnych pali, wytykających szlak dla statków, co zawijały do portu Poole? Przeciwny brzeg dużej, okrągłej zatoki zaznaczał się w dali szarym grzbietem ugorowych wzgórz, rozwieszonych wysoko na niebios błękitcie. Na środku wód, nacentkowanych żaglami i czółnami, panowała górzysta wyspa owalnego kształtu, pokryta skostniałym lasem dębów, buków i drzew iglastych, a przez ponury ich płaszcz przeświecały

zrzadka szmatki uśmiechniętej murawy wiosennej. I piętrzyła się dumnie, przyslaniając część zamorza, jakby nie chcąc ukorzyć się przed wyniosłym ładem stałym. Na skraju jej przeglądało się w wodzie kilka otynkowanych domostw o płaskich dachach i spozierało w stronę wąskiego międzymorza, którego piaszkowe zasy, tu i owdzie wrzosowiskami porosłe, zakreślały sierp wokół południowej części zatoki. Za murem tych białych wydm biegła szarfa morza — nie tego morza przystani, wciśniętego trwożliwie w opiekuńcze ramiona ziemi, lecz śmiało stawiającego czoło wichrom, o cudnym, głębokim, grzywami fal pobielonym szafirze — i podpinała jasne sklepienie niebieskie. Z cieśniny, odcinającej język ładu od zamorza, wynurzały się kształtne jachty, do białych ptaków podobne, i czarne czółna rybaków, wracające z połowu homarów, którymi słynie ta okolica. Lecz próżno szukałoby oko imponujących rozmiarami okrętów na pogodnej, miliardami błysków drgającej płaszczyźnie. Mielizny i bagniska obniżyły znacznie doniosłego ongi portu tak, iż wypoczywają w nim tylko barki i spacerowe parowczyki i wyjątkowo zazwyczaj go krótką wizytą szalupa, lub torpedowiec marynarki wojennej. Jakoż miasto Poole spoczywa na północnym krańcu zatoki jakieś martwe i z zielonego wzgórza w Parktone zarysowuje się niewyraźnie, spowite w obłok dymu fabrycznego, oraz wód matowe opary, naszpilkowane kominami i wieżami kościołów.

Z tym krajobrazem John zbratał się w ciągu ośmiu miesięcy, spędzonych w willi swej dostojnej małżonki. Żywiołowo odczuwając malowniczość krajobrazu, wyciągał się cały na piersi przyrody i żył życiem roślin.

Po za nim leżało Parkstone-on-sea, osada rozsypana bezładnie po wzgórzach i parowach, jedno wielkie legowisko will, co skryte jedna przed drugą

w bukiety krzewów i ogrodów, schroniły się w to zacisze przed zgiełkiem światowym. Na szczycie góry, tuż po za zwirówką, dzielącą pana Hopkins od kolczastego żywopłotu, nad którym stróżował rząd akacji, bżów i jarzębiny, królowała obszerna willa Sans-souci z facyatką, ulubiona siedziba pułkownika Aylesbury, i podnosiła głowę z głębi ogrodu nad wierzchołki drzew, jasna, gdzieniegdzie pokryta łuską bluszczu i róż dzikich, spoglądając z góry na inne, świetne wille, co usłały sobie gniazda poniżej w dolinach. Cała osada oskrzydlała ją półkolem, na którego krańcu stały, niby żołnierze na warcie, grupy starych sosen o wachlarzowych wierzchołkach, ciemne, poważne i służbiste. Pas murszowatej ziemi, pola zbożowe, gumna, fermy i wreszcie nieprzenikniony bór iglasty zamykały przestronną sielską panoramę.

Na zwirówce było pusto. Przemknął się dwukołowy wózek piekarza, niekiedy dawał się słyszeć chrzęst welocypedu, zresztą żaden szelest nie zakłócał spoczynku wyzłoconej majowem słońcem natury. Nic też nie odrywało pana Hopkinsa od fajki, aż dopiero ocknął go głos łagodny i uprzejmy:

— Jak się pan miewa, mr. Hopkins? Piękny czas.

Niepostrzeżenie podszedł ku niemu *Father* Murphy z Poole, w czarnym kapeluszu filcowym, z laską w rękę i przysiadł się do niego na ławkę.

— *Hallo!* — powitał go ex-kamerydner, uradowany ze spotkania. — Dokąd droga? Do nas?

— Żałuję bardzo, że nie mogę dziś wstąpić i zapytać o zdrowie pani Hopkins. Mam nadzieję, że miewa się ona dobrze. Spieszę na herbatę do lady Brassey, która, jak panu wiadomo, żywo zajmuje się naszą szkółką.

— A tak! — rzucił zbywająco John swemu przyjacielowi, jedynemu, jakiego posiadał w t. zw. towarzystwie. Przed ślubem spędził pewien czas w skro-

mnem probostwie w Poole, gdyż Jezuita tłumaczył mu zasady wiary i przyjął go na łono swego kościoła. Te kilka tygodni zaliczał John do najprzyjemniejszych peryodów swego życia, bo ojciec Murphy umiał w sposób taktowny podsycać w nim poczucie dumy z niespodzianego wywyższenia w hierarchii społecznej i postępowaniem pełnem szacunku zdał się wyznawać, iż sam na niższym stoi szczeblu. I John, który apatycznie zgodził się na odszczepieństwo, wpisał się z radością w kongregację kościoła, do którego zaliczali się tak wielcy panowie i magnaci, jak margrabia Ripon i książę Norfolk.

— Wracając od lady Brassey, niechaj ojciec wstąpi do nas na partycję bilardu, co? — rzekł John, klepiąc Jezuitę po kolanie.

— Skorzystam z zaproszenia innym razem, bo dzisiejszy wieczór przyjdzie mi spędzić w willi Bungalow. Jak stoi sprawa *home'u* dla starych i scho-
rzałych psów?

— Pani Hopkins zajmuje się tem gorąco. Zdaje mi się, że poszła pomówić w tej materii z pannami Hollers, naszymi sąsiadkami.

— Bardzo chwalebnie, że przykłada pan rękę do tego dzieła — wyszeptał z uznaniem proboszcz.

Wprawdzie John nie poczuwał się do zasługi, ale słowa te pogładziły mile jego próżność i zaczął z powagą, w liczbie mnogiej:

— Postanowiliśmy wznieść ten zakład pod Londynem. Już oddawna wysyłamy do dwóch podobnych przytułków wiele z zakupionych znajdów, za których utrzymanie placimy od półkorony do korony na tydzień, stosownie do ich wielkości. Wskutek braku pomieszczenia, przyjmujemy do siebie nie więcej nad trzydzieści do czterdziestu szlachetniejszych okazów.

Nie było to dla ojca Murphy nowiną. Wysłuchał wszakże Johna z zajęciem, poczem wstając, rzekł:

— Lady Brassey będzie zachwycona, gdy ją wtajemniczę w działalność państwa. Mam z nią do pomówienia w sprawie bazaru, jaki zamierzamy urządzić na rzecz naszej szkółki w sierpniu, gdy zjedzie do Parkstone kilku wybitnych parafian. Z pewnością nie zabraknie w naszym gronie pana i pani Hopkins?

— Przyjedziemy, nie ulega wątpliwości! — zawołał John, lubo nie był pewnym, czy żona zabierze go z sobą. A miał wielką ochotę spędzić chociaż kwadrans w salonie z ludźmi krwi niebieskiej, którzy z innej wydawali mu się ulepieni gliny. Powtórę, w Parkstone nudy były straszliwe.

— Możeby kilka z naszych psów wystawić w bazarze? — dorzucił, dumny ze szczęśliwej myśli. Lecz Jezuita przybrał na to powątpiewającą minę.

— No, oczekuję ojca wkrótce na partyjkę bilardu! — rzekł przy pożegnaniu i po odejściu Jezuitę westchnął, bo żał mu było rozstawać się z miłym towarzyszem.

Z kim miał przestawać? Niepodobna, aby dżentelman zwracał uwagę na służbę, dawnych znajomych, a tymczasem z domami pańskimi pani Hopkins nie utrzymywała teraz stałych stosunków. Jeśli zaś wychodziła z wizytą, jej małżonek pozostawał w domu i pilnował psów.

Wypaliwszy fajkę, wyczyścił ją sumiennie, nalałował świeżą i znów cmokał, przyglądając się to dychawicznemu mopsovi, to jachtowi, szybującemu do brzegu, gdy postyszał za sobą kroki i ujrzał wysoką, kościstą damę, odzianą w gustowną czarną suknię, idącą szybko pod górę z parasolką w rękę.

— Panny Hollers — zaczęła pani Hopkins — zamierzają oddać do naszego przytuliska swego pokojowczyka, cierpiącego na nosaciznę, chociaż przypuszczam, że w ostatniej chwili nie będą mogły się rozstać ze swym wstrętnym Spot'em. Stare panniska! — wzdrygnęła ramionami, a gdy siadłszy na ławce,

wzrokiem rzuciła na strudzonego psa, twarz jej, zwykle czerwona, poczerwieniała jeszcze więcej i zawołała:

— Ty zabijesz to stworzenie! Jak mogłeś wleć z sobą na spacer i jeszcze pod taką górę tego chorego nieboraka?! Patrz na oczy jego krwią nabiegłe! Słyszysz to chrapanie?!

— Co mnie będziesz uczyła! — obruszył się pan Hopkins, dotknięty wymówką. — Nie mam wiedzieć, co dobre dla psa? Mało to ich leczyłem, co? Dawniej umiałem się z niemi obchodzić, a teraz miałem zapomnieć? *No fear!*

Przez niejasne „dawniej“ John określał delikatnie przedślubny, kamerdynerski okres życia.

— Na miłość Boską, nie posługuj się tak gminnymi zwrotami! Gdy „r“ wymówisz, twój żargon z Hampshire w uszy mnie kole! Czyliż nigdy nie zrobisz z ciebie dżentelmana? I czegoż to dokazałeś? Głupstwo i kwita! Moppy dychawiczny, jak był! Zabijesz mi psa!

— To doglądaj go sama! — wybuchnął John, ponosowy na twarz. — Zdechnie za tydzień, założę się. Wolę brać z sobą tego wesołego *pointer'a*.

— Śliczna sprawa! — krzyknęła pani Konstancja. — Zamiast prowadzić go cały czas na rzemku, aby pies nauczył się pilnować nogi, spuścisz go wczoraj, i pies gonił konie i krowy po błoniach, jak szalony.

— Dobrze, że się psisko przeleciało — bąknął pokornie John, poczuwając się do winy.

Na to pani Hopkins sarknęła i wzruszywszy ramionami, oddaliła się z pogardą.

Jak nawałnice przychodziły częste wybuchy jej złego humoru niespodzianie, i wonczas wylewały się wszystkie domowe kwasy na głowę Johna. Gdyby „dawniej“ zrobiono mu podobną scenę, *butler* byłby wypowiedział służbę w tej chwili. Tymczasem, jako małżonek i dżentelman, musiał znosić wszystko, od-

gryzając się jedynie, gdy dotknięto go w czulą strunę, w godność dżentelmana.

Któż bowiem mógł o tem wątpić, że był prawdziwym dżentelmanem? Nie pracował przecież na utrzymanie, żył jak pan, ubierając się do obiadu we frak lub w „smoking.” Krawiec, adresując do niego rachunek, pisał wyraźnie przy jego nazwisku: *Esquire*. Powtórę, w kościele siadał w pobliżu lady Brassey, która obecnie notowała sobie w pamięci zasługi jego, Johna Hopkins, na niwie hodowli i dobrobytu psów. A ożeniony był z damą z wysokiego stanu, która bądźco bądź posiadała wykwinne maniere, gdy chciała. Czyliż tak wysoko urodzona kobieta pokochałaby nie dżentelmana?

Wśród takich dumań ex-kamerdyner palił trzecią fajkę, poczem udał się na podwieczorek, przypominając sobie, że *savoir-vivre* zabrania surowo pozostawiać łyżeczkę w filiżance herbaty, za co niedawno wyrzuciła go żona. Mimo to wszakże, że nie skąpiła mu ostrych przycinków, przemilczała o spostrzeżeniu, fermentującym w głębi jej umysłu, że lubo, jako kamerdyner, John robił wrażenie dżentelmana, jako dżentelman dziwnie przypominał jej kamerdynera.

Podwieczorek upłynął w harmonii, bo pani Konstancya wobec służby toczyła wojnę tylko półgębkiem, powtórę, wyszumiała przy spotkaniu męża na ławce, i to znacznie jej ulżyło na wątrobie.

Ale John niebawem powstał od stołu.

— Dokąd się wybierasz?—spytała go małżonka.

— Przejadę się łódką—odrzekł zbywająco.

Zmilczała, wszelako z balkonu ponad facyatką, z kądem uderzał na podjazdowym trawniku wspinały klomb bujnych rododendronów z fioletem i ponsowem kwieciem, śledziła męża, który puścił się w kierunku prymitywnego, drewnianego pomostu, służącego rodzinom zamieszkującym pobliskie wille. U końca jego spoczywał rój czółen.

Gdy łódka, unosząca Johna, zakolysała się, pani

Hopkins nie spuściła go jeszcze z oka, ciekawa, w którą pokieruje się stroną. Wiosłując z pośpiechem, aż woda pluskała, zmierzał on na skraj międzymorza, gdzie wznosiły się czworaki, zamieszkałe przez majtków, rządowych strażników wybrzeża. Po nad czerwonym dachem sterczał w głębi komin, zdradzający inne domostwo — dostatnią gospodę „Pod przystanią,” gdzie okolicznościowo zatrzymywali się właściciele jachtów, a latem przebywało kilka rodzin dla kąpieli morskich.

Do *Haven Hôtel* śpieszył pan Hopkins na pogawędkę z gospodarzem, panem Middleton, nie zdradzając przed swą połowicą, że w serdecznej był z nim komitywie. Bo pan Middleton przed kilku laty czyścił buty w jednym z hoteli w Poole. Jakim sposobem obrósł w pierze, było tajemnicą, dość, że poślubiwszy przystojną kelnerkę, wziął w dzierżawę hotelik i na tem pustkowiu oboje — jak stugębna głosiła fama—przepijali do siebie... zyski.

Zimową porą, gdy dom zajezdny stał pustką, John grywał z nimi w *nepa*, ulubioną grę w karty służących, debatował o szansach biegunów wyścigowych, lub trawił godziny na opowiadaniu tłustych dykteryjek, odziedziczonych w spuściźnie po minionych czasach i troskliwie przechowywanych w fute-rاله umysłowym. I nieraz bolał w głębi serca, że musi spoglądać na zegarek, aby nie spóźnić się na obiad, że nie może przynajmniej raz na tydzień, jak dawniej, rozporządzać dowolnie całym wieczorem.

Gdy nastała wiosna, jachty zaczęły zarzucać kotwicę przy cieśninie, a więc obce pojawiały się twarze, wnosząc z sobą coś z miejskiego ruchu, oraz świeżych facecyj i dowcipów zapasy. Tu przeto miał ex-kamerdyner przynajmniej z kim porozmawiać, przed kim podnosić swe socyalne stanowisko i sławić łaskawy los, co niby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, przemienił go w najprawdziwszego dżentelmana.

Jakoż zamiast okalać pieszo część zatoki i przebywać piaszczystą dróżynę, wijącą się po międzymorzu, śpieszył na czołnie do swej przystani.

Wpadł do traktyerni z rozjaśnionem obliczem; wśród wyziewów piwa i wódek było mu jakoś raźniej na sercu.

— Co nowego, mis Jones? — odezwał się do strojnej szynkarki.

— Kilka osób zapowiedziało swe przybycie na Zielone Świątki — odrzekła, wycierając szklanki i witając go przyjaznem skinieniem głowy. — Widzę, że nie przyniósł mi pan obiecanego bukietu róż.

— Tam do dyabła, zapomniałem — tłómaczył się, bo z obawy przed argusowemi oczyma żony nie ośmielił się zerwać kwiatów.

— Mr. Hopkins! Jak się mamy? — zawołał w tej chwili gospodarz, wchodząc do obszernej i schludnej izby.

Przywitali się silnym uściskiem dłoni, poczem bez wstępu pan Hopkins poczęstował go likierem.

— Mam wesołego gościa w jadalni. Może przejdziemy? — rzekł hotelista, który „wesolymi“ nazywał ludzi pozostawiających więcej nad szylinga w jego kasie.

W towarzystwie pana Middleton, jego żony, dość ładnej kobiety, acz z twarzą od trunku nabręklą, oraz aptekarza z Poole, zasiadł John ponownie do herbaty i koniaku. Przy gawędzie czas mu schodził szparko, lecz miał on lęk na sercu, aby nie doszło do uszu piekarza z Poole, przywożącego codziennie do Parkstone prócz świeżego chleba, najświeższe lokalnego znaczenia wiadomości, iż Hopkins Esquire z willi Sans-souci pił wódkę z aptekarzem w nadmorskiej gospodzie.

Gdy wybiło w pół do siódmej, zabierał się do wyjścia, to jest zgryzł kilka ziarenek palonej kawy dla usunięcia z ust kompromitującego zapachu koniaku. Lecz nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich

lokaj w długim palcie, w cylindrze z rozetką i wygłosił z urzędową miną:

— Mrs. Hopkins życzy sobie, aby wielmożny pan wsiadł z nią do powozu.

Wielce strapiiony, John pożegnał się pośpiesznie i wyszedł jak zmyty.

Gdy powóz ruszył, prując cicho głęboki piasek dróżyny, pani Hopkins odchrząknawszy, zaczęła:

— Co się znaczy, John, owo przesiadywanie w ordynarnej knajpie?... Słyszałam, że przybyła do niej młoda kelnerka z Londynu. Nie ręczyłabym za to, czy to ona nie stanowi magnesu, który przyciąga cię do tego szynku. Tego tylko brakuje, abyś mi się wdał w romanse z jaką zapowietrzoną pannicą!

Żrenice jej przeszły go aż do wnętrzości. Przypuszczenie troskliwej małżonki nie miało żadnej realnej podstawy; jedynie pragnienie towarzystwa przywodziło go do „Przystani.“ Zanim zdobył się na wyjaśnienie, pani Hopkins ubila sprawę wynowną uwagą:

— Nie powinienes zapominać o swem stanowisku.

Na to nie było repliki. Wistocie nie godziło się przebywać w gospodzie z aptekarzem. Wejść na kilka minut, pogawędzić łaskawie z kelnerką — to przystoi dzentelmanowi.

Przyznawał żonie słuszność, lecz przed rozbudzonym jego duchem zarysował się obraz państwa Middleton i wyobraził sobie, jakie on to prowadziłby miłe życie, będąc właścicielem takiego hoteliku, przy boku młodej niewiasty, chociażby z licami od koniaku zarumienionemi. I rozłożony na poduszkach *brougham*’u, westchnął ciężko, długo i żałośnie.

A lokaj, siedzący sztywnie na koźle, mruczał coś nieznacznie do stangreta i uśmiechał się z politowaniem, jakby myśląc sobie: „biedne Dżonisko!...“

III.

Nakrywano do śniadania. Tymczasem mr. Hopkins w jasno popielatym, flanelowym ubiorze i żół-

tych trzewikach stał z rękoma w kieszeniach przed otwartym oknem jadalni i, przyglądając się parze czyżków, biegających wesoło po gałęzi kasztanu, oczekiwał przybycia pań.

Prócz jego żony, miała zasiąść do stołu jej córka, miss Evelyn, która po czterech latach pobytu za granicą zjechała na sezon londyński. Odwiedziwszy siostrę w Szkocji, wypadało jej pokłonić się także matce, chociaż podróż do Parkstone nie uśmiechała jej się bynajmniej. Bo niestosowny związek pani Aylesbury z kamerdynerem rozluźnił jeszcze więcej węzły rodzinne. Wiadomość o powtórkiem małżeństwie matki przyjęły dzieci pułkownika z ubolewaniem, lecz ograniczyły się na listach pełnych wymówek i zaklęć, w gruncie rzeczy nie oczekując, aby cośkolwiek mogło odwieść arbitralną damę od matrymonialnych zamiarów. „*There is no fool like an old fool*” — mówiły sobie córki w cichości i odtąd, jeśli wspominały o niej, nazywały panią Hopkins „matką”, nie chcąc wymieniać wstrętnego nazwiska.

Zawitawszy do willi Sans-souci późno z wieczora, panna Ewelina udała się niezwłocznie na spotkanie, jakby zwlekając ze spotkaniem z ex-kamerdynerem. I nie śpieszyła się na śniadanie.

Gdy służąca wyszła z pokoju jadalnego i John pozostał sam, podszedł do stołu, przystrojonego różowymi kwiatami i zielenią, lustrując krytycznie nakrycie. Uderzyło go, że srebrny nóż do ryb nie leżał na właściwym miejscu, a jedna z serwet była niebdałe zwinięta w rurkę. Zaczął się przeto krzątać wkoło stołu.

Na to weszła młoda, dobrego wzrostu osoba w białym, flanelowym kostyumie i trzewikach z płótna żaglowego, żywa w ruchach, wysmukła szatynka o czystej, różowej płci, delikatnych ustach i ciemnych, badawczych oczach swej matki, które zmierzły pana Hopkins od stóp do głów. A gdy spo-

strzegła, że zwija serwetę, cierpki uśmiech wykrzywił jej wargi.

Zdybany na gorącym uczynku, John zmieszał się i pokraśniał.

— Przypuszczam... mister.. Hop... kins—wycedziła oschłym tonem panna Ewelina, niby zapominając, że widziała go przed śmiercią ojca w liberyi, i wyciągnęła jak najdalej od siebie rękę na powitanie.

On skłonił się sztywnie, z godnością kamerdynera.

— Ciepły ranek — bąknął, na co zamiast zdawkowego „yes” odebrał zbywającą odpowiedź:

— Nie byłem jeszcze na dworze.

— Zapewne przyjechała pani do Anglii na wyścigi?

— Bynajmniej — rzuciła lakonicznie, lubo zamilowanie pana Hopkins do sportu mogło zrehabilitować go poniekąd w jej oczach.

Podjęła czasopismo i nie przestała oglądać ilustracji, dopóki nie pojawiła się pani domu. Podczas śniadania zaś nie zaczęła go ani razu, a gdy poprosiła go o podanie soli, jej przeciągłe, pogardą brzmiące „Mister... Hop... kins” żgało niby żądło osy.

— Mógłbyś pojechać *dog-cart*em po ojca Murphy i przywieźć go do nas — rzekła pani Hopkins. — Dzień tak ładny, iż urządzimy *picnic* w lesie nad morzem.

Naturalnie John nie ościagał się ze spełnieniem życzenia równającego się rozkazowi, czując się u siebie tak zbytecznym, jak piąte koło u wozu.

Po śniadaniu panna Ewelina musiała towarzyszyć matce do sadu i zwiedzać wszystkie psie budy, rozstawione rzędami pomiędzy nieurodzajnymi drzewami czereśniowemi i otaczające kręgami rosochaty kasztan. Na końcu przeglądu tak była przesyconą widokiem psów, że odwracała się z podwójnym wstrę-

tem od dychawicznego mopsa, który włóki się za niemi ze zwieszonym łbem, prawie pelzał pod ciężarem tłuszcza.

Potem matka z córką siadły w trzcinowych fotelach na balkonie.

— Czy mama nie nudzi się cały rok w tej martwej miejscowości?

— Bynajmniej, mam dużo zajęcia: rachunki, psy, ochronki, bazy, stajnia, ogród, John...

— Ale, jak mama mogła połączyć się z... tym człowiekiem? — wyszeptala nieśmiało panna Ewelina.

— Nie wtrącaj do tego swego złotego dzioba. Gdy będziesz miała lat pięćdziesiąt, a Bóg nie pokapi ci zdrowia i rozsądku, inaczej będziesz rezonowała. Miej się na baczności, byś nie zrobiła większego odemnie „głupstwa!“ — odcięła się pani Hopkins i po chwili dodała z przekonaniem: — Mężczyzna, to mężczyzna, *my child*. Ty o tem nie nie wiesz. Głupia jesteś!

Na tem urwała się rozmowa o tym przedmiocie. Pani Hopkins wkrótce oddaliła się, by wydać rozporządzenia co do pikniku, a panna Ewelina siadła do fortepianu. I tak zastał ją John z ojcem Muphrym.

Z południa nieodbrane grono rozstawało się na małej polance, położonej wysoko na nadmorskiem urwisku, wpośród potężnych sosen, podszytych gęsto paprocią i rododendronami w pełnym rozkwicie. Przez wręb widniał z boku głęboki wąwóz, łożysko wrzосу, jałowca, anemonów, sasanek i kosatek, przecięte nikłym strumykiem, który ściekał bez szmeru po złotych kamykach i tonął marnie w piaskach, o krok od pienistych fal morskich. Słodka woń sosen rozplywała się w powietrzu, wytwarzając atmosferę duszącą i zgęstniałą, bo do tej kryjówki, niby koszyk opasanej zieloną i kwiecistą plecionką, nie zakradał się prawie wcale powiew wiatru od morza, co błękitniało u stóp urwiska, szumiąc żałośnie.

Panna Ewelina, rzuciwszy z głowy słomkowy

kapelusz, wyciągnęła się jak długa na futrzanym koćcu, z rękoma pod głową, i rozmawiała z jezuitą, który spozierał w jej twarz ciekawie, gdy tymczasem pani Hopkins wyjmowała z koszyków prowianty z pomocą lokaja.

— Podaj obrus, Edward! — zwrócił się pan Hopkins do służącego, chcąc przyłożyć rękę do urządzenia pikniku. Lecz żona szepnęła do niego opryskliwie:

— Nie mieszaj się do tego, John!

Odsunięty od towarzystwa, usiadł pod drzewem, czyścił fajeczkę i głaskał popielatego duńskiego ogara, co łeb czarno nakrapiany ułożył na jego kolanie. Potem przyglądał się sukni i trzewikom panny Eweliny, przypominając sobie, że kiedyś przechodził przez tę polankę z czarnobrewą Bessie, aż wzrok jego, nie sięgający daleko, spoczął na cichym, bezsilnym strumyku...

Aby wtrącić się do rozmowy, ozwał się w stosownej chwili do jezuitę:

— Czy zauważył ojciec, jak panna Ewelina świetnie gra na fortepianie, jak zgrabnie przekłada jedną rękę przez drugą?

Młoda panna parsknęła bezlitośnie śmiechem, a on mniemał, że może uda mu się zgrabnym komplementem zaskarbić jej łaski. Niemniej pani Hopkins wydało się śmiesznem, iż pocziwy John uważa przekładanie rąk za najwyższą sztukę w grze fortepianowej. Jedynie blada twarz ojca Muphrego nie odzwierciadlała żadnego uczucia.

— Nie ulega wątpliwości — odrzekł spokojnym tonem — że panna Ewelina doprowadziła swą grę do wielkiej doskonałości. Wrodzony talent, wychodowany wśród wpływów muzyki włoskiej!

Ten zwrot naprowadził rozmowę na muzykę i Włochy, ale John nie ośmielił się więcej brać w niej udziału. Zgryziony, stracił nawet apetyt i poprzestał na sucharze, serze i winie. A myśl jego powędrowała

wała prosto do „Przystani” i pytał się, czy powróci już do niej z wycieczki młody piwowar z Hampshire, właściciel jachtu, który zarzucił kotwicę w cieśninie. Był to człowiek rubaszny, ale dobry koleżka i... dżentelman. Na wspomnienie spędzonych z nim chwil, porwała Johna wielka ochota zajrzeć do gospody. Gdy przeto znalazł się sam na sam z żoną na uboczu, lubo wybiegi były dawniej obce jego prostej naturze, rzekł:

— Przyrzekłem przejechać się jachtem ze znajomym, wysoko postawionym dżentelmanem, który bawi w hotelu „Przystani”.

— Dobrze — odparła pani Hopkins łaskawie, patrząc na swego Johna z takim zadowoleniem, jakim przejmował ją widok tęgiego, popielatego psa duńskiego. — Gdy wyruszymy ztąd, idź! Może ten pan wzięłby którego z mych psów?... Powróć na czas na obiad! — dodała, myśląc sobie, że jej córka, nie znająca się na wartości mężczyzn, nie gniewałaby się, gdyby John świecił nieobecnością przy obiedzie.

— Droga Ewelino — zwróciła się do córki — muszę uniewinnić pana Hopkins, że nie będzie nam towarzyszył z powrotem. Ma się spotkać z pewnym głośnym sportsmanem londyńskim.

Zanim John puścił się lasem ku piaszczystemu zaspom międzymorza, szepnęła mu na ucho:

— Upominam cię, abyś nie flirtował z tą kelnerką!

Zaledwie pan Hopkins uszedł kilka kroków, pomyślał za sobą wołanie ojca Muphry, który zrównawszy się z nim, rzekł:

— Chcąc przejść się, pozwolę sobie odprowadzić pana na półdrogi, poczem powrócę do dam.

W toku gawędy ojciec Muphry mówił, jakby do siebie:

— Lat temu wiele przechadzałem się w podobnym, pięknym lesie, lecz ludzie zakrwawili mi serce

tak, iż nie znalazłem pokoju na łonie natury. Dopiero u ołtarza odnalazłem szczęście i odtąd czerpię radość dla mej duszy ze źródła wiary, z pracy dla kościoła.

Pan Hopkins zbierał po drodze szyszki i z potrzeby ruchu ciskał je w gęstwinę rododendronów, każąc je aportować psu, na niezrozumiałe wyznaczenie jezuitę nic nie mając do powiedzenia.

Przeszli spory kawał lasu, gdy ksiądz spytał, kiedy wyjeżdża panna Ewelina, a gdy dowiedział się, że miało to nastąpić za dwie doby, pomyślał chwilę i rzekł:

— Może pan przybędzie do mnie tego dnia na skromny obiad?

— Z przyjemnością. Szkoda, że ojciec nie ma u siebie bilardu.

— Ale zagramy w wista. Postaram się o miłego partnera.

— Jakże z owym bazarem, o którym ojciec wspominał?

— Przyjdzie do skutku wkrótce. Jednakże nie mały mam kłopot, bo koniecznie trzeba będzie przebudować i powiększyć naszą skromną świątynię Pańską. Chcielibyśmy prace rozpocząć na wiosnę, bo zastęp wiernych wzrasta, a wobec kościołów anglikańskich przedstawia się ona tak ubogo! Któż przypuszczałby, iż słuchają w niej mszy świętej tak dostojne osobistości, jak lady Brassey lub żona pańska, nie wspominając o wielu dżentelmanach. Niestety, dobrodziejstwo naszego kościoła nie rozporządzają taką fortuną, jak książę Norfolk, który prawie sam jeden funduje katedrę katolicką nad Tamizą! Pan to wielki i bogobojny! Co za boleść pomyśleć, że w domowym kółku nawiedzony takim dopuszczeniem Boskim — westchnął i ciągnął — o ile skwapliwiej powinni czynić dobrze synowie kościoła, których Opatrzność zawiodła wysoko kwiecistą drogą?... Imiona łaskawych fundatorów będą wyrzeźbione na marmuro-

wej plycie wewnątrz kościoła i we wdzięcznych sercach kongregacyi.

— O!... Niechaj ojciec pomówi o tem z panią Hopkins.

— Posłucham pańskiej rady i zwrócę się do niej w tej sprawie po wyjeździe panny Eweliny, bo teraz tak zajęta swą miłą, dawno niewidzianą córką. Nie wątpię, że nam nie odmówi pomocy. Wszelako sądzę, że pan sam wymowniejszym może byłby rzecznikiem w odpowiedniej chwili.

— *Well...* — wycodził John powątpiewająco, lecz nabył przekonania, że musi on mieć pewien wpływ na żonę, bo ojciec Muphry dobrze wiedział, co mówił.

— Będę czuł się szczęśliwym, widząc imię Johna Hopkins Esquire wyryte obok nazwisk wysoko urodzonych naszych dobrodziejów... No, pomówimy o tem przy sposobności.

Wkrótce jezuita pożegnał go i zboczył ku Parkstone.

Słowa jego podziały jak balsam na przynębiony umysł pana Hopkins i otworzyły przed nim nowy horyzont. Jeśli dotychczas zajmował wobec żony stanowisko podrzędne, niemal służalcze, jak to go teraz uderzyło, mogło się to zmienić. Nie miał wprawdzie wyobrażenia, jakiej należałoby się chwycić taktyki, bo on zanadto przywykł widzieć w niej swą panią i w swej prostej machinie umysłowej nie posiadał ani żdźbła dowcipu, lecz ojciec Muphry mógł mu wskazać drogę.

W miarę, jak zbliżał się do „Przystani“, rozchmurzone jego oblicze, oblane żywym blaskiem słońca, jaśniało nadzieją pozyskania znaczenia i swobody w domu, oraz spotkania „głośnego sportsmana londyńskiego“, czyli piwowara z Hampshire.

Droga ciągnęła się brzegiem zatoki, a potem wila ślimakowato środkiem międzymorza na falistym terenie białych, ruchomych piasków, które w pobliżu

zajeźdnego domu piętrzyły się w dość wysokie wały. Pod bokiem jednego z tychże zieleniła się mała kotlina, niby oaza na pustyni, i tutaj ujrzał pan Hopkins dwukołowy wózek, odprężonego kucyka skubiącego trawę, dalej piastunkę z niemowlęciem i dostatnio ubraną kobietę, przyrządzającą herbatę na maszynie w cieniu samotnego drzewa.

Minawszy tę grupę, składającą się na wdzięczny, barwny obrazek, John przedostał się przez zasy na brzeg morski, aby skrócić sobie drogę do gospody, zwracającej czoło ku rozmarzonym w ciepłe słonecznym wodom kanału angielskiego. Lecz gdy stanął na twardym szlaku, przykuł go do miejsca widok młodej kobiety, brunetki, w słomianym kapeluszu, w blado-niebieskim staniku muślinowym, która z podkasanymi spódniczkami powyżej kolan brodziła w chłodnej, orzeźwiającej wodzie, z głową pochyloną, może unikając ostrych kamyków, może przestrzegając, by zdradliwa fala nie obryzgała jej sukni. Jej śnieżne, pięknie utoczone nogi przecinały zwolna kryształ wód, a John, nie poruszając się, podziwiał kształtną, dość silną figurę, bujne splety włosów i zgrabne nóżki.

Nareszcie chrząst łap ogara w zwirze zbudził jej czujność i odwróciła głowę, ze zdziwieniem mierzając okiem nieznanego.

Promienie ich źrenic w jedno zlały się pasmo; ale nim jeszcze spoczęły na nim te czarno oprawne, szafirowe, jakby irlandzkie oczy, John poznał w niej Bessie, swą dawną malinową Bessie, pulchną, tęgą w biuście, opromienioną urokiem młodości, z karmazynem i słodyczą na ustach, najładniejszą ze wszystkich kobiet.

Niemy, nieruchomy, patrzył w tę łagodną twarz, pelen zdumienia, zachwyty i radości, zmieszanej z głuchym uczuciem żalu, nie mogąc pojąć, jak się to stało, że jej nie zaślubił.

I Bessie rozpoznała w popielato ubranym dżen-

telmanie swego niewiernego „młodego człowieka”, lecz odwróciła się niezwłocznie, pluskając w wodzie.

On zastanowił się; strzeliła mu myśl do głowy, że nie wypada mu zbliżać się do połojówki, wszelako parł go naprzód jakiś miły prąd z mocą żywiołu i zmierzając ku niej, zaczął wołać:

— Bessie!...

Jakby nie słysząc, stapała dalej. Dopiero gdy niezrażony zbliżył się do niej, spojrzała prosto w twarz jego, w zimnem, stalowem wejrzeniu wyrażając gniew zawiedzionego serca.

— Jak się masz, Bessie *dear*?

— Dobrze — odparła oschle — ale nie „*dear*”.

— Czyś przybyła ze swą panią do Parkstone?

— Porzuciłam to miejsce, bo siostra mnie wzięła do siebie — mówiła jakby z łaski.

— Czy to twoja siostra gotuje herbatę w kolinie?

— Tak jest.

— Także ładna kobieta. Prawda, że ona wyszła za mąż za maszynistę i mieszka w Wimborne?

Dziewczyna skinęła głową.

— Bessie *dear*, przysłę wam zaraz obwarzanek do herbaty z hotelu pod „Przystanią”, a na przyszły tydzień odwiedzę was w Wimborne i wezmę cię na spacer mym *dog-cart*em.

— Niel! — szepnęła cicho, ale stanowczo, i tryumf zadowolonej próżności kobiecej odmalował się na jej licach ironicznym uśmiechem.

— Czemu nie? — spytał i czekał odpowiedzi.

— Bo jestem zaręczona — wycodziła od niechcienia.

Uderzyło go coś w piersi.

— Z kim? — pytał po chwili milczenia.

— No — odparła Bessie z przekąsem — nie możemy wszyscy wchodzić w związki z lordami i wielkimi paniami, ale dyrektor cegielnii jest dla mnie naprawdę dość dobrym...

John chciał coś mówić, o coś prosić, ale popłatały mu się myśli. Stał zgryziony, przybity, bezradny, dopóki Bessie nie rzuciła mu pożegnального: „*good-bye!*” i nie skinęła wyniosłe głową.

Oddalił się ociężałym krokiem, nie spozierając po za siebie na dziewczynę, która podtrzymując piąstkami suknię, podreptała zaraz opowiedzieć siostrze o niespodzianem spotkaniu swem z dawnym wielbicielem.

Tymczasem dżentelman kroczył gdzieś przed siebie, tocząc martwem okiem, co nic wokoło nie widziało i widzieć nie chciało. Bielita się przed nim ponętna postać dziewczyny, czerwieniły się usta jak maki; zresztą na świecie nie było nic godnego widzenia. I nerw, co zadrgał w nim żywo, rozbudził uśpioną falę życia, ukołysał się do snu, pozostawiając pierś pustą, machinę-człowieka.

IV.

W cieniu ponurej, od morskich wyziewów zszarzonej ściany hotelu „Przystani” rozgościli się przy stole piwowar, nazwiskiem Barker, i mr. Middleton w towarzystwie mnogich, próżnych butelek piwa i flakonu z wódką. Młody, przystojny żeglarz, z rozpiętą kamizelką, wsparłszy się łokciami na ceracie, prawil coś hoteliście, który w odpowiedzi belkotał językiem, z rumieńcami na bladej twarzy, z błędnym wzrokiem, raz po raz przesuując dłonią swe blond włosy.

Obadwaj powitali pana Hopkins radośnie, piwowar odrazu nazwał go „przyjacielem” i zaczął mu nalewać w szklankę *whiskey*.

Lubo wstrzemięźliwy z natury, John wszedłszy między wrony, musiał krakać jak one. Zresztą w takim był usposobieniu, że byłby pił atrament, aby tylko czemś się zająć, słyszeć gwar wkoło siebie i uśmierzyć toczący go ból w duszy.

Wkrótce z gospodarzem niepodobna było się

dogadać, bo mocne cygaro hawańskie dobiło go do reszty. Lecz piwowar, zupełnie przytomny, ust nie zamykał, a wpływ trunku objawiał się jedynie przez pragnienie wypowiedzenia się ze spraw osobistych. Jakoż zaczął opowiadać „przyjacielowi“, jakim sposobem doszedł do fortuny, nie troszcząc się o pana Middleton, który z początku przerywał mu jękami, a potem wtórzył serdecznym chrapaniem.

Wysłuchawszy długiej historii, John zaciągnął piwowara do bilardowego pokoju. Chrapiącego hotelistę zaś pozostawili w rękach anioła opiekuńczego, który zjawił się w postaci jego godnej małżonki z czerwonym nosem i ze szlachetnym wysiłkiem zawiódł go na nocne leże.

— Chciałbym zwiedzić pańską willę, mr. Hopkins — rzekł mr. Barker w toku gry. Podobno dominuje nad całą okolicą.

— W najlepszym położonym miejscu — bąknął John, wyciągnięty na dużym bilardzie, domysławiając się dokąd zmierza mr. Barker.

— Chętnie ugościłbym pana u siebie, lecz tak się, fatalnie złożyło, że mamy w domu niekoniecznie przyjemnego gościa.

— Mniejsza o to, nie wpraszam się — rzekł urażony i niekontent mr. Barker.

— Ale może jutro zrana wstąpi pan obejrzeć naszą psiarnię, a wieczorem stawi się na obiad do hotelu pod „Trzema gwiazdami“ w Poole? — zaproponował John, zebrawszy się na odwagę.

— *Well*, niech i tak będzie! — odparł wsparty na bilardowym kiju piwowar. — Gdy przybędzie pan do Hampshire, jako dżentelman, odwiedzę się panu obiadem u siebie.

John połknął pigułkę. Podczas gdy Mr. Barker mozolił się na wpędzeniu bilardowej kuli do siatki, zatopił się w myślach i po chwili zagadnął:

— Co pan rozumie przez określenie: dżentelman?

Zakłopotany pytaniem, jakiego nikt mu dotąd nie stawiał, Mr. Barker drapał się po czuprynie, aż wreszcie wygłosił z miną, obwieszczającą, że łamiłówkę szczęśliwie rozwiązał:

— Dżentelman jest każdy rzeczywisty, czy pozorny mężczyzna, mający kilka szylingów w kieszeni i noszący cylinder. Ale prawdziwym dżentelmanem... na to wiele więcej potrzeba. Stanowisko, ani ukształcenie samo nie wystarcza. Prawdziwym dżentelmanem trzeba się urodzić, albo przynajmniej umieć wmówić w ludzi, że się nim jest rzeczywiście.

Głęboki cień padł na lica pana Hopkins. Według tej definicyi był on dawniej po za służbą tak dobrze dżentelmanem, jak każdy inny, a w prawdziwego dżentelmana nie mógł przeobrazić się nigdy. Nie potrafił on nawet przystroić się w pozory. I nad tem zabołał srodze.

W ciągu gry weszło do izby trzech mężczyzn, z cygarami w ustach i szklankami piwa w rękach. Zajawszy siedzenie na czarnej kanapie pod ścianą, śledzili przebieg gry. Jeden z nich, w dość długim granatowym surducie, z żółtymi cholewami opinającymi u dołu spodnie, widocznie masztalerz, cisnął na wstępie panu Hopkins wyzywające spojrzenie, a rozsiadłszy się, nie przestawał zerkać na niego z ukosa. Gdy gracz zdał się go nie zauważyć, odchrząknął raz i drugi i zawołał doniośle: — John!

Mr. Hopkins, odwrócony tyłem do groom'a, wdał się w rozmowę ze swym partnerem, jakby nie nie słyszał i do znajomości się nie przyznawał.

— John! — powtórzył tenże hardo, gdy głosy przycichły. — Nie znasz mnie to? Pamięć cię zawodzi. Już nie pamiętasz, jak to grywaaliśmy w *nepa* w stajni lorda Wimborne?!

John poczerwieniał jak burak, przygryzł wargę i fala wściekłości uderzyła mu do głowy. Widywał on go często w Parkstone, gdzie niezawodnie Harry był teraz w obowiązkach, ale naturalnie unikał i nie

poznawał. W pierwszej chwili byłby najchętniej pochwycił go za gardło i cisnął o mur, jak szczeniaka, lecz opanował się i patrząc osłupiałym wzrokiem na stół bilardowy, milczał. Jedynie ciężki, przyśpieszony jego oddech było słyszeć w izbie, niby miech kowalski.

— A to sławnie pan zagrał! — zwrócił się do partnera, który po krótkiej przerwie podjął grę na nowo.

Ze źrenic masztalera tryskały błyskawice głębokiej zawiści, na twarzy jego paliły się ognie i gdy cisza zapanowała, ozwał się do swego towarzysza i sąsiada:

— Nie żęń się z wielką damą, bo ogłuchniesz na oba uszy, jak mój przyjaciel John Hopkins, co niegdyś pożyczał odemnie po kilka szylingów...

Jakby w pokoju robiło się za gorąco, John odetchnął całą piersią. Podniósł oczy na zaczepiającego i przeszywając go dumnym spojrzeniem, wykrztusił urywanym głosem:

— Harry, mówię ci po raz pierwszy i ostatni, zamknij gębę i wynos swe kości co tchu... błaznie!

Groom zaśmiał się zcicha.

— Jeśli masz ochotę spróbować się na kulkę, to chodź przed dom. Zobaczymy, kto blażen.

To rzekłszy, zabrał się zaraz do zdejmowania surduta, ale John powstrzymał go, cedząc dobitnie:

— Nie zrzucaj surduta, bo jak cię ztąd wyrzucę, to żona twoja musiałaby go tu szukać. Dżentelman nie bije się z groom'em.

Na dźwięk podniesionych głosów ogar, śpiący w kącie, uniósł łeb i rozglądał się po izbie, niby pytając, co się święci, tak zaciekawiony sceną, jak pan Barker, który siadł na kanapie w oczekiwaniu walnej batalii.

Tymczasem stajenny zachichotał znów i zapinając surdut, zaczął krzykliwie:

— Dżentelman! *Pah!* Co to mi za wielki pan, którego ojciec owce pasał w Hampshire! Biedaczysko, nie mające ani złamanego własnego szeląga w kieszeni i tchórz...

— Milcz—ryknął John i rzucił się gwałtownie ku niemu, ale masztalerz skoczył zwinnie w bok i przystanął z przeciwnej strony bilardu.

Przez moment stali tak, kipiąc szalonym gniewem, przedzieleni dużym bilardem, niby dwa dzikie zwierzęta, gotujące się do skoku. I w izbie zadmionej i gorącej tylko brzęczenie owadów przerywało ciszę.

Po namyśle ex-kamerdyner, nie chcąc kusić się o pochwycenie napastnika w pędzie, zajął stanowisko przy drzwiach, by zapanować nad wyjściem. Groom wykonał ruch odpowiedni tak, iż znów dzielił ich bilard i pewny siebie, naigrawał się:

— Dżentelmanowi żona nie wydziela koprowiny na piwo i tabakę! Niezadługo przywiąż cię na łańcuchu do psiej budy, byś jeszcze lepiej pilnował babskich spódnic. Przedtem byłeś panem kamerdynerem, ale spadłeś na płatną z łaski szlafmycę tej pani. Dżentelman, cha! cha!

Ścisnąc kurczowo krawędź bilardu, John z krwią nabiegłymi oczyma, ważył w myśli szanse. Skoczyć na bilard i przytrzymać go za czuprynę? Ale Harry czmychnąłby pod stół i dopadł do drzwi. Miał go na odległość jednego i pół ramienia, lecz jak dostać go w swe ręce?

Wtem ogar podniósł się, wyciągnął łeb, jakby węsząc, poruszył się i warknął, zcicha, złowrogo.

Na to masztalerz pobladł. Szalę zwycięstwa pies przeważał stanowczo na stronę Johna, wszelako ex-kamerdyner przeląkł się sprzymierzeńca, co mógł pokasać i zadusić na śmierć stajennego.

Podniosły się też głosy:

— Wypędzić psa!... *It isn't fair...*

— Do nogi, Dzek — zawołał John na ogara, a gdy tenże, ociągając, zbliżył się, poklepał go po łbie i szybko wypchnął za drzwi.

Ochłonawszy ze strachu, masztalerz szukał świeżych przytyków.

— No, jakże dżentelman John! — cisnął mu, odczuwając jego bezradność. — Czekam dość długo, dość tej zabawy! Dzięki Bogu, rozpoznałeś mnie nareszcie, teraz poznasz mnie lepiej! Ty jedynie do starych bab masz szczęście! Pamiętasz tę francuską służącą w Wimborne, tę bez zębów? No, John, tyś istotnie wielki pan, chociaż psy twej damy na ciebie...

Tu pod wpływem strasznej furii podniosła się ręka Johna, w której dotąd trzymał kij bilardowy i bezradny cisnął go w twarz groom'a. Zaskoczony znieładka, masztalerz cofnął się, uderzony, odwrócił się bokiem do bilardu, a gdy kij padł pod ścianę, schylił się po broń. Lecz John chwilę tę wyzyskał. W skok rzucił się za nim i u drzwi przytrzymał. I potężna pięść gruchnęła w ucho masztalerza.

Zaszamotali się, aż sprzęty w izbie zadygotały, odpowiadając echem. Jedno i drugie ramię zapaśnika migало w powietrzu, potem bilard zaskrzypiał i poruszył się, przygnieciony bokiem masztalerza, rzuconego z odmachem.

I dłoń Johna spoczęła na kartku przeciwnika. który zaparł się rękoma i nogami o bilard. Nastąpiła pauza i ciche mocowanie się, wreszcie John, sapiąc, jednym kopnięciem kolana podważył go i wysadził z pozycyi. Jeszcze chwila, potem groom wyleciał z pokoju jak z procy, a drzwi zatrzaśnięte zatrzęsły się w zawiasach, jęły i tynk opadał z muru z szaleństwem.

Na tem skończyła się bójka. Atoli nikt nie zwrócił uwagi na skomlenie i drapanie ogara do drzwi, który teraz rzucił się na powalonego w kurytarzu groom'a i zaczął wściekle szarpać go kłami.

Towarzysze zwyciężonego, John sam i piowar skoczyli na ratunek, ale gdy wydobyto masztalerza z pod pazarów ogara, leżał wpół nieżywy, omdlały, we krwi zbaczony, okropnie pokąsany, z żebrem złamanem w zapasach, z odzieniem w szmaty zdartem — straszny obraz.

Badź co bądź, rany, jakie odniósł, zapowiadały akcyę sądową.

O epilog tej sprawy pan Hopkins się nie kłopotał. Nie litował się też nad masztalerzem, ani nie wyrzucał sobie, iż wdał się w bójkę, bo zapasy i pomsta przyniosły mu ulgę.

Wieczór spędził w „Przystani“, nie chcąc ze swem podbitem okiem ukazać się przy stole w Parkstone. Jak przywitałaby go żona i owa miluchna panna Ewelina?

Wracając do domu o księżycu, jeszcze ociągał się z powrotem, lękając się nieodzownego śledztwa ze strony pani Hopkins. Jakoż spoczął na wrzosowisku, w pobliżu miejsca, gdzie spotkał Bessie, znękanym i posępnym.

Wydało mu się teraz, że niedość pomścił się za zniewagę, niedość wywarł swój gniew i gorycz, co w ciągu dnia i długich miesięcy nagromadziła się w jego sercu kropla po kropli. Aby ją całą wydrzeć z duszy, musiałby bodaj wojować z całym światem, katować i zabijać.

Lekceważące obejście się z nim panny Eweliny, odpychające słowa żony, spotkanie z nadobną Bessie, jej odwet, pogląd pań Barkera, bezczelność masztalerza, który bryznął mu w twarz słowa gorzkie jak piołun, słowa prawdy — wszystko to stargało i rozstroiło struny jego cichej duszy. Pił dużo tego wieczora, ale wódka, miasto wygładzić jej wzburzoną powierzchnię, wydobyła na jaw ukryte bóleczy, spoczywające w głębi duszy, zaledwie na wpół zrealizowane, niejasne. Teraz powylażyły one, niby szczury z nor, i gryzły go

Opadł mu z przed oczu welon iluzji, a marzenia o stanowisku i swej wielkości, serdecznie i długo hodowane, gdzieś się rozwiały. I jak bezdomny włóczęga, siedział na pustkowiu bez otuchy, bez celu, bez jutra.

Na wodach zatoki migotały blaski latarni na palach, wiodące do cichej przystani, ale nie tędy prowadziła go droga, bo na szarym szlaku jego życia nie świeciły się światła.

Ze wzgórza w Parkstone mrugała gwiazdka od strony willi, ale nie ku niemu, bo on tam był zbyt czystym. Lepiej na odludnych wydmach, zdala od owego domowego ogniska! Bo czyliż ciągnęła go do siebie ta gderliwa, kapryśna, zwiędła, stara kobieta? Niechaj grymasi, że nie stawiał się na wieczór! „Niechaj się powiesi razem z tą słodziuchną córeczką!”

Ale przecież był on tam panem. Tak, zaiste panem, nad którym lituje się służba, a którym żona, niby wiechciem, pomiata. Ha, ten łajdak Harry mówił prawdę! Służącym był do psów doglądania i wygrzewania nóg swej pani! Gorzej niż służącym, bo dożgonnym skrzepowanym węzłem, osadzony w kleszczach ceremonii, na domiar ograniczany, pilnowany, odcięty od ludzi—istny niewolnik.

Po za domem zaś był zerem. Ludzie z „towarzystwa” nie znali go i oglądać nie chcieli, warstwa niższa odwracała się od niego z szyderstwem na ustach, w płytkiej zazdrości rzucając mu w twarz obelgi. I on sam wyodrębnił się trochę, odsunął się od społeczeństwa, nie zbliżywszy się rzeczywiście do koła, w które los pchnął go złośliwy. Osamotniony, zawisł gdzieś pomiędzy obu biegunami! Gdyby kiedy była mu przyszła chęć zbratać się znów ze służbą, byłiby mu oni na każdym kroku nogę podstawiali, lub odtrącali od siebie, jak wyrzutka. Nawet Bessie poszła na zawsze bez łaskawego wejrzenia, bez dobrego słowa, co rany goi.

Cóż zatem zyskał na tem świetnem małżeństwie? Był on rzeczywiście dżentelmanem, czy nie?

Machnął ręką i patrzył na morze, na księżyc, płynący wśród gwiazd i drogi mlecznej na lazurowych wyżynach, patrzył na cienie, pelzające po piaskach niby duchy lekkie, na wstęgę księżycowego blasku, rzuconą na fale i na swego ogara, który, leżąc przy jego boku, liżał mu niekiedy rękę ogromnym ozorem.

I czuł, że wszystko prócz tego psa wiernego, było mu na świecie dziwnie obojętnem.

Potem szedł ku domowi, bo gdzież miał pójść i co robić? Zapomniał nosić liberyę, a nie nauczył się wdziawać jej innym na grzbiety. Lecz idąc w jarzmo, głuchy ból czuł w piersi i w tej niemocy, rozgoryczeniu, w tym ducha upadku wyrzekł do siebie słowa, jakie nigdy przez usta jego nie przeszły:

— Niech dyabli wezmą to przekłete dżentelmaństwo!...

Po kilku tygodniach, gdy masztalerz powstał z łóżka, John odebrał list od *solicitor*'a, który w imieniu groom'a żądał sowitego odszkodowania za rany odniesione w bójkę i od klów ogara. Pani Hopkins pretensje masztalerza zaspokoili, ale wieść o sprawie tej przechodziła z ust do ust, z jednej miejscowej gazety do drugiej, aż kto żyw wiedział, że „Mr. Hopkins, podrażniony uwagą dawnego kolegi, masztalerza, który wzbraniał się uznać w nim dżentelmana, z pomocą swego potężnego ogara tak srodze go poturbował, iż stajenny o mało nie przyplącił tego życiem”.

Ogar odgrywał we wszystkich wersjach takich, co w promieniu mil dziesięciu kursowały, podtrzymywane przez szynkarzy i stare panny, tak wielką rolę, iż nawet dzielna pięść Johna nie wzbudziła podziwu ziomków. Zajęcie się potyczką takie

przybrało rozmiary, że wielu obywateli okolicznych odbywało pielgrzymki lub wyprawy morskie do hotelu „Przystani“, aby jak najściślej i najdokładniejsze zebrać informacye na miejscu. Opowiadanie zaś nieobecnego przy bójce pana Middleton komentowano różnie, zawsze jednak w duchu dla Johna nieprzychylnym. Bo sympatya opinii publicznej, której głos tak żywo brzmiał w uszach pana Hopkins, przechyliła się na stronę masztalerza. Natychmiast Johna wytykano palcem jako parweniusza zadzierającego głowę, pijaczynę nie wychodzącego z bar'u „Przystani“, ex-kamerdynera nie umiejącego zastosować się do swego położenia socyalnego, niegodziwca kompromitującego czcigodną, z pięknego rodu małżonkę, brutalnego zawadykę, szczującego bliźnich ogarami. I przyczepił się doń uszczypliwy przydomek, który zarygłował przed nim wszystkie dotąd zamknięte domy i szedł za nim wiernie, jak brytan, po ścieżce żywota: „gentelman John!“

D O R A.

I.

— Czy zakochałeś się we mnie? — zagadnęła z uśmiechem hoża śpiewaczka z londyńskiego teatru Lirycznego, gdy, poprawiając włosy, spostrzegła w zwierciadle parę maleńkich piwnych oczu, przykutych do swych delikatnych lic.

— Z czego to wnosisz? — odezwał się przeciągly głos, który zdał się iść z piwnicy.

W mrocznym kącie pokoju, wypelnionego wysłużonemi meblami i pianinem, poruszyła się drobna figurka mężczyzny, wyciągniętego na sofie, i z czerwonej poduszki wynurzyła się nawpół łyśa głowa, zbyt wielka w stosunku do szczupłych kształtów, z kępą płowych włosów, sterczącą ponad wypukłem, w głębokie bruzdy pooranem czołem. Odstające uszy szczególnie szpeciły zwiędłą, cytrynową twarz satyra z wydatnemi kośćmi licowemi, wązkim nosem, zaciśniętymi wargami i uderzająco śpiczastą brodą.

— Bo nieustannie się we mnie wpatrujesz — odparła dźwięcznym głosem Dora.

— Chciałem ci zrobić przyjemność — brzmiała niedbala odpowiedź Montegiusza Millsa. — Nie sądzę wszakże, abym zazdrościł czegokolwiek twemu narzeczonemu.

— Jakiś ty dziś zabawny, Monty! — rozśmiała się serdecznie ponętna dziewczyna. — Choruj zawsze

na influenżę, bo widocznie działa ona zbawiennie na twój humor.

— Dosyć ci do twarzy w tej sukni — bąknął zcicha flegmatyczny kantorzysta. — To ci się chwali; kobieta, nie umiejąca się ubrać gustownie, podobnie jak mężczyzna, niezdolny uszanować trunku lub dobrego obiadu, nic nie warci, ograniczeni umysłowo, albo renegaci swej płci.

— Zaklinam cię, Monty, miej się na baczności, bo się zakochasz! Jeśli koniecznie pragniesz powierzyć swe serce komu, radzę ci przelać na nabrzmiałą nogę Róży potok swych strzelistych afektów.

Na te słowa rozległ się serdeczny śmiech dwóch młodych aktorek, które znajdowały się w pokoju. Jaśnowłosa Róża przy żartobliwych utarczках Dory z Montegiuszem, jak na scenie, zadawała sobie rolę statystki. Gdy przyszło jej wyjawic swe zdanie, stała ślepo po stronie Dory, poczytując sobie za obowiązek w każdej okoliczności i sprawie iść za głosem przedstawicielki swej płci. Rozśmieszona, oderwała oczy od książki i z wyrazem politowania spojrzała na kantorzystę, poczem wzrok jej przeszedł po obnażonej nodze, wysuwającej się z pod rąbka skromnej sukni, i znów spoczął na karcie zajmującej powieści.

Lily Mills, niepozorna blondyna o szpetnej, ale ujmującej twarzy, zwykle pospolu z Dorą dokuczała bratu, ale, zajęta właśnie pisaniami listu, nie przerywała sobie, przysłuchując się rozmowie półuchem.

Śmiechy najmniejszego nie czyniły wrażenia na kantorzyście. Przeciągnął swe chude, niby piszczące nogi i, wsparłszy je po amerykańsku na poręczy krzesła, podziwiał swe niekształtne buciska, z twarzą, jak szyba wód martwą i nieodgadnioną. Po chwili, wydobywając krótką fajeczkę z wyplamionego żakietu, zaczął od niechcenia:

— Zaznaczyłem jedynie, że jest ci w tej sukni

o tyle do twarzy, ile twej twarzy może być do sukni. Nic więcej. Dobry wyżeł nawet do wróbla stanie, dzielna białogłowa we wszystkim dopatry się komplementu. To ci się chwali. Czemu wszakże, lękając adoracyi, wzbranasz się przed holdami, które przecież utrzymują niewiastę na wyżynie jej powołania? Jako narzeczona, pozbawiona przyjemności oczekiwania nieoczekiwanych wydarzeń, masz ważny powód, aby otaczać się gronem wielbicieli. Wobec przejściowych uczuć nauczysz się dopiero cenić ów skarb, czy ofiarnego baranka, którego niebiosy zesłały ci w osobie Karola Warda. Powtóre, gdy krokodylowe westchnienia i wilcze spojrzenia pogonią za tobą, a rój pacholków sypać ci będzie pod stopy złocistą plewę półwyznań, wyrośniesz w pojęciu narzeczonego na przedmiot wartościowy. Olsniony twym blaskiem i poglądzony mile w próżności, gotów zapomnieć, że on sam po ciebie wyciągnął rękę, i powiedzieć sobie: jestem niepospolitą kreaturą, bo zwycięzko wyszedłem z pośród zastępu rywalów. Otóż pojmujesz teraz, jak bajeczną osiągniesz korzyść za pomocą tej milej, arcyprostej i wypróbowanej metody. Z jednej strony zyskasz przekasę, zaostrażając apetyt, a z drugiej — wzniesiesz o kilka szczebli uczucia Karola, co objawi się pod postacią nowej sukni, lub w najgorszym razie kilku nadetatowych całusów.

— Monty! Jeśli wynalazłeś termometr erotyczny, to weź na niego patent, ale zaprzestań mnie namawiać do flirtowania. Rad twych nie posłucham, bo... nie chciałabym, aby Karol poszedł w me ślady.

W kącie ust Montego pojawiła się fałda, jedyny symptom wesołości.

— Obawiasz się, aby nie dotknął cię w twej próżności?... Chrześcijańskie dusze trzymają się przykazania: „obchodź się z bliźnimi tak, jakbyś nie

chciał, aby oni się z tobą obchodzili.“ Jeśli przeto grozi ci kto wyrządzeniem przykrości, jeśli chcesz zapobiedz flirtowaniu kochanka, powinnaś sama flirtować, walcząc bronią przeciwnika. Dręcz go trochę, będzie cię kochał goręcej. Trzymając się tego przykazania, możesz być pewną, że niebo wynagrodzi ci gotówką dobre uczynki...

— Monty! — rzekła Dora z odcieniem wyrzutu. — Gadaj co ci się podoba, ale zaprzestań aluzyj do wiary. Jesteś przecież chrześcianinem!

Oblicze kantorzysty ściągnęło się w sieć zmarszczek i, puszczając kłęb dymu, wycodził:

— Owszem, jestem chrześcianinem, jeśli ci to sprawia przyjemność... tak dobrym, jak każdy inny, bo święcie dochowuję wygodnych i zgodnych z moją naturą przykazań, inne zaś snu mi nie zakłócają. Mianowicie zaś trzymam się oburącz pierwszego przykazań: „nie miłuj bliźniego swego, jak siebie samego.“ Prawdę mówiąc — jeśli nic nie masz przeciwko prawdzie — nie napotkałem nigdy chrześcianina, albo, jeśli wolisz, samych tylko chrześcian; w tych, którzy za pogan się mieli, odnajdywałem dużo chrześcianizmu, więcej nieraz, aniżeli w zdeklarowanych chrześcianach. Czy nie mogłabyś mnie ochrzcić po prostu mianem człowieka? Niezła to nazwa, bo, gwoli zaspokojenia próżności, świat wyniósł człowieka do godności bóstwa, od tego rozpoczynając zastosowywanie chrześciańskiej pokory... Jeżeli jednak sądzisz, że ta etykieta nie wystarcza, aby mnie przyjęto do klubu porządných ludzi, nazwij mnie sobie chrześcianinem. Jest mi to obojętnem. Tani tytuł, bo nie o to rozchodzi się w ludzkiej gromadzie, czem kto jest rzeczywiście, lecz o to, do jakiej zalicza się owczarni. Biedna ludzkość, dość ma biedy ze słowami...

Dora przyglądała się kantorzyście w zamyśleniu.

— Powracając do przyzwoitej materii, jako

mocno dystyngowane indywiduum — ciągnął — pozwolę sobie wyrazić me zdumienie nad tem, jak możesz kochać...

— Jaktó! Czy przypuszczasz, że nie kocham Karola?

— Tego nie powiedziałem. Jeżeli zbudził się w tobie nerw miłosny, nie wiem, dlaczego nie miałabyś go kochać. Nosi porządny surdut, nogi jego sięgają do samej ziemi... Pocałował cię...

Cedząc te słowa, pan Mills nieznacznie przyglądał się śpiewaczce.

— Nie rozumiesz?... Pewien francuski specyjalista w miłości utrzymuje, że uczucie to krystalizuje się dwukrotnie w organizmie, jak kryształy na wrzucie w szprudel gałązce. Otóż, zdaje mi się, że pierwsza krystalizacja następuje po pierwszym serdecznym pocałunku, druga — po ślubie. Czy i jakie fazy przeszło twe uczucie, tego nie wiem, ale radzę ci zaopatrzyć się w tło, którego dostarczy grono wielbicieli. Czy nie sądzisz bowiem, że w tym razie miłość zyskałaby na interesie, postać Karola ukazała się plastyczniej w dobrym oświeceniu. Tło, wierząc mi, stanowi ważny czynnik...

— A zatem, Monty, uważaj się odtąd za tło! — zawołała Dora nieco nachmurzona.

— Nie przyjdzie ci to z trudnością — wtrąciła Lily. — Wiadomo bowiem, żeś bardzo kochliwy.

— Ha — rzucił z rezygnacją Monty, przyzymkając głupkowate oczy. — Widocznie natura uspołodziła nas pod tym względem oboje...

— Co ty wygadujesz?! — wykrzyknęła Lily. — W kim się to kocham?

— Nie zapisujesz w notesie?

— Ty niegodziwcze, nie posadźaj mnie...

— Poczekaj-no, nie bądź taka harda! Ponieważ pamięć cię zawiodła, przyjdę ci z pomocą. Przez cały listopad pokutował ci po głowie ów te-

norzystą, teraz zaś, od czasu wizyty u Edwardostwa Allisonów, zajął jego miejsce ten malarz, Bóg wie co on zaczął!

Wywołane wspomnienia narzuciły się chórzystce z taką siłą, że naraz zawołała do Dory:

— Bardzo przystojny, a jaki przyjemny!! Zabawimy się dziś doskonale.

— Jest w tem bodaj trochę prawdy — zauważyła Dora, przyglądając się przyjaciółce z miłym uśmiechem.

— Nie, nieprawda... — mruknęła zarumieniona Lily.

— Wypiera się! O naiwności! — odezwał się głos z sofy. — Może ten malarz posłużyłby Dorze za wdzięczne tło.

— Co znów! — zawołała Dora, kantorzysta zaś westchnął ciężko.

— Wykładałem jej uprzejmie sztukę kochania, a ta istota ani żdźbła z tego nie przejęła. Powiedz mi zresztą, czego wy właściwie uczycie w garderobie teatralnej? Możnaby myśleć, iż nie uczęszczałaś nawet na pensję!

Wśród chóru śmiechów słyhać było tylko wykrzykniki: o! Monty!

— Co to za jeden ten malarz? — spytała Róża.

— Nazywa się Wiktor Sobolecki. Edward, który go zna oddawna z Paryża, wyraża się o nim z wielkimi pochwałami.

— Arcypoważny powód, aby odrazu się nim zająć — bąknął Monty.

— Cicho bądź, nieznośny! — broniła się bezradna chórzystka.

Na to wszedł do pokoju wysoki, sztywny szatyn, Karol Ward. Złożywszy tekę z nutami na fortepianie i pocałunek na licach narzeczonej, muzyk rozsiadł się przy kominku, podciągawszy spodnie

na kolanach i zaczął się skarżyć na wilgotne powietrze.

Monty, nagadawszy się do syta, umilkł. Wydobył z pod głowy tom dzieł Szekspira i z wolna przewracał kartki, nie słuchając wcale potocznej rozmowy. Próżno Dora, która widocznie przebywała myślami gdzieindziej, kusila się wyciągnąć go na słówko. Żadna siła ludzka nie mogła wydobyć go z chmury apatii i milczenia.

Jakoż zaczęła znów przeglądać się w lustrze.

II.

Słońcem na niebie tego zaciszego światka była Dora. Wszyscy podlegali urokowi, jaki bił od wiotkiej, naiwnej syreny, która ze swawolą chochlika żartowała z nich, płatała im figle, wszystkich otaczając swem przywiązaniem.

Ubierała się z wielką starannością, zdradzając przytem rzadki u Angielek dar przedstawienia stroju jak najkorzystniej, dzięki żywym, zręcznym ruchom. A strój nie uderzał jako najznamienitszy rys zjawiska, nie zaćmiewał osobistej krasy, ani nie odwracał uwagi od niej samej, lecz był jej niewolnikiem, nie ona niewolnicą stroju. Lubo przepadała za toaletą, zapominała o swym wyglądzie, gdy porwano ją w wir rozmowy. Wtenczas z całym zapalem oddawała się nawet banalnej gawędzie i zwykle obecność jej wystarczała do ożywienia towarzystwa. Na jej widok znajomi stawali się weselsi i rozmowniejsi, jakby ona pobudzała ich do życia w przyspieszonym tempie. A wszystko, pustota zarówno, jak smutek, któremu się nieraz poddawała, było wypływem chwilowego nastroju, improwizacyą.

Innem znamię nerwowego temperamentu były częste, niemal raptowne zmiany, jakim podlegał jej wyraz twarzy. Ale zawsze, pomimo lat dwu-

dziestu szczęściu, zdawała się liczyć nie więcej nad osiemnastą wiosnę, tak młodą, prawie dziecięcą miała twarzyczkę. Rysy jej nie były dość prawidłowo wyrzeźbione, aby można ją uznać za piękną, lecz aż nadto misterne, aby uchodziła powszechnie za piękniejszą od pięknych: bardzo ładną.

Bujne włosy, barwy kasztanów, wznosiły się swobodnie, bez przedziału, bez otwartem czołem o myślącym zarysie, jak łan zboża pod wiatru naciskiem spływając w węzeł z naturalnością, która była największym tryumfem jej drobnych rączek. Od białej, owalnej twarzy odbijały się czerwone usta, rozchylając się często i wzywając do pocałunku, a śliczne fiołkowe oczy, nieco wklęsłe, wyzierały ciekawie z pod łuków ciemnych brwi, to kryły się za niezmiernie długimi rzęsami. Z wzniesionemi oczyma twarzyczka pytała się o coś z naiwną ciekawością dziecka, ze spuszczonej powiekami zdawała się obrazem niewinności i słodczy. A ze źrenic tryślały promienie wiosennego słońca.

Wobec niej Lily wyglądała na służącą, powiernicę buduarowych sekretów, której ani wieku nikt nie odgaduje, ani cnotliwości nie kwestyonuje. Jednakże, ktożby chciał cyrklem mierzyć urodę aktorek, byłby przyznał pierwszeństwo jasnej, pogodnej Róży. Z klasycznym nosem, regularnemi rysami oblicze jej i dość okazała figura zdawały się skopiowanemi z posagu Junony. Mimo to ustępowała na ubocze przy Dorze, jak martwa natura wobec człowieka. Była to zdrowa kobieta, nie mniej i nie więcej, pospolita wiochna, forma, w którą natura nie tchnęła ducha, przypominała chłodny ranek letni, którego widok nuz monotonością. Tymczasem Dora, był to zmrok po skwarnym dniu, pełen cieni i blasków, woni i szmerów, zachwycający i tajemniczy.

Przegląd tualety usposobił Dorę na wesołą nutę. Podobała się sobie w czarnej sukni, która pozwalała się domyślać smukłych, wątych członków

i w ciemno-zielonym staniku pluszowym, z rękawami, wzdętymi za pomocą przyrządu powyżej ramion.

— Nareszcie! — zawołała radośnie, gdy ukazał się we drzwiach przysiadły mężczyzna z czerstwą, jowialną twarzą, dobrej tuszy i pospolitej powierzchności.

Powiódłszy okiem po zebraniu, przybysz odezwał się z miłą władcy:

— No, cóż u was nowego?

Dora nic nie odrzekła; pochłonęła ją wielka ciekawość na widok przystojnego bruneta, który wszedł do pokoju za Edwardem Allisonem. „*What a big swell!*” — szepnęła zdumiona pańskim wyglądem cudzoziemca, którego ceremonialny sposób podawania ręki świadczył o tem, że „polski przyjaciel” pana Allisona nie zwykł obracać się w tak bezpretensjonalnych kołach. Imponował trochę Dorze; nie byłaby dzieckiem Albionu, gdyby nie podlegała urokowi zewnętrznego przepychu.

— Bardzo mi przyjemnie poznać panią — rzekł Sobolecki.

— Nam również bardzo przyjemnie poznać pana — odparła żywo. — Lily naopowiadała nam o panu mnóstwo rzeczy. Podobno wymalował pan tak piękny portret pani Allison, tak pięknie grał pieśni i... Lily, co to mówiłaś nam jeszcze?

Tak zaskoczona, Lily zaczerwieniła się po uszy i nie wiedząc, jak wybrnąć z tej sytuacji, zaczęła na gwałt hałasować filiżankami, udając, że nic nie słyszała.

Gdy Dora zastanowiła się nad swą odpowiedzią, lica jej również zapłonęły rumieńcem. Dlaczego miało mu być przyjemnie ją poznać? Był to czczy frazes, a ona powitała go tak prosto z mostu. Z pewnością wyśmiał się z niej w duszy. Ale cóż mógł ją obchodzić sąd tego salonowca? — pocieszała się. Za swą niestosowną odpowiedź chciała gniewać

się... na niego, lecz nie mogła. Chciała się też gniewać na niego za to, że patrzył się w jej twarz tak ciekawie, lecz... miał w oczach cień dziwnej zadumy, czy rozmarzenia i ogarnęło ją uczucie zadowolenia. Zauważyła potem, że miał ładne, zamaszyste wąsy... i... odwróciła się.

— Czytamy twą powieść z wielkim zajęciem — odezwała się do literata, który rozsiadłszy się pomiędzy Różą i muzykiem, wygrzewał swe tłuste dłonie przy ogniu.

— Dajcie sobie z tem pokój! — odparł Edward, chcąc zamaskować zadowolenie, a ponieważ zwykł był przedstawiać się za biedaka, chociaż nie wymagał, aby dawano temu wiarę, dodał: — Pisałem na beneficjum gospodarza domu, który przenosi komorne nad powieści, jako bezduszna istota.

Wstępne akordy marsza przerwały gawędę, w której Monty nie brał najmniejszego udziału. Wyższy ponad wszystkie względy, nie poruszył się ze swego legowiska; pił herbatę, palił fajkę i milczał zawzięcie, niekiedy tylko odwracając głowę w stronę rozmawiających grup.

Na życzenie pana Allisona, Dora odśpiewała pieśń irlandzką, gdyż literat pragnął pochwalić się przed swym muzycznym przyjacielem swojskim talentem, ukrytym w miłym mu zakątku. Sam nie-muzyczny, z podwójną ciekawością szukał w twarzy Wiktora podziwu dla angielskiej śpiewaczki, lecz malarz nie zauważył tego. Wzrok jego przyległ do wdzięcznej postaci. Być może, oko artysty odnalazło w liniach jej figury niepochwytne dla innych urok, a głos jej, niewielki, lecz ciepły i czysty, zawiądłał nim, budząc tony drzemające w głębi jej duszy. Dość, że ta wyprostowana dziewczyna, ze splecionymi na łonie rękoma, zdała mu się uroczym zjawiskiem.

— Ślicznie śpiewa — szepnął wreszcie na ucho przyjacielowi.

— Prawdziwa artystka — odsapnął zadowolony literat. — A przytem złota i... nieszpeta osoba.

— Nie przeszkadzaj! — zawołała śpiewająca, posłyszawszy pochlebne uwagi.

Zaledwie przebrzmiała pieśń Erynu, zwróciła się do Edwarda, grożąc mu piąstką:

— Teraz bijesz brawo, a gdy wyteżam dla ciebie gardło, to przerywasz, gaduło!

— Ślicznie było, moja panno — mówił ojcowskim tonem Edward, dumny ze swej faworytki. — Zaprawdę, urząd twego narzeczonego, to nie synekura.

Muzyk odpowiedział serdecznym śmiechem, Dora zaś przyklękła na podłodze obok Edwarda, mówiąc półgłosem:

— Z pomocą Karola nauczyłam się prawie całej partycyi „Gloryi“ z operetki Audrana „La Cigale“, którą dyrektor zamierza wystawić na wiosnę.

— To znaczy, że Dora miałaby ochotę przedzierzgnąć się w polnego konika.

— Miałaby, miała — westchnęła i zaczęła spowiadać się ze swych pragnień. Edward zaś nie szczędził jej praktycznych wskazówek, jak sobie miała postąpić, radząc wprost wyznać dyrektorowi teatru, że postanowiła wystąpić w roli Gloryi.

— Jak ja się na to zdobędę? Chyba zażyję lekarstwo na odwagę — szepnęła z wielce zakłopotaną miną.

— Jeśli nie masz ani żdźbła pewności siebie, to nie pomoże ci sam dyabeł. Byłoby dobrze — ciągnął literat — abyś mimochodem dała do zrozumienia dyrektorowi, iż posiadasz w kieszeni utytułowanego kawalera do płacenia rachunków i spełniania innych drobnych usług. Zaawanturowany lordzik, w perspektywie procesik o niedotrzymanie przyrzeczenia ślubnego — pyszna reklama dla ciebie i teatru Liry-cznego!

— Edwardzie! — zaprotestowała zarumieniona.

— Jak możesz przypuszczać, abym miała powiedzieć coś podobnego?

— Ha, źle, że się wzbranasz wchodzić w kompromis ze światem. Są okoliczności, w których rozsądek ostrzega przed odsłanianiem zalet charakteru i nakazuje zniżyć się do poziomu otoczenia.

— Znasz wszystkie sztuczki...

— Po czterdziestu latach żeglugi po cywilizowanych... bałwanach nie miałbym znać alfabetu marynarza, nie miałbym wiedzieć, jak nam wykladał Monty, że źle jest kłamać, ale mówić prawdę stokrąg gorzej. I ma słuszną. Nie baw się w donkiszoteryę, naucz się pływać pomiędzy Scyllą i Charybdą, bo to wogóle najpewniejsza droga.

I śmiał się.

Dora zrobiła głową ruch przeczący.

— Czy nie masz jakich nadzwyczajnych wydatków?—szepnął jej na ucho.

— No, *dear* — odrzekła, wznosząc na niego pełne wdzięczności oczy.

W tej chwili Lily zawezwała gości do pisania karteczek i gier towarzyskich, w których kantorzysta raczył przyjąć udział. Jednakowoż spełniał swe zadania automatycznie, nie odzywając się ani słowem. Podobało się to Dorze i rozbawiona zawołała:

— *Ladies and gentleman*, otóż widowisko! Rozłożywszy na stole tom nieodstępnego Szekspira, wysypał nań tytoń i, zajęty robieniem papierosów, nie zdaje sobie sprawy z doniosłości naszego zajęcia. Czyż nie pojmujesz, Monty, że rozstrzygamy tutaj o losach Europy?... Nareszcie uśmiechnął się filozoficznie. Ale nie przygryzając bezlitośnie swych pocztowych wąsików, które tak usilnie starają się dosięgnąć do kąta milczących warg.

— Teraz Monty ma głos — rzuciła rozśmieszona Róża, która w poczuciu swej umysłowej niższo-

ści i orieśmielona obecnością obcego mężczyzny, trzymała się na uboczu.

— Nie w gronie, w którym przewodniczy szpak — wycedził poważnie Montegiusz.

— Brawo, Monty!

Tu posypały się przeróżne żarty na łysiejącą głowę apatycznego kantorzysty.

Z początku Sobolecki czuł się nieco krępowanym, ale wkrótce roztajały w nim lody powściągliwości i dostroił się do wesołego kamertonu towarzysztwa. Zwłaszcza srebrny śmiech Dory działał nań zaraźliwie i ciemne jej źrenice, zawadzające o niego w przelocie, pociągały go w wir żartów. Nie zdając sobie sprawy ze swych wrażeń, odczuwał jednak instynktownie w tej atmosferze zaintrygowaną sobą osobę, która przedewszystkiem pragnęła jego zabawić i błyszczeć w jego oczach. Jakoż rozweselił się, rozjaśnił, a oczy jego biegly ku ciemnowłosej dziewczynie, gdyż ona jedna zdążyła być właściwym ich celem, i śmiały się do niej, wkładając głęboko pod lazur czarujących źrenic. Bawili się wybornie...

Po kolacyi, gdy wykupywano fanty, zdarzyło się, że Lily postawiła Dorze trzy pomyślane a niewyłoszone pytania, zwracając się do niej ze zwykłem: tak, czy nie? Na ostatnie zagadnienie odebrawszy potakującą odpowiedź, wybuchnęła śmiechem i wyznała z radością psotnika, że pytała Dorę, czy pozwoli się pocałować malarzowi.

— To ci się prawnie należy — zauważył literat, a Monty bąknął pod nosem:

— Według kodeksu Napoleona.

Nie troszcząc się o prawo, Wiktor pochwylił w pół zakłopotaną dziewczynę i wycałował goręcej, aniżeli pozwala jakikolwiek kodeks towarzyski.

Zadyszana Dora padła w fotel i duże jej oczy obiegly pokój z przerażeniem zranionej, czy w sidła schwytej sarny. Pustota jej pierzchła i w ciągu reszty wieczora zajmowała się wyłącznie narzeczco-

nym, jakby mając sobie cośkolwiek względem niego do wyrzucenia. Muzyk zaś przyjmował jej względy, jak coś należącego mu się obowiązkowo, zajęty grą w karty z Różą i Montegiuszem.

Chmura dymu nadciągała od strony sofy, gdzie dwaj goście palili papierosy, rozmawiając z siostrą kantorzysty. Gdy Lily wyraziła życzenie obejrzenia prac Soboleckiego, malarz zaprosił ją do swej pracowni i przesłał Dorze długie, proszące spojrzenie. Lecz ona, trochę zadasana, unikała go, lubo niekiedy, bardzo rzadko i bardzo nieznacznie wzrok jej strzelał w mroczny kąt pokoju. Dopiero na wyjściu spytała go swobodnie:

— Zabawił się pan z nami, niegrzeczniemi dziećmi?

A on, przytrzymując jej rączkę, szepnął z naciskiem:

— Grzeczniemi i śliczniemi...

III.

Pod koniec zimy, w dzień jasny, wiosenny, pan Allison niespodzianie odwiedził Soboleckiego, którego zastał przed świeżo ukończonym portretem Dory. Malarz przyjął go nie bez zdziwienia, gdyż widywali się tylko wieczorami i podejrzymywał, czy nie przybył on w pewnej intencji. Jednakże nie można było nic wyczytać z pogodnego, księżycowego oblicza literata.

Rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, Edward zapalił cygaro, a gdy butelka whiskey i syfon z wodą sodową stały przed nim na stoliku, nie było mu widocznie nic więcej potrzeba do szczęścia. W toku rozmowy przyglądał się raz popiersiu uwieńczonej liśćmi i gazą dziewczyny, która żywo wychylała się z ciemnego tła obrazu, to znów nachmurzonemu malarzowi.

— Kapitałny portret — odezwał się naraz — urocze tony pokładłeś na to zjawisko. Rozpoznaję w tem twój pendzel i siebie samego i podoba mi się to tak bardzo, że nie umiem nawet wyrazić tego.

— Widzisz wszystko w różowych barwach; nie będę cię zapewniał, jak bardzo mi się on nie podoba...

— Nie masz głosu w tej sprawie; twe obrazy podobają ci się dopóty tylko, dopóki je malujesz. Kapitałny obraz, równie kapitałnym jest tylko mój humor, bo jakże nie być w harmonii z porządkiem rzeczy, gdy Dora za dwa dni ma święcić swój tryumf w teatrze! Dawno jej się to należało, a mogłoby być wręcz przeciwnie.

— Czy jesteś pewnym jej powodzenia? — spytał Wiktor, spoglądając ciekawie na literata.

— Jak najpewniejszy. Kapitałny portret! — powtórzył raz jeszcze i dorzucił: Co sądzi o nim twoja narzeczona?...

— O!... — wyjęknął malarz po chwili milczenia. — Podoba jej się...

Wzdrygnął się na tę myśl, którą odsuwał od siebie jak najdalej. Miał on o narzeczonej jaknajkorzystniejsze wyobrażenie, przyznając, że trudno o osobę, któraby zapowiadała lepszą być żoną. Dostępną i miłą, dostępną rozumna i wykształcona, dostępną dobrą i kochającą, pod każdym względem zbliżała się do złotej średnicy; jak w zegarku, wszystko składało się w niej na całość, funkcjonującą z matematyczną dokładnością i pewnością.

Sam, natury wybujałej, entuzjastycznej wpadał niemal w zachwyt nad idealną normalnością córki majątnego przemysłowca. Lecz nie kochał jej. Rozsądek mówił mu, że byłoby szaleństwem odpychać ją od siebie, powtóre, rodzice jego bardzo sobie tego związku życzyli, a ponieważ potrzebował tylko wyciągnąć po nią rękę, jednego razu wyciągnął ją.

Atoli coraz dotkliwiej cierpiał z tego powodu,

odczuwając, że ta w puchach konwencyonalizmu wyniańczowa, ta nieskończenie pozioma istota, nigdy nie byłaby w stanie zrozumieć go, ani się zbliżyć do niego duchowo, ani wypełnić pustki w jego sercu. A gdy uprzytomnił sobie, jaką rolę odegrał w tej sprawie, ojciec jego narzeczonej, porywała go złość na samego siebie. Dopiero wówczas, gdy nie znalazł się żaden bardzo wysoko postawiony konkurent, a przyszłość malarza zapowiadała się świetnie, obrachowany przemysłowiec czynił wszystko, co było w jego mocy, by skojarzyć ten związek. Wiktor, przyparty do muru, byłby może obniżył skalę swej twórczości i wszedł w kompromis ze światem, ale tak zaprzedać samego siebie?... Wszelako w ten sposób przychodziło do skutku tysiące związków małżeńskich, rodzice jego tak radowali się „jego szczęściem”... Nie chciał nic wiedzieć, nic słyszeć, chciał... kochać.

Aby odwrócić rozmowę, zapytał:

— Czy przypuszczasz, że przyjmą portret w Akademii?

— Naturalnie — odrzekł z przekonaniem Edward. — Wykazałeś kardynalną zaletę portrecisty, obierając wdzieczny model, nadobną artystkę, która za kilka dni będzie głośną ze sceny, z setek fotografii, ilustracji, sprawozdań, interviewów i wreszcie z twego kartonu „Gloryi”, uderzającego przed teatrem tysiące przechodniów. Zresztą posiadasz tradycję, ramy są okazałe, całość efektowna i robota doskonała. Gdy portret tej dryady zawiśnie na ścianie Akademii, co to będzie za radość w naszym cygańskim zakątku!

— W cygańskim? — pochwycił malarz.

— No, dziury w butach nie stanowią przecież nieodzownej cechy cygana artysty — odparł żywo Edward. — Nie gniewam się, że mamy wszyscy całe obuwie, gdyby wszakże kto z nas nie miał, nie straciłby przez to w naszych oczach. Jeśli cyganie le-

kcwają pozory i powierzchowność, a szanują indywidualne upodobania, to powinni tolerować ludzi czysto odzianych. Znam artystów z krwi i kości, którzy przywdziewają frak do obiadu. Przyznam ci się też, że z niedowierzaniem patrzę na tych pseudo cyganów, których spotykam na londyńskim bruku. W Angliki niema materiału na to; jest to albo po prostu bieda, albo poza, a najczęściej jedno i drugie. Współczuję z biedą, lecz wzbraniam się uważać ją za znamię wyższości i artyzmu. Kunsztowność i pozę znoszę tylko, jeśli same są sobie celem, a tymczasem rola ekscentrycznego lub błaznującego cygana bywa bardzo często ordynarnym *businessem*. Jak pospolity zbrodniarz zwie się często anarchista, tak zwykły biedak lub komedyant zapoznanym, wyższym artystą. W gruncie rzeczy są to pospolici fili-strzy. I dobrze, gdy tak jest, bo dostrzegłem, że nasi rzeczywisti cyganie-artysi zatracili zalety Anglików, ujemne cechy ich charakteru zaś posiadają w stopniu spotęgowanym. Mam słabość do artystów, ale jeszcze większą mam słabość do porządných i zacnych ludzi... i nie dam się wziąć na dziurawe buty. W naszym cygańskim kółku panuje kult piękna, gotowość poświęcenia wiele dla sztuki, poszanowanie indywidualności, a mianowicie przyjacielska harmonia, wyrozumiałość i życzliwość. Jest to skromny, artystyczny przybytek swobody, a nie kliki wzajemnej adoracji, w której hodują się ciasnota umysłu i serca, oraz nienawiść do innych pracowników i innych warstw społeczeństwa... Ale oba jesteśmy tak dalece zafani, że przenosimy szanujące się kobiety nad wyzute ze wstydu i czci. A gdzież są panny tak cnotliwe, jak Dora i Lily, nie z wyrachowania, lecz z natury? To klejnoty wśród bagniska, w którym nienota płaci, to szczerze złoto!...

— Skończyłeś? — spytał Wiktor. Powątpiewał on, czy artysta z dziurawymi butami byłby miłym gościem u pana Allisona, lecz nie zwrócił na to uwa-

gi, rozśmieszony filipiką, którą kończyły się zawsze dłuższe oracye literata. Najogólniejszą krytykę swego cygańskiego zakątka pan Allison był skłonny brać za najcięższą osobistą obrazę, ale w malarzu miał sympatyzującego z sobą słuchacza.

— Jak się ty czujesz w naszym zakątku?

— Jak pies na słońcu — odparł Wiktor — i po chwili ciągnął: — Spędzając prawie dziewięć miesięcy w klubach i salonach, przyznam się, że stetryczałem, prowadząc się na pasku, zbliżając się do ludzi z nieufinością, upatrując w nich tylko cyfry, stąpając po zimnych posadzkach z głową spekulacyj pełną, a pierśią pustą. Tymczasem Słowianin nie żyje, gdy myśli, lecz gdy czuje. Niespodzianie znalazłszy się w tem kółku, zdało mi się, że los rzucił mnie na inną planetę, na której żyć wolno pełną piersią. Atmosfera ta jednak nie była mi obcą... Przypomniały mi się owe złote czasy, gdy bez troski o chleb powszedni zajeżdżałem jako student na wieś do stryja, gdy się umizgałem do pensyonarek, gdy na koniu lub na polowaniu spędzałem nieraz dnie całe, czerpiąc swobodnie ze studni życia, depcąc bezwzględnie po wszystkich formach i formułkach, ambicyach, naukach... Ach, były to czasy... W tym zakątku pośłyszałem echa prawdziwej młodości, wartej wszystkich skarbów tego świata i zrobiło mi się na sercu tak miło, tak szalenie miło!... Jakże tu nie kochać... tego zakątka.

— Na Jowisza! Wyjąłeś mi to z ust, chociaż ty czujesz to piękniej — zawołał Edward, zacierając ręce z zadowolenia. — Święta prawda, pal kat wszystkie rozsądki. Należę sobie jeszcze kropelkę whiskey, jeśli nic nie masz przeciwko temu.

Zwrot ten wywołał serdeczny śmiech Wiktora, ale literat spoważniał, zamyślił się i po chwili milczenia odezwał się zwolna z pewnem namaszczeniem:

— Na każdym kroku można spotkać ludzi,

k którzy, niezadowoleni z samych siebie, odrysowują sobie poprawne, czy tylko zmienione portrety własnej osoby i gwałtem przerabiają się na modłę tej kreacji, mierzą wszystko z punktu widzenia tejże, przystosowują swe czynności do jej wymagań i poglądów, utożsamiając się z sobą samym, widzianym w świetle życzeń. Nazywa się to: rządzić się rozsądkiem, lub okłamywać siebie, nazywa się też często pozowaniem. Być może niejedno przemawia za taką procedurą, ale dość, że nie wierzę, aby nie przymierzając, można przekształcić jelenia w konia, gdyż natura mówi zawsze ostatnie słowo... Otóż, czy nie wzmówiłeś ty w siebie wygórowanej praktyczności? Praktyczny człowiek wie, że można być zanadto praktycznym, nie myśli on nawet wcale, że jest praktycznym, lecz jest nim... Gdy cię prawda w oczy kole, popadasz w drugą ostateczność, mówiąc: poświęcę się dla rodziny. Tymczasem składanie swej osoby na erotycznych ołtarzach, osłanianie rzeczywistego stanu rzeczy gazami iluzji — prowadzi na manowce. Ażebym był człowiekiem, na którym ktoś ma się oprzeć i z którego kraj ma mieć pożytek, trzeba być szczerym egoistą. Ludzie, zdaje mi się, różnią się ostatecznie tylko w formach egoizmu i nie sam egoizm jest niesympatycznym, lecz pewne jego formy. Świat nie chce znać ludzi odartych z własnych egoistycznych pragnień. Kto nie umie poświęcić się dla siebie, nie zdolnym jest poświęcić się istotnie dla innych, kto nie umie kochać siebie, tego miłość bywa kulą u nogi innym. Każdy żyje własnem życiem, prawda to tak stara i prosta, że aż ludzie o niej zapominają... Unieszczęśliwiając siebie, nie przysporzysz dobra swym bliskim, podczas gdy z twego szczęścia wypłynie dla nich korzyść naturalnym biegiem rzeczy. Nie na to przecież dają rodzice życie dziecku, aby stało się ich bankierem, dumą, czy kwiatkiem u fraka... Wtajemniczyłeś mnie

w swe sercowe sprawy, a zatem, zapominając, że źle mówić prawdę, chciałem ci powiedzieć: bądź sobą.

Wiktor odgadł zaraz, dokąd zmierzają słowa Edwarda, i zdało mu się, że zuchwała ręka dotyka jego ukrytej bolączki, w której istnienie wzbraniał się wierzyć.

— Mówiłem to sobie wielokrotnie — rzekł półgłosem, jakby do siebie.

Gdy ktoś otworzy nam oczy na prawdę, której nie mieliśmy odwagi zrealizować, wydaje nam się, że powtarzaliśmy ją sobie wiele razy.

— Małżeństwo — ciągnął Edward — jest i będzie transakcją, ale jeśli kto przystępuje do spółki bez jasnego sformułowania swego i spółnika kapitału, jeśli interes opiera się na podstawie fałszywej, a w obrachunku pomija miłość, charakter, temperament, sympatyę dusz — błąd taki prędzej, czy później się karze.

Uważając swą delikatną misję za skończoną, Edward wkrótce się oddalił.

Po jego wyjściu malarz stał długo przy oknie, zapatrzony machinalnie przed siebie na szeroką, wydłużoną ulicę, która biegła pomiędzy dwoma rzędami miniaturowych ogródków, tulących się pod szare kamienice. Wreszcie, zbliżywszy się szybko do biurka, wydobył z szuflady fotografię młodej kobiety, podarł ją w kawałki i rzucił je w pusty kominek niedbalym ruchem. Odetchnął głęboko i na śniadą twarz jego padł promień wiosennego słońca.

IV.

Wyzwolony z kajdan przymusowej miłości, malarz snuł przedzę marzeń, które, długo powstrzymywane tamą rozsądku, rozhuwały się teraz i rozlały daleko w przyszłość.

Nie tłumił dłużej w sobie uczuć do Dory. Od razu wywiązał się między nimi zażyły stosunek, nie przekraczający granic koleżeństwa, a gdy Wiktor zaczął pracować nad kartonem i portretem jej, zacieśniły się węzły zdradzieckiej przyjaźni. Dobrze im było razem; bratnie ich dusze bieżyły do siebie, spowiadały się sobie bez słów i w piersiach ich drżał ów niepojęty nerw miłosny, rozkładający po wszystkim eteryczne, radosne barwy. W tej atmosferze, pełnej subtelnych odbłyśków miłości, nie zdawali sobie sprawy z tego, że płacze się wokoło nich nic, krępując ich serca mocą żelaza. Dora zdawała się wykreślać z pamięci narzeczonego, zwłaszcza po jego wyjeździe do Szkocyi, i imię jego narzeczonej nie zakłóciło nigdy chwil pogodnych. Coraz częściej też budziło się w nim pragnienie wyjścia z roli platonicznego kochanka, wyznaczenie miłości coraz natężej cisnęło mu się na usta, lecz ona, nie odpychając go, kładła tamę jego zapędowi. Zastanawiało go to. Mimo to wszakże nie utyskiwał, bo świat wypiękniał w jego oczach, dnie płynęły, jak łódź po wodach zaczarowanego jeziora i zagościła w nim wielka pogoda. Jednakże czuł się zagrożonym utratą raj, przypuszczał bowiem, że Karol powróci, aby być świadkiem występu swej uczennicy i niezwłocznie poślubi narzeczoną. Lubo pod wpływem niezrozumiałego zachowania się Dory, przejmował go instynktowny lęk przed najdrobniejszą zmianą w ich stosunku, zagrożony utratą swej drogiej dziewczyny, postanowił zrobić krok stanowczy i...

Dlaczego ona nie przybywa? — pytał się, miotany niecierpliwością, spoglądając co chwila na zegarek.

Nareszcie ukazały się dwie śpiewaczki, wnosząc z sobą dużo kwiatów i śmiechu.

Dora, aczkolwiek trochę blada i znużona, nie straciła nic ze swej pustoty i, przyrządzając herbatę, uwijała się żwawo po pokoju, jakby obawiając się, aby

Lily nie przywłaszczyła sobie wyłącznego jej przywileju gospodarowania w pracowni Wiktora.

Nieprzeparty pociąg, który pchał ich sobie w ramiona, nie uszedł baczności Lily i zrazu kłół ją dotkliwie, gdyż pieściła w głębi duszy tkliwe nadzieje, do których przyznać się przed sobą nie śmiała w poczuciu swej szpetności. Gdyby chociaż posłirtował z nią trochę! Żaden mężczyzna nie zajął się nią i, jak mówiła pani Allison, „nie była nawet ani razu narzeczona.“ Wkrótce jednak rozwiązał się obłoczek oczekiwań pod wpływem rozsądku, doradzającego jej liczyć się z niezmiennym faktem, który, odjawszy jej sympaty do malarza odcień erotyczny, nie spowodował wszakże zasadniczej zmiany uczuć. Godząc się z losem, poprzestawała na śledzeniu rozkwitu ich miłości i, owiana ciepłem, które biło od młodej pary, znajdowała dostateczne zadowolenie swych potrzeb sercowych. Za oznaki przyjaźni ze strony Wiktora, odplacała mu szczerą wdzięcznością. Każda wizyta jego w pracowni napępiała ją radością kilka dni naprzód, w bezbarwnym jej życiu stanowiąc fenomenalne zdarzenie. Jednakowoż odgadując, że pragnął pozostać sam na sam, zaraz po herbacie podniosła się z miejsca.

— Dokąd ci tak śpieszno? — zagadnął ją malarz, aby ukryć swe zadowolenie. — Czy masz się z „nim“ spotkać.

— Z kim? Nie miałabym wielkiego wyobrażenia o guście tego kogoś — odparła z odcieniem goryczy, ale... pożegnała ich z wypogodzonym czołem.

Dora zabrała się do sprzątanía ze stołu zastawy, a Wiktor przyglądał się w milczeniu ponętej gospośi, która weszła w ramy jego życia, wypełniła je po brzegi i opromieniła go wszystkimi blaskami słońca. I rozczulał się na widok drobnych rączek, poruszających się żywo, i wyrazu twarzy, który mówił: jak ja cię kocham!...

Z pewnością nie było dla niej tajemnicą, co

działo się w jego sercu, gdyż policzki jej powlokły się radosnym szkarłatem i zasłaniała oczy powiekami, aby uniknąć niepokojących, palących jego spojrzeń.

Naraz Wiktor, idąc za biegiem swych myśli, rzucił:

— Brakuje mi tylko jednej rzeczy do szczęścia...

— Czego? — spytała ciekawie, ale dość było spotkać wzrok jego, aby się domysleć, czego mu brakowało.

— Czy bardzobyś się gniewała, gdybym cię pocałował?

Zauważyła naraz, że wazonik z kwiatami nie stoi na właściwym miejscu i koniecznie musiała ustawić go inaczej, poczem zbliżyła się do okna.

— To tylko przy grach — szepnęła.

— To zabawmy się w gry!

— Przypatrz się balowi wróblí na środku ulicy. Pięknie na dworze...

— Bardzo pięknie — powtórzył, nie odrywając z niej wzroku, i ujął jej rączkę.

Pokusila się wysunąć ją z jego dłoni, ale on przytrzymał ją i zaczął okrywać pocałunkami. I rączka zaprzestała się szamotać; szedł od niej aż pod serce ciepły prąd, zapierający jej oddech. Zmieszana i widocznie strwożona, odsunęła się od niego, a gdy miał wyrzec słowo, leżące mu na sercu, szepnęła z gorącą prośbą:

-- Nie mów, proszę cię, nie mów...

Łzy zakreśliły się w jej oczach.

— Co ci dolega? Wyznaj mi, co masz na sercu — prosił, przejęty do głębi jej smutkiem.

— Nic, nic — wyszeptwała, zasłaniając twarz rączkami.

Po chwili milczenia, starając się poznać przyczynę skrytego jej strapienia, spytał ją o Karola.

— Nie powróci — odparła szybko głosem drżą-

cym nerwowo — bo... podróż kosztowna, bo... wyznam ci, że prosiłam go listownie, aby nie przyjeżdżał teraz...

Odwrociła się od niego. Zaczęła przyglądać się swemu portretowi ze smutnym wyrazem twarzy i westchnęła ciężko. Wtem podbiegła do kominka, zebrała porzucone części fotografii i złożwszy je razem, przyglądała się uważnie młodej blondynie.

— To moja była narzeczona — rzekł Wiktor półgłosem, nie spuszczać oka z Dory.

Usiadła na kanapie, nic nie mówiąc, i zniżyła głowę ponad fotografią.

— Domyśliłam się — odezwała się wreszcie. — Edward i jego żona wspominali mi o tobie... Ale, czy ją porzuciłeś? — dorzuciła spokojnym tonem.

— Nie kochałem jej nigdy.

— Nie byłbyś przecież oświadczył się, nie mając do niej żadnej sympatii..

Zdziwienie odmalowało się na jego twarzy.

— Niestety, był to wyskok rozsądku, który narzucił, albo raczej chciał narzucić swą wolę instynktowi. Ów reklamowany rozsądek, syn instynktu, który wydaje dobre wyroki li-tylko na podstawie ojcowskich wskazówek, przyodził się w toę własnej mądrości, dając posłuch podszeptom najprzeróżniejszej natury. Zadawałem sobie gwałt, pragnąc zadość uczynić rodzicom, którzy życzą sobie, abym ożenił się... Dobrze, wmawiałem w siebie, że się do niej przekonam, przyzwyczaję, ale... należy to już do przeszłości.

— Nie brzydka.

— Ale zimna, niesympatyczna, bezduszna; co-raz więcej stawiała mi się obcą.

— Czy ona cię nie kocha?

— Lubi mnie, podobam się jej. Kochać?!... — wzruszył ramionami pogardliwie. — Znaczna większość dzisiejszych kobiet nie jest w możności przekroczyć dystygowanych granic lubienia kogoś.

— Być może — zauważyła z cicha — lecz gdy uczucie to raz zabłysło, zapewne nie wygaśnie i będzie świecić zawsze z równą siłą.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Z równą bezsilnością, powiedz raczej — odparł z przekąsem. — Jej uczucie, to płytka rzeka, którą lada zaporą wykolei, na której łódź moja już teraz osiadła na mieliźnie. Niechaj żeglują po niej płytsze czółna... Mam dosyć galanterii! Może wy- magam zbyt wiele, chociaż pragnę tylko miłości, ale skala mych życzeń odpowiada mej zdolności kochania...

— Nie z samolubstwa. Jedynie ludzie niesamolubni pożądają innego serca, większość ludzi zaś zadawała się kochaniem, bo miłość innej osoby obarcza obowiązками... Lecz ja się od nich nie uchylam, gdyż tylko głęboka miłość może mnie uszczęśliwić i za szczęście poczytałbym sobie, mogąc spłacić dług taki jak najszczodrzej. Dobre i szczere serce bowiem cenię sobie ponad wszystko, gotów jestem oddać za nie wszelkie skarby, po które człowiek wyciąga rękę. Najbiedniejszym i najmarniejszym wydaje mi się ten, którego nikt serdecznie nie kocha. Bez miłości świat ten bezbarwny i pusty, z nią jasny i piękny.

Śluchając, zacisnęła splecione ręce, jakby sprawiając sobie ból chciała poskromić radość i rozbudzoną falę swych uczuć. Pod urokiem jego wymowy nie mogła długo znaleźć słów, wreszcie odezwała się łagodnym i drżącym ze wzruszenia głosem:

— Zwlecż tę sprawę przez pewien czas.

Bolesnie dotknięty, posadził ją, że szuka przyjemności w targaniu jego strun sercowych. Siadł na kanapie nachmurzony, mówiąc z wyrzutem:

— Nie pojmuje cię. Mimo przyjaźni dla mnie, myślisz wyłącznie o niej.

— Jedynie o tobie.

— Pragnęłabyś mnie widzieć szczęśliwym?

— Szczęśliwym.

— Nie nie wpłynie na zmianę mego postanowienia, nawet ten wielki zawód, jaki mi robisz.

— Żadnego, Wiktorze! — zawołała z wylaniem i przytuliła się do jego ramienia, jakby pieczęcią pragnąc spędzić cię z jego czoła. — Żadnego, mój przyjacielu.

Wzniosła wzrok ku niemu, a on, rozbrojony, spojrzał w jej twarz, zanurzył się w tej jasnej, promienistej duszy, która biegła ku niemu z jej wymownych źrenic.

Westchnęła i długie jej rzęsy opadły na lica. Wiktor zaś, przejęty nieznanem dotąd uczuciem, które wynosiło go daleko po za granice realnego świata, przycisnął usta do jej czoła, z cichym, namiętym szeptem:

— Moja duszo...

Milczeli... Gdy owiała go woń fiołków, zaczął szukać jej ust spragnionemi ustami, lecz drżąca dziewczyna wysunęła się z jego ramion. Przetarła oczy, jakby zbudzona z długiego i błędnego snu, i rysy jej powlokły się smutną zadumą, która onieśmiałała go i przejmowała dziwnym niepokojem.

Przez chwilę stała cicha, w sobie zatopiona, potem spoczęła na krześle, głowę wspierając o bok fortepianu.

Sto słów cisnęło się na usta artysty, lecz każde zdawało się czczem i banalnem i nie śmiał o nic więcej pytać, przeczuwając, że wyrządziłby jej przykrość. Szeptał w nim jednak głos jakiś, że ona ztąd odejść nie powinna, że musi zostać z nim na zawsze, i to zdejmowało z niego lęk o nią. Ogarzał wdzięczną jej postać zakochanym okiem.

Jaka ona była prześliczna! Jak bardzo mu droga! Z ciemną, w promieniach słońca ozłoconą główką siedząc pochylona, zdawała się jak Ruta przed Boazem korzyć przed majestatem miłości i oddawać

mu się w bezgranicznej ufności. Kiedyś, gdy świat był w jego oczach sielanek siedliskiem, marzył, aby tak pięknie zdobyć serce i stworzyć raj na ziemi. A lubo poznał świat, płynął z nim bez szemrań i polor towarzyski osłonił powłoką salonową podwaliny jego charakteru, składniki jego wewnętrznej treści pozostały niezmienione, nie zamarło w nim pragnienie wielkiej, wyzwolonej miłości, będąc naturalnym wypływem jego szczytnej, pogańskiej duszy. Teraz wybuchnęła jak wulkan w całym swoim blasku, rozsadzając skały ubocznych względów, gdy w pełni swych sił cielesnych i duchowych stanął w słońcu miłości. Wielbiąc w niej kobietę, czcił przede wszystkim, jak każdy głęboko czujący człowiek, z formy wylaniający się symbol i widział ją tak bardzo piękną dlatego, że była ucieleśnieniem jego marzeń, dzieckiem jego duszy, Boską ręką z pod serca wyjętem.

Jak wielu, na wysoką nutę nastrojonych ludzi, poczuł głęboki wstręt do światowych przepisów; w świetle jego uczuć czczą komedią wydały się ślubne ceremonie, pozwalające ludziom robić sobie widowisko z dziewczęcia wówczas, gdy kobiecość każe jej stronić od oczu obojętnych, niegodną śmiesznością — formalności i przysięgi, stosownie może dla nieuczciwych i bezdusznych, których wzrok nie przenika przez szaty pozorów. Czyliż nie były one bluźnierstwem przeciwko dusz najświętszej spójni? Czy oni nie byli już sobie poślubieni stokrotnie? Jeżeli nie — to na ziemi małżeństwem zwał się tylko kontrakt i frazes.

Z uczuciem niewysłowionej, ze swobodnego rozkwitu indywidualności płynącej szczęśliwości, która zamętem ogarniała jego zmysły, mieszał się lęk, jaki bogowie wzbudzali w starożytnych, który przenika człowieka, ile razy porzuciwszy przez tradycję wydeptaną drogę, stanie w obliczu swych najszybciej pragnień. Bo w materię przelany ideał,

potężniej przemawia od bladej tkaniny z abstrakcyi, olśniewając blaskiem realności, przejmując człowieka dumą i zarazem zdumieniem nad samym sobą, gdyż podwaliny ustroju duchowego pozostają dlań tylko w części odgadniętą tajemnicą. Zdarłszy zasłonę z tych tajni, uczuwa na chwilę zawrót głowy, dostrzegając, iż jest odrębnym i dlatego bardzo samotnym światem wśród innych światów. Samotny, siłę swą czerpie ze swego ideału i miłości ideału.

Jakoż wielki spokój i zupełna szczęśliwość wstąpiły w niego.

Tymczasem zadumana dziewczyna wodziła oczyma po obrazach, rysunkach i całej pracowni.

— Zagraj mi jeszcze tę pieśń swoją... Natura wypisała ci ją całą na twarzy.

— Lecz nie odejdziesz, droga moja.

W okamgnieniu pochwyciła kapelusz, ale drżące jej rączki opadły i złamana szepnęła prosząc:

— Nie nazywaj mnie tak...

W żrenicach jej zaszklily się łzy, jednakże pośpiesznie włożyła kapelusz.

Wiktor, przejęty przykrem zdziwieniem, zawał się, potem szybko ujął jej ręce z niepokojem.

— Doro, chcesz mnie zostawić samego?

— Muszę, muszę — powtórzyła żałośnie, czując na sobie jego wzrok błagalny, dorzuciła gorąco:

— Wybacz mi, nie proś tak, bo mi tak ciężko i boleśnie odchodzić!

— Wyznaj mi, co masz na sercu! Powiedz mi chociaż, że będziesz moją, że mnie kochasz!... Zostań ze mną, moja droga żono...

— Mój Wiktorze! — wyjękła blada, z falującą piersią. Skłoniła się na jego ramię, lecz w jednej chwili wyrwała się z jego uścisku i wybiegła z pokoju.

Pędem zbiegła kilka stopni, uchwyciła się po-

ręczy i zachwiała, ciągniona ku niemu burzą swych uczuć. Zdało się, że wróci, padnie w jego ramiona, lecz rzuciła mu tylko długie, żalosne spojrzenie i wymówiła szeptem na pożegnanie:

— Wybacz!...

V.

Montegiusz w sobotę z południa opuszczał kantor, lecz zwykle powracał do domu dopiero rankiem w niedzielę. W dzień występu Dory zawieruszył się z kolegami biurowymi i biła piąta, gdy jedną z ozdobionych ulic kroczył zwolna w podochoconym stanie.

Drobna jego figurka z kulistą głową robiła wrażenie słoneczka, na którym spodobało się komuś umieścić odwieczny cylinder. Ale minę miał buńczuczną; z cygarem w ustach i uśmiechem w rodzynkowych oczach stapał dumnie, potrącając raz po raz przechodniów, którzy, rzuciwszy mu spojrzenie pełne oburzenia, oddalali się z uśmiechem.

— Nie pójde — belkotał do siebie pod nosem — nie będę pał się zanadto jej widokiem, bo nie smakowałyby mi w teatrze. Cywilizacya uczy człowieka użycia w miarę. Nonsens! Cywilizacya taka jest grubą pomyłką, jeśli zaleję sobie czuprynę, to jedynie z miłości do cywilizacyi, bo wówczas dopiero czuję się cywilizowanym bydlęciem. Filistry wierzą w umiarkowanie i wstrzeźliwość, dlatego też stoją poniżej cywilizacyi... Niech żyje Bachus! Dzielnij facet! Ojciec Szekspir mówi w „Dwunastej nocy“...

Nie mogąc sobie przypomnieć cytaty, przystanął i bez względu na tłum uliczny, wydobył z kieszeni tom nieodstępnego poety.

— Hamlet!... — roześmiał się, gdy się okazało, że tom zawierał ten dramat. — Nie pijał wódki, cym-

bał, i ztąd poszły wszystkie głupstwa. Czemu nie wziął Ofelii?... Waryatka była, lecz właśnie z tego powodu... Z trzeźwemi zaś dzierlatkami głupia sprawa: oszukują, wyzyskują, wydrwią. I cóż to jest kobieta? Kilka łokci sukna, wypchanego próżnością. Ale Dora... Gdyby ona zamieniła się w Ofelię, a ja (Monty! co ty masz za pyszne pomysły!) ja, Hamlet, nalewam w czasę wina i wołam głosem wielkim: wypić czy nie wypić?! Naturalnie wypić!

To rozśmieszyło go serdecznie.

— Al—zawolał naraz na widok jednego z wielu szynków, który lśnił od mosiężnych obić. — Otóż jest świątynia Bachusa i Prawdy. Tu marne ludzkie troski spływają w ścieki filisterskie, z tych świątyń chmury genialnych myśli wznoszą się ku szczytom wesołego Parnasu. Byron słusznie mówi, że „człowiek, jako zwierzę rozsądne, musi się poić, bo życia najlepszą część znajduje w pijanym szale...” Poloniusz zaś wyraźnie przykazał synowi, aby się nigdy nie oszukiwał, a zatem, Monty, wyznaj sobie, pijaku, że łakniesz kropelki wódki. Zaklinam cię, Monty, nie bądź tak lekkomyślnym, aby omijać te święte i gościnne progi.

Nogi kantorzysty uginały się w kolanach pod ciężarem „genialnych” myśli, jednakże wielkim ożywiony zapalem, wtoczył się do „przybytku Prawdy,” pożegnany śmiechem uliczników, którzy wdzięczny cel swych żartów przeprowadzili wzdłuż ulicy.

Strojna szynkarka spojrzała nań z obojętnością filozofa, którego nic nie dziwi, Montegiusz zaś, uchyliwszy kapelusza z hiszpańską galanterią, rzekł z patosem:

— O, pulchna Dulcyneo! Cudna Rozynantol Prawdy westalko, satyra oblubienico i pani mej kieszeni!

Kilku mężczyzn, stojących przy szynkfascie, parsknęło śmiechem, ale szynkarka przyjęła apostrofę z klasyczną apatyą. Gdy zaś wyskoki nadmiernie

„genialnej” głowy nie dobiegały do końca, pani jego kieszeni zagadnęła go opryskliwie, czego żąda: piwa, czy sodowej wody.

— Z twych rąk nektarodajnych—belkotał Monty; tymczasem zniecierpliwiona szynkarka postawiła przed nim szklankę piwa i znikła.

Z wielką ostrożnością, aby nie wylać napoju, Montegiusz przeniósł szklankę na uboczny stolik i padł na siedzenie. Brzemienna myślami głowa uderzyła o ścianę, wychudłe ramiona opadły bezwładnie, kapelusz stoczył się na podłogę i kantorzysta zdrzemnął się tak dobrze, że zegar wskazywał wpół do siódmej, gdy ocknął się i zstąpił z wesołego Parnasu na ziemię.

Po długiej chwili dopiero udało się Montegiuszowi spędzić z przed oczu chmurę snu i rozejrzeć w zakłóconej sytuacji, potem cicho wysunął się z szynku.

Zastał w domu Różę samą. Nie śpieszyła się do teatru, gdyż występowała w żywych obrazach pod sam koniec widowiska.

Będąc jeszcze pod wpływem alkoholu, Montegiusz czuł się dość rześkim i przysłała mu ochota przemówić słów kilka do szyjącej suknię statystki:

— Wierna Penelopo, nie napróżno czekałaś powrotu swego małżonka. Otóż jestem w mej własnej, nadobnej postaci. Poczęstuj mnie winem i ucałuj lica moje.

Ona powiodła po nim spokojnie swemi blademi oczyma.

— Znów włóczyłeś się po mieście.

— Włóczyłem się po starożytnym świecie, ale znudziło mi się i nawet owoc lotosu nie powstrzymał mnie od powrotu do ciebie, tak gorącym było pragnienie złożyć tutaj stare kości moje.

— Co ty wygadujesz?—spytała obojętnie.

— Przyznaj się, że chciałabyś mnie za męża.

Albo może przenosisz Karola? Lecz... gdyby los nie zezwolił na twój związek z Karolem, bo jesteście z jednej i tej samej maki!... Ucałuj mnie, nie żenuj się! Nie nauczę cię bębnić po klawikordzie, ale natomiast — żyć. Czy żyłaś ty już kiedy w swym życiu, piękny duchu lodowców?

— Monty, połóż się spać!

— Dobrze, biały aniolku, jeśli się tego domagasz. Jeśli zbudzę się milionerem, każe się wymodelować na wzór i podobieństwo twoje, boś ty naczyniem cnót... kuchennych, wzorem człowieka.

Róża nie rozumiała górnolotnego kantorzysty. Wiedziała, że był pijanym i czuła się w obowiązku wypalić mu perorę, oraz wyrazić swe zgorszenie nad jego niepoprawnością.

Zaspokoiwszy potrzebę mówienia, Monty nie słuchał jej wcale. Powłókł się do swego pokoju, aby za pomocą tabaki i zmywań głowy wodą, przygotować się na widowisko.

Gdy był na wyjściu, zajechała dorożka, z której wysiedli Wiktor i Edward z pakietami w ręku. Na widok bagaży pergaminowe oblicze Montego rozjaśniło się i rzekł:

— Wino! No, przysposobiłem się na ucztę przwoicie.

— Zapewne nie spojrzaleś na kieliszek przez cały tydzień?—zagadnął Edward.

— Zaiste, nie zgłupiałem jeszcze tak dalece. Co sobotę upijam regularnie moje zwierzę. Jako zafarana istota powiesz może, że to nie pięknie z mej strony, ale zwracam ci uwagę, iż „jest w tem wszystkim system.“ Dzisiaj na część Dory wypilem całą butelkę nektaru. Każdy gmach, uważasz mnie, winien mieć rzetelny fundament, a na czczy żołądek stypa ta przyszłaby zbyt niespodzianie.

— Niepoprawny facet!—rozmiał się literat.

— Tak — odparł przeciągle Monty. — Pod moim wpływem i ty przyjdiesz do rozumu. Nie tra-

cę nadziei. Po przedstawieniu popracuję trochę nad tobą...

W żartach Montego było dużo prawdy. O zdolnościach literata żywił niepoehlebne wyobrażenie, przeważnie dlatego, że w pismach jego dostrzegał często wpływ swego umysłu. Wogóle był źle do niego uprzedzonym; nurtowała w nim pokryjomu zaszczość, skierowana ku poziomym i zdrowym na ciele ludziom, zazdrość, którą pokrywała gruba warstwa wyniosłości i pogardliwej apatyi.

Gdy Monty poszedł wydać dyspozycje gospodyni, Wiktor zapytał Edwarda, co sądzi o kantorzyscie.

Literat zaczął trzeć dłonią policzek, co było oznaką zamyślenia i odrzekł:

— Nie łatwo znaleźć odpowiedź, bo to hieroglif, o którym trudno zawyrokować, czy wogóle cośkolwiek oznacza. Straciwszy równowagę duchową, błąka się po całym obszarze myśli, nie kocha nic i nikogo, nie wierzy w nic, ani nawet może w to, że jest najmądrszym z ludzi. Jest to anarchista duchowy, za idyotyczny na mędrcą, a o wiele za mądry na idyotę, jest to pustkowie, na którym już nawet chwasty nie wyrastają, zero i nieskończoność, wszystko i nic, trochę kantorzysty i filozofa, trochę artysty i pijaka, a najpewniej jest to poprostu człowiek nieszcześliwy.

Ciężkie buty Montego dały się słyszeć w przedśionku.

— Jak pan zadowolony ze swego zatrudnienia w City? — zapytał malarz kantorzystę, gdy dorożka ruszyła w stronę teatru.

Można było przypuszczać, że Montegiusz nie słyszał pytania. Przecierał chudy kark, na którym osiadła chmura wspomnień ze „świątyni Prawdy“. Wreszcie jednak wycedził od niechcenia.

— Zawsze ze wszystkiego jestem zadowolony; to filozofia życiowa. Jeśli mi nie idzie, udaję zadowolonego; to dyplomacya życiowa.

Na balkonowej galerii, ponad głównem wejście do teatru buchały z olbrzymich wazonów słupy ognia, niby ze smolnych beczek, ścieląc snopy rzęsiściej światłości na fasadzie, olbrzymich plakatach, kartonach, wyobrażających Dorę w naturalnej wielkości, na chodniku i nieprzebranem ludzkim mrowisku. W zmieszanej ciżbie wydekoltowanych dam, wyfrakowanych dżentelmenów, gigantycznych policemanów, osmołonych kwaciarek i hałaśliwych przekupniów najnowszych figlów, uwijały się, jak psiaki wśród gromady, chłopcy z plikami gazet, wrzeszcząc na głos cały: „Sporting Times!“ „Echo!“ „Star!“ „Specyall!“ „Paper!“ „Paper!“ Piskliwe ich głosy wylaniały się zpośród szalonego zgłędu, to znów zaprzepaszczały w stuku kopyt, brzęku dzwonek dorożkarskich, nawoływaniach przekupniów i w tym nieustannym szumie wielkiego miasta, który, jak fontanna, gra w uszach, unosi się z luną światel pod sklepienie i płynie ze zbitym powozów szeregiem gdzieś w labirynt ulic, żywy, wibrujący bez końca...

Do tego życia śmiały się oczy Gloryi z wyżyn kartonu, przed którym grupowały się coraz to nowe zastępy ludzi, przyglądających się ciekawie wschodzącej gwiazdzie teatralnej.

Tu przystanęli na chwilę trzej znajomi bohaterki wieczoru, ale Monty przepadł w natłoku, a Wiktor wnet podążył w ciemną uliczkę do ubocznych drzwi, aby powitać Dorę. Zapuścił się w głąb korytarza, gdzie przydybał go Edward.

Czekając powrotu posługacza, który udał się do garderoby, w celu oznajmienia Dorze ich wizyty, niecierpliwy malarz odepchnął drzwiczki, wiodące na scenę, i ogarnął ich głęboki pomrok, w którym tonęło tu wszystko. Pomiędzy szpalarami dekoracyj

plamki drżących światel przeciskały się z nieznanych źródeł, stłumione głosy i tajemnicze chichoty bląkały w cieniach. Naraz świetny blask elektrycznej lampy przeszył ciemnicę, drzewa, groty, zamki, różne dziwaczne obrazy powstały w niej, jak dzieki fantazyi wytwory, i zapadły się znów w noc ciemną. Wyrzuciło się z niej grono chórzystek, drżących w chłodzie i przeciągach, a jednak śmiejących się serdecznie.

Lily, w stroju francuskiej wieśniaczki, nadbiegła ku przyjaciółom, potem inna zaszeleściła suknią i stanęła przed nimi gorąco oczekiwana dziewczyna. Wyciągnawszy obnażone ramiona, leciała ku nim, jak ptak na skrzydłach. I z twarzy jej biła luna dziecięcej radości, fiołkowe oczy migotały jak gwiazdy, tak że zdało się, iż nadmiar szczęścia rozsadzi jej smukłe ciało.

Śnieżna gaza z polyskiem jedwabiu i bladzielonym podkładem, naszyta srebrnymi gwiazdkami, otulała jej kształty, odsłaniając alabastrowe ramiona i delikatną szyję, uwieńczoną perłowym naszyjnikiem. Suta girlanda z drobnych nenufarów przewijała się weżem od lewego ramienia przez pierś aż do rąbka krótkiej sukni, z pod której wysuwały się srebrne pantofelki. W ręce trzymała cały pęk olbrzymich liści i wodnych lilij z długimi łodygami, związanych srebrnym sznurem; na bujnych ciemnych włosach uszło się kilka listków i przyczepił się do nich welon długi, który to wznosił się jak motyl, to opadał jak mgła senna.

Edwardowi oczy chciały wyjść na wierzch z podziwu.

— Na Jowisza! Na Jowisza! — powtarzał sobie. — Szkoda, że moja żona niezdrowa; zjadłaby cię razem z perłami. Ale... czy dyrektor zawarł z tobą kontrakt?

— Nie—odparła lakonicznie, roztargniona.

— Tem lepiej; jutro wypadnie mu to drożej! Już mnie to pozostaw.

Dziewczyna pozostawiła mu chętnie wszystko, z wyjątkiem Wiktora, który z zachwyty nic nie mówiąc, ścisnął jej rączkę.

Nie widział jej od dwóch dni. Zdały mu się one wiecznością i, stęskniony, był skłonny chwilami uważać ją za wizję zbyt piękną, aby mogła być rzeczywistą, a wszystko za marzenie zbyt cudne, aby mogło ostać się na ziemi. Lecz teraz wierzył w jej i raju istnienie, bo czuł jej dłoń w swej dłoni, bo te jej spojrzenia otulały go w obłok takiego ciepła, takiego wesela, takiego szczęścia, że świat cały stał się jednym wielkim słońcem, a tem słońcem była Dora.

Przypinając mu dziką różyczkę do fraka, szepnęła zaploniona z przymrużeniami oczyma:

— Chodź, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Odsunęli się na stronę, po za wał dekoracyjny.

W zmroku źrenice jej nabrały fosforycznego połysku, Dora zmieniła się w czarownicę rusalkę, wynurzoną z baśni.

— To mój kochany teatr—szepnęła.—Pragnęłam ci go pokazać i tu powiedzieć, że...

Przyciągnął ją ku sobie, a ona, tuląc się do niego, dodała:

— Że cię kocham... kocham szalenie i usłyszeć...

— Że cię kocham, kocham szalenie — dokończył namiętnym szeptem.

Upojona, przymknęła oczy i zwróciła ku niemu usta.

— Niemalowane...

— W każdym razie twoje...

— Twoje... — wyszeptęła z bijącym silnie sercem.—Twoje usta, serce i dusza.

Echo jakiegoś smętku, jakiegoś skrytego żalu wkradło się w ostatnie jej słowo i rzuciło cień w ja-

sność ogarniającą Wiktora, cień, który jednak rozwinął się natychmiast bez śladu.

Oddalił się nad wyraz szczęśliwy, czując, że unosi z sobą i w sobie całe jej serce, wszystko, co jest w niej życiem.

Odrzuć młodą śpiewaczkę przykuła uwagę widzów, zawładnęła nimi i podbiła ich, zwłaszcza w końcu pierwszego aktu, uwydatniając swe wokalne i dramatyczne właściwości w całym blasku.

Glorya odkrywa w kochanku świetnego dworzanina i, na widok jego przy boku strojnej damy, pada na ziemię ze zranionem sercem, omdlała. Cisza wokoło, zdala płyną tylko tony pastuszej fujarki, przywołując na pamięć dziecięce lata, rodzinne wiejskie zacisze i serce jej wyrwa się do pól i gajów, do ptaków i śpiewu, do tej wielkiej ciszy i wielkiej swobody. Znika mglista siatka w głębi sceny i otóż ukazuje się drogi jej sercu obraz: młyn nad strumieniem na tle zieleni, skąpany w błędnym świetle księżyca. Koło młyńskie obraca się zwolna, woda szumi monotonna, wtrząca smętnej dumce pasterza.

Zapatrzona w swój srebrny sen, odnajduje w piersi zapomniane tony szczęśliwej młodości i wyciąga ramiona do tej muzyki, która wypiaستowała jej dziką duszę, do tej ojczyzny jak matka drogiej i jak marzenie pięknej. Śpiewa i oczy jej, łez pełne, biegają... w trzeci rząd krzesel do oczu artysty, wołając go z sobą w ciche ustronie, szepcząc mu znów: kocham szalenie...

Scena ta, melodia, śpiew, akcent prawdy, brzmiały w jej głosie, to niespodzielne przelanie duszy w tonów girlandę, wszystko to przemówiło potężnie. Zagrzmięła burza oklasków, bukiety i wieńce posypały się do nóg artystce, która, zbierając je, zerknęła z czarownym uśmiechem ku swym bliskim, jakby pytając:

— Cieszyście się ze mną?...

Rozpromienieni przyjaciele wyszli na foyer, Edward, nucąc fałszywie pieśń Glorii i zaprzysięgając się „na Jowisza“, że Dora jest „kapitałna“ — Wiktor, siłąc się poskromić nadmiar radości rozsadzając jej mu piersi.

Spoglądając na niego, literat uśmiechnął się serdecznie i rzekł:

— Gdybym był kobietą... No, ale ponieważ jestem tylko literatem, proponuję, abyśmy się ochłodziли...

Ochłodzili się przy bufecie, poczem Edward zwrócił uwagę na kilku dżentelmenów w niedbałych pozach, którzy palili papierosy opodal marmurowego kominka, zamieniając niekiedy słów kilka. I myśli jego wzięły obrót praktyczny:

— Podszepnę sprawozdawcom teatralnym, co należy napisać o Dorze.

— Mogliby to sami wiedzieć — zauważył malarz.

— Oni wiedzą, nawet na pamięć, na premiery mając w pogotowiu osobną paczkę frazesów. O to chodzi, aby je teraz skropić wodą, odświeżyć, trochę odjąć, trochę dodać. Każdy przeto ceni sobie, jeśli mu dopomożesz przy tem męczącym zajęciu. Dziś rzucę im garść spostrzeżeń.

Zagadał się ze znajomymi; dopiero gdy wszedł do sali siwy mężczyzna z pękiem gwoździków przy fraku, opuścił dziennikarzy i zbliżył się do dyrektora teatru, który zapytał go, jak mu się podobała gra miss Aubrey.

— Straciłem głowę; jestem bliski wydania na świat ody na cześć Glorii Aubrey. Jak ona działa na widzów! Co za artystka, aby z konwencyonalnej roli stworzyć taką kreację! Muszę panu powinszo-

wać; wzbogacił pan scenę o jedną rzadką, niepospolitą perłę.

Mówiąc, przyglądał się badawczo zimnej masce dyrektora, chcąc z niej wyczytać, jakie jego słowa robią wrażenie, i dostrzegł, że dyrektorskie oblicze ożywiło się zadowoleniem.

— Czy prawda — spytał półgłosem po chwili — że teatr księcia Walii czyni kroki, w celu zaangażowania miss Aubrey do roli Miss Helyett?

— Nic o tem nie słyszałem — odparł żywo dyrektor i zamyślił się. Gdy odszedł, Edward uśmiechnął się i mruknął pod nosem: „Z tej maki chleb powinien być smaczny.“

Tymczasem malarz rozglądał się za Montegiuszem i nie mógł pojąć, że nie spotkał go przy żadnym bufecie.

Chcąc „przeżuwać“ widowisko w zupełnym spokoju, kantorzysta porzucił towarzyszków i wziął krzesło na drugim piętrze z nieodstępnym tomem Szekspira w ręce. Lecz gdy podniosła się kurtyna, Szekspir zsunął się na podłogę i Monty nie podniósł go, gdyż Dora pochłonęła całą jego uwagę. Nie odejmując lornetki od oczu, wpijał się nią wzrokiem i raz po raz muskuł lewego policzka drgał mu kurczowo. W międzyakcie przyknuął powieki i siedział z pochyloną głową bez najmniejszego znaku życia, czyniąc wrażenie nieżywej, woskowej figury. Szekspirzysta przybierał zwykle tę postawę, ile razy zstępował do sklepu swych myśli. I teraz snuł się krążgankami w podziemnym gmachu swej duszy.

— Nie odczytali ani jednej litery z książki jej duchowego nastroju — myślał, mając przed oczyma obraz ślicznej dziewczyny. — Oczywiście dwie te popularne gęsi nie przypuszczają wcale, iż, jak powiedziano, na dnie każdego człowieka leży tom filozofii. Ale w ograniczeniu ich umysłu mieści się ów kamień, którego próżno poszukują mędrcy. Aby to życie uznać wartem życia, trzeba zapomnieć, że żyje-

my. Królestwo niebieskie stoi otworem jedynie dla ubogich w duchu... Jak wspomniałem, musi być to królestwo niebieskie, jak bajecznie cennym ów kamień mędrców. Monty, ty, bez ceremonii, prościutko powędrujesz sobie do Lucypera. Zamiast wiecznych kantyczek, steku starych panien... Pytanie tylko, czy znajdzie się tam Dora...

— Wiktor także jej nie widzi; bielmo zmysłowości przysłoniło mu oczy. Piękne, fenomenalne zwierzę, bo zdolne kochać gorąco. Bogacz, jakich mało, bo ma na zbyciu zapas żywotności. Jakby się ludzie zdumieli, gdyby im obwieścić, że zwie się to poprostu młodością... Świat, to niby ocean wielki; ilu ludzi, tylu bałwanów. Jedne na mieliźnie kołyszą się leniwie, nikle i senne, aż znikną z powierzchni w tajemniczych wirach. Inne z bezdennych wód wynurzają grzywy, pokorne, skurczone we dwoje jak Edward, lub jak Wiktor dumne w majestacie swej sily i młodości. Tam ocean pieni się, gra i huczy pełną, wspaniałą muzyką wagnerowską, tylko tam wre życie, bo wicher nie przechodzi niepostrzeżenie, lecz wryć się może głęboko w nieprzebrane wód bezmiary, bo w łonie tych fal tętnią odgłosy pełnego, wielkiego życia niezgłębionego oceanu... W tej orkiestrze Wiktor na wioleńczeli grywa; świat nie wyszał jeszcze z jego piersi owej dobroci serca! Dziwak! Może onby nawet mnie polubił serdecznie, może podałyby mi nawet rękę w potrzebie?... Wielki dziwak! Dobroć nie płaci; równa się z głupotą. Na takie zbytki pozwolić sobie mogą tylko magnaci, za co bliźni zowią ich szlachetnymi i wspaniałomyślnymi. Niechajby on zrzucił z siebie tę słabość, ożenił się z milionerką, a kochał swą Dorę. Jak można miłość-poezyję ściągać do poziomu małżeństwa? Ze swą serca dobrocią li tylko ślepym trafem może zawiąć do przystani szczęścia...

— Szczęście? Błada to abstrakcja, której cienie blakają się po ziemi. Słowo to wymawiają usta

nieszczęśliwych, a ci, co mieliby prawo zwać się szczęśliwymi, nigdy utyskiwać nie przestają lub niby rośliny wegetują. Jak kwiat paproci, jest ono wyobraźni wytworem, ideałem ludzkości, która goni za czemś, co nie istnieje. I to jedno już dowodzi, jak ogromnym nonsensem jest życie... bez Dory.

— Edward, ten opasły fabrykant książek, nauczył się władać piórem w Londynie, językiem w Paryżu, ale przenigdy nie nauczył się czytać w ludziach, wchłaniać w siebie opary istnień ludzkich, bo nie ma zdolności cierpienia. Największą wadą pism jego, że nikt na nie nie rzucił kłatwy. Wprawdzie czasami uda mu się znośna robota... Mądry wszakże człowiek myśli przeważnie nad tem, co inni myślą. Ostatecznie najmądrszą istotą, jaką znam, jest Monty, bo wyzwolił się z kajdan głupich pojęć dobra i zła, a niegdyś z pomocą haszyszu zrzucił z nóg kleszcze człowieczeństwa i wypływał w nieskończoność... Ha, gdyby raz chociaż unieść ją z sobą na tych skrzydłach w eteryczne sfery, w miłosnym uścisku spoić się z tą cudną, smutną duszą...

— Cóż jej dolega? Wczoraj zastałem ją straszliwie dręczoną przez wiedzmę melancholii, która coraz częściej kryje ją pod swój płaszcz czarny. Jak ona się z tem tai! Oni też nie dostrzegają, że jej pustotę, wesołość i miłość dziwny powleka koloryt. Czy życie jej ciąży? Czy ona czasami nie grywa przed sobą roli szczęśliwej istoty? Istotnie artystyczna natura; trudno przeto oznaczyć, ile jest sobą, a ile aktorką. Ona musi cierpieć, bo wybujała wesołość przeplata powój smutku. Po dniu bardzo jasnym często bardzo czarna noc nadchodzi. Interesujące dziecko, na którego łabędziej piersi niebezpiecznie złożyć głowę, bo któż zaręczy, czy śpiącego nie uderzy sztyletem. I ta miłość jej bucha z głowy i z nerwów niby własnoręcznie podłożony ogień, który ją samą niszczy i pali. We wszystkim ujawniają się ślady szalonego zapędu ku unicestwieniu

siebie, ku roztopieniu się w nirwanie zapędu, który jest znamieniem dusz wielkich, promienistych. A dalej odkrywam wyczerpanie nerwów, zanik substancji życiowej, histeryę i... O, jak chętnie leczyłbym ją haszyszem!...

Tu wspomniawszy sobie znów chwile przeżyte pod wpływem tego narkotyku, z którym na życzenie Dory wziął rozbrat, zastępując go alkoholem. Brzydki uśmiech wykrzywił mu usta, gdy wyobraził sobie Dorę upojoną haszyszem.

— Nikt jej tak szalenie nie kocha, jak ja—myślał. — Nie, nie jestem tego pewnym... Miłość nie może zagnieździć się w mej wstrętnej skorupie. Szkoda! Uczucie to wprawdzie poniża człowieka, oglupia, zbliżając go do bezmyślnej przyrody, lecz ludziom wówczas najlepiej, gdy w głupstwach i głupocie ugrzęzną; ztąd miłość, miła i kochana, ludzie na ołtarzu umieścili. Chciałbym kochać, bo rozum mnie tak rozpieka, tak mi cięży i zawadza, a w kantorze dotąd nie zidyociałem. Ale nie, jabym jednak nie oddał nic z mego rozumu... Wczoraj zapomniałem o sobie, o wszystkim, gdy smutne jej oczy spoczęły na mnie; miłosny szal objął me chore nerwy i czułem, jak moje *ja* zapada się w głębie jej istoty, lubo dla mego smaku jest ona właściwie za elegancką, za... schludną. Gdyby to niewinne dziecko przyzodzić w lachmany, byłaby pończotną jak wszystkie siedem grzechów głównych. Jakbym ja ją zepsuł!... Albo może przy niej wybielał? Pal dyabli; z Dorą gotów jestem śpiewać kantyczki po wsze wieki... Ale te żądze, ta miłość potracą o mnie jak przygodny wiatr i pójdą precz, a ja usnę znów pod całunem śmierci; żywot się wlecze, jak ściek cuchnący po piaskach... Czym ja tak marny, czy ten świat tak marny? Wszystko, wszystko marne... prócz Dory.

Podniósł się zwolna i poszedł na wódkę.

VII.

„Niech żyje Gloria!“—zagrzmiał głos Edwarda, gdy Dora w towarzystwie Wiktora, obarczona kwiatami, w stroju, który miała na scenie, przestąpiła próg pokoju, gdzie czekali ją przyjaciele. Lecz czy światło ją raziło, czy widok ludzi przestraszał, śnieżno-biała powiodła nieprzytomnem okiem wokoło, ciemna kapotka zsunęła się z ramion, bukiety wypadły z rąk i stała bez ruchu, słowa i myśli. Pierś jej wzniosła się, linie twarzyczki ściągnęły boleśnie i naraz runęła twarzą na sofę, wybuchając spazmatycznie płaczem. Z pod ściśniętych powiek trysnęły łez potoki, wszystko rwało się w kawały w jej pierś i zdało się, że duszę wyszłocha.

Natychmiast przypadła do niej Lily, rozpięła nieco jej stanik i ocierała pobladłe oblicze ręcznikiem. I łkanie zwolna ucichło, łzy wszakże płynęły jeszcze długo i obficie, potem leżała wyczerpana, półmartwa.

Przykre zdziwienie zamknęło usta wszystkim.

— Za wiele na jej nerwy—ozwał się wreszcie Edward.—Niechaj wypije bulionu i zaraz idzie do łóżka.

— Nie—zaprotestowała zcicha Dora.—Już przeszło. Byłam tak zmęczoną...

— Nie podnoś się, spocznij!—prosił zafrasowany malarz.

Wsparłszy się na łokciu, spojrzała mu w oczy z czułością i brzask porannego słońca rozjaśnił jej rysy, łzy na rzęsach zawisłe szklily się niby krople rosy. Śliczna była jak dziecko, które, nie mogąc dosięgnąć złotej gwiazdki z nieba, rozplakało się rzewnie, a potem, słodyczą ukojone, przychodzi do siebie i nanowo życiem radować się zaczyna. Krzywiła buzię maleństwo, zmuszając się do picia wody z koniakiem, którą podał jej Wiktor, i powtarzała z dziecinnym grymasem:—„niedobre, niedobre...”

Po chwili zerwała się z sofy.

— Siadajmy do stołu! Jakie mnóstwo dobrych rzeczy! Szampan, czekoladki uwieńczone koroną z róż i fiołków! Monty, czy dziś przypadają twoje urodziny?

— Na moje urodziny dyabli smolę piją — mruknął kantorzysta.

Rozchmurzyły się oblicza, głośny śmiech Edwarda odbijał o mury i nerwowy kryzys Dory poszedł w zapomnienie, gdy zaczął rej wodzić głos jej srebrny. Rozpamiętywano świetny wieczór w teatrze.

— Co ty sądzisz o polnym koniku swym filozoficznym mózgiem? — zagadnął literat milczącego kantorzystę, który niepostrzeżenie spozierał na Dorę, jakby szukając odpowiedzi na jakieś pytanie.

— Nic — odparł obojętnie.

— Powiedz mi, czy na niemyśleniu polega twa filozofia?

— Tak.

— I nie pomyślisz nic, gdy Wiktor zaprosi cię na swe wesele z Dorą?

— Nie.

— Ale dopilnujesz sumiennie winą?

— Tak.

— Jak cię szanuję, Monty, jesteś kapitalny!

— Nie potrzebujesz wcale zaręczać.

— Masz słusność.

— Tak często mam słusność, że aż mi to niemilo.

Wśród homerycznego śmiechu i ożywionej rozmowy nie dostrzeżono, że Dora zapada chwilami w posępne milczenie. Gdy wzrok jej padł na dziką różyczkę, przyczepioną do fraka artysty, szepnęła głęboko zadumana:

— Już zmięta, biedna... Ale zatrzymaj ją na dzisiejszy wieczór...

On utknął w nią smutne, pytające spojrzenie.

— Wypogódź swe śliczne czoło — szepnęła żywo, ślaniając się na jego ramię. — Bierz z życia, co

daje, i nie pragnij więcej! Uśmiechnij się do mnie, moje słońce!...

— Dlaczegoż mnie niepokoisz?

— Wszystko będzie dobrze ostatecznie...

Wyrzekła to tonem wesołym i, chcąc spędzić cię z twarzy kochanka, zawołała na Edwarda:

— Uważaj, aby Monty nie połknął butelki.

— Na to trzeba mieć dobrze wykrzywane gardło — wtrącił kantorzysta.

— Czy nie wykrzyczałeś sobie gardła w teatrze?

— Wobec wrzasku na scenie, dałem za wygraną.

— Jakież to kochany chłopiec, ten nasz Monty!

Na słowo „kochany“ Montegiusz oderwał oczy od talerza i odcień czułości błysnął w jego źrenicach.

— Nie gniewasz się na mnie, Monty?

— Nie — rzucił zmieszany, nie mogąc znaleźć innej odpowiedzi.

— Nalej wina Wiktorowi, zamianuję cię za to podczaszym cesarza Patagonii i ozdobię twe kolano podwiązką...

— Glori i Wiktora — dokończył Montegiusz.

— Mnie podaj mały kieliszek.

— Dla szpaków naparstki — bąknął.

Śmiała się i śmiała, aż tchu jej brakowało, z pewną wdzięcznością rzucając okiem na kantorzystę, którego oblicze, o dziwo, w promieniach tych spojrzeń rozjaśniło się, odmłodziło niezwykle. Nie widziano go tak ożywionym.

I Dora rzucała się w wir zabawy, chociaż chwilami bez powodu milkła, smutek powlekał jej rysy i zwieszała głowę, ściskając rękę kochanka, jakby chcąc się upewnić, że jest przy jej boku, że ją swą miłością otacza.

Tymczasem Lily, wesola wesołością przyjaciół, nie zaniebyszała obowiązków gospodyni; wybiegała raz po raz do przyległego pokoiku, znosząc wino

i przysmaki. Pod koniec kolacyi siadła do fortepianu.

Zaledwie uderzyła kilka akordów z „La Cigale”, Dora podeszła do niej z prośbą, aby pominęła „jej” aryę, poczem spojrzała znacząco na malarza.

Zrozumiał i zbliżył się do niej, a ona, pochyliwszy główkę do jego ucha, spytała szeptem:

— Czy chcesz pójść do kwiatów i całusów?

IX.

Ciemna kotara dzieliła salonik od biednego, mrocznego i niemal pustego pokoiku. Staruszka komoda ostatnie dni swe pędziła na honorowem miejscu, pod lustrem, w asystencji kilku wysłużonych krzesel i w towarzystwie odwiecznej sofy, na której rozpanoszyły się wieńce i bukiety. Wytarty kobierzec niepewnego koloru zlewał się w tonie z brudno-szarem, warstwą pyłu pokrytą obiciem ścian więziennych. Napróżno słabe światło świecy, stojącej na ubocznym krześle, walczyło z panującym tu mrokiem, bo ów król zacisza nie znosił obok siebie panna. Kwiaty jemu bodaj złożono w daninie, a ciemnowłosa dziewczyna, z białą piersią, w nenufary strojną, wydała się niby przygodną jaskółką, pragnącą poszybować w tajemniczych cieniach, ponad senem bagniskiem, gdzie wznosiła się silna woń kwiatów i błędny migotał ogień.

Dotąd zapędził się młodzieniec za dziką ptaszyką, chcąc gwałtem pochwycić i przytrzymać śliczne, lotne stworzenie. I ptak sam padł mu na pierś, ciśnień do niej miłośnie i szmer jakiś dziwny, uroczy muskał go po twarzy, upajając.

— Droga, powiedz mi nareszcie, kiedy będziesz moją?

Nie odpowiadała. Brwi jej ściągnęły się, tworząc nieznaczną zmarszczkę; w żenicach igrała iskra

namiętej pieśczoży, gdy, zatopiona w nim wszystkimi zmysłami, przymykała rączkami jego oczy, by przycisnąć do nich swe gorące usta, to znów oplatając mu szyję czułymi ramionami, zawisła na jego ustach, senna, w płomiennym uścisku.

— Doro, dlaczego milczysz?

— Mój najdroższy — westchnęła i po długiej pauzie wyszeptwała: — Zdejmę z ciebie niepokój, uwolnię cię od mego biednego serca...

— Cóż to znaczy, Doro?... Nie ma nic, coby mogło nas rozłączyć... Kocham cię nad wszystko, nad życie...

— Nad życie — powtórzyła jak echo. — Ja kocham cię nad życie, lecz jakżeż nikłe życie polnego konika? Cóż szkodzi, że on tam padnie gdzieś w trawie... kiedy umiera tak szalenie szczęśliwy...

— Doro! — zawołał przerażony.

— Postanowiłam umrzeć — wyrzekła szybko.

— Szalone dziecko!...

— Nie szalone — przerwała, tuląc się do niego. — Posłuchaj, kochany, powiem ci wszystko, przebiegam...

Zrzuciwszy część kwiatów z sofy, zaczęła rozwijać jeden z bukieków.

— Czemu kwiaty ubierają w papierowe zwoje? Nie cierpię.

Miotany wielkim niepokojem, pochwycił ją za ręce i spojrzał jej w twarz, chcąc odrazu wszystko z niej wyczytać.

Pocałowała go w usta, nie pozwalając przyjść do słowa.

— Jakie te białe róże piękne!

— O, powiedz mi, droga, że...

— Nie pytaj o nic — szepnęła błagalnie, nie patrząc na niego i, przymknawszy powieki, zaczęła go znów całować. — Te kochane usta! Tych ust mego kochania wyrzec się nie mogę, chociaż jestem panią siebie. Ubóstwiam je jak ciebie, bo one mi mówiły tyle słodkich rzeczy...

— Zkąd cisną ci się do głowy te szalone myśli? Mów mi, proszę, nie chcesz być moją?

— Nie mogę, nie powinnam...

— A więc to był szal przejęciowy!

— To wielka miłość, może za wielka... Ubóstwiam cię każdym drgnieniem serca i czuję się twą od chwili, gdy pierwszy raz spojrzaleś mi w oczy tak ślicznie, tak głęboko... Rzuciłeś mi w duszę dziwny, rozkoszny niepokój, który mnie czarował, obezwładniał. O, gdybyś ty mógł pojąć, co w takim momencie dzieje się w sercu dziewczęcia!... Poczulałam, że teraz nadchodzi miłość i przestrasz zdjął mnie, a przecież pragnęłam jej tak gorąco. Słaba, drżałam jak gołąb, gdy nad sobą jastrzębia posłyszysz, i zamykałam oczy.

— Ależ stoją przed tobą otworem podwoje do szczęścia.

— A jam za słaba, by wstąpić w te progi. Lękam się wszystkiego, nie mogę, nie powinnam...

— Moje biedne dziecko...

Usłał ją na łonie i stroskany, zapatrzył się w bladą twarzyczkę. Przez długą chwilę jedynie skoczne tony walca rozbrzmiewały wokół.

— Czy ze strony Karola istnieje jaka przeszkoda?

— Jakżeż podobnaby teraz odepchnąć go? Z wdzięczam mu moje dzisiejsze powodzenie, spełnienie życzeń. A gdy przybyłam do Londynu, w nim jednym znalazłam wiernego, bezinteresownego przyjaciela. Chora, czy w potrzebie, od niego jedynie nie wzbraniałam się przyjąć pomocy, gdyż on nie wymagał za to ani całusów, ani mego upadku. Był dla mnie bardzo dobrym... Nie kocha mnie on tak... ślicznie jak ty, mój artysto, ale uczucie to spoczywa głęboko w jego sercu niewzruszone, jak kamień na dnie strumyka. Lubo miłości jego nie pragnę, jakżeż mogę zamknąć oczy na jego poczciwość?

— Chcesz wyjść za niego?

— Nie. Dałam mu słowo, nie zdając sobie

sprawy z tego, co to znaczy miłość i małżeństwo. Serce me wszakże wzdygało się na to i byłam zadowolona, gdy ślub się zwałę. W żadnym razie nie byłabym wyszła za niego, bo nie kocham go i... Ale wyznać mu teraz prawdę przechodzi me siły. Czytam w jego spojrzeniu niemy wyrzut: „posługiwałaś się mną przez dwa lata, a gdy wyzyskałaś i dopięłaś celu, łamiesz słowo, mając pod ręką lepszego”. Byłoby to niecnym postępkiem.

— I przez wzgląd na to...

— Jest wzgląd inny, mój drogi, który wszystko wniwecz obraża: me zdrowie. Od czasu gdy chorowałam na szkarlatynę, jestem bardzo słaba, śmierć na mnie czeka... Już wtenczas, złożona chorobą, pragnęłam zrzucić z siebie cielesne okowy, gdy ciężar życia przygniatał mnie, stawał się nieznośnym. Nie raz później wśród bezsennych nocy zdało mi się, że śmierć na mnie zapuszcza zasłonę, że staczam się tam gdzieś w krainę wielkiego milczenia... Są dni, gdzie się sama zaledwie poznaję, nie dostrzegając czegoś w sobie, co było wczoraj i pierzchnęło... Żywotność błysnie jak meteor i wygasa. O, ile ja cierpię nad sobą, czując wyraźnie, że coraz szybciej upadam pod nawalem myśli, spalę się na popiół w ogniu mych uczuć, że dni me policzone... Nie pożyłabym długo, straciłabym głos, śpiewałabym znów w chórach lub wogóle do pracy niezdolna, przebywałabym w twej pracowni, zwiędła, brzydka, trawiona chorobą, na skraju życia, z poczuciem bezużyteczności, z żalem za przebrzmiałymi oklaskami, z tęsknotą, z rozpaczą nad utraconą miłością...

— Czy sądzisz, że kocham cię jedynie olśniony powodzeniem i pięknnością? O nic nie dbam, kocham cię poprostu, bo to jesteś ty... Dość mi czuć przy piersi twe serce dzikie...

— Moje ty kochanie!

— Niepodobna, byś miała kres położyć życiu, chcesz pozostawić mnie samego!

— Muszę. Tak lepiej dla ciebie. Myślałam nad tem wiele, wypłakałam może część twego bólu, lecz widzę, że powinnam oszczędzić ci stokroć większego cierpienia. Pomyśl bowiem, mój drogi, czem byłoby twoje życie, gdy uwierzyłbyś w to, co mówię, gdy spostrzegłbyś sam, iż nie ma dla mnie ratunku. Zresztą... wpływy uboczne... Coby powiedzieli twoi rodzice, którzy życzą sobie dla ciebie żony z wielkopąńskiego domu? Jakiem okiem patrzyliby na mnie i na ciebie, zwłaszcza wtenczas, gdy przestałabym błyszczeć na scenie? Te półsłówka, spojrzenia politowania pełne! Jak one bolą! Zmroziłyby twoje uczucia do mnie biednej, zatrutyby wszystko do reszty. A to życie tak ciężkie! Szedłbyś przez nie z kulą u nogi...

— Droga, czy nie pojmujesz, że twoja osoba i miłość dodałyby mi sił, były przystanią, do którejbym uciekał z zapasów życiowych?...

— Smutną jak śmierć przystanią... Nie mam zaufania do siebie, nie wierzę, abym mogła chociażby przez czas krótki być stosowną dla ciebie żoną, bo ty jednak jesteś jak inni brutalnym... Gdybyś mnie kochał jak dzisiaj, jaką byłaby twoja rozpacz nademną i moja rozpacz nad twoją rozpaczą! Nie musiałabym mieć sumienia... Zresztą miłość twoja ustąpiłaby miejsca przywiązaniu ojca, a ja tego nie chcę. O! — szepnęła z rozzwierającym bólem, zasłaniając rączką zaltawione oczy — ze wspomnieniem pieśczęt serdecznych widzieć w zwierciadle wędrujące ciało, uciekającą krasę, widzieć śmierć, odczuwać jak twoje uczucia bledną, dusza twoja odbiega odemnie!... Stokroć lepiej uniknąć tej niedoli, porzucić prozę nędznego życia, skończyć dzisiaj wśród jasnego szczęścia przy tobie, niż szamotać się z pragnieniami, cierpieć i cierpieć i nie móc uwolnić się od cierpienia... Bo pragnęłabym ogarnąć wszystko szczęście, opróżnić cię wszystkimi barwami tęczy, opleść cię powojami nadziemskich słodczy i rajskiej ciszy,

widzieć cię tak jasnym, jak słońce i sama żyć w tem słońcu...

— A więc bądź moją, porzuć te skrupuły, powierz się mnie i przyszłości z ufnością — szeptał, okrywając ją pocałunkami.

Jakby zwalczona ciepłem pieśczęt, spoczywała drżąc na jego piersi, tuliła się do niego z łuną na licach i zdało się, że przysły kamienne zapory myśli.

Było gorąco w pokoju, woń kwiatów silna i odurzająca, pomrok pełen czarodziejskich cieni i wesołych szmerów, a po za obrębem zacisza nie było nic...

— Bądź moją... ty nie wiesz, najdroższa, ile cię przy mnie czeka słodczy — mówił głos kochający.

— Nie — szepnęła, oddychając szybko. — Nie...

Po długiej chwili dodała:

— Nie chcę widzieć, Wiktorze, jak możesz być takim brzydkim!... Czyliż cię nie kocham, nie całuję tak ślicznie!...

Ścisnął rękoma głowę, bo burza rozsadzała mu czaszkę, a miłość, namiętność i rozpacz, miały nim jak wichry jesionu konarami, przykrym wyrazem marszcząc jego rysy. Do tych granic szafu i katuszy przywiedziony, chciałby iść w zapasy z tym demonom, który stanął mu na drodze do kochanki, i walczyć z nim zęb za zęb.

Poblady, z łzą w oku, ukrył twarz na wezgłowiu i milczenie zaległo pokój.

Lecz naraz podniósł się chór wesołych śmiechów i brzęk monet odbił o mury. W saloniku grano w pokera.

— Na Jowisza, kapitalny! — huczał organ literata. — Ależ Monty, ty duszę przegrasz!

— Byle nie pieniądze — odparł, podochocony kantorzysta. — Stać mnie na przegranie duszy, ale,

powiem ci, że dusze nie nie warte. Artykuł wyszedł z mody. Zawsze był to nieczysty interes z owemi duszami. Nawet Mefistofeles nie jest już tak głupim, aby łączyć się na takie plewy.

Zwolna głosy przeszły znów w szmer niewyraźny, głos jej nabral dźwięku, gdy wreszcie przerwała milczeniem:

— Wybacz mi, najdroższy... Zresztą drogę do ciebie zamyka mi przysięga, że nigdy niczyją nie będę kochanką. Matka moja, wiedząc, że wydzieram się na scenę, w obawie o moją przyszłość, kazała mi złożyć przysięgę na Biblii i oddała ten pierścienek na łożu śmierci. Upłynęło lat siedem. Ojciec mój chory, przybity tym ciosem, odebrał sobie życie. Pozostałam sama...

— I wzbranasz się poślubić mnie?... O, dlaczego ani na chwilę nie zapominasz o sobie!...

— Nie mogę, to przysięgło do mnie w ciągu długich lat przeżytych nad pochyłością. Kto, jak my w naszej sferze, puszcza jedną deskę ratunkową, aby uciec się drugiej, temu nie wolno zapomnieć o sobie, bo pada w błoto.

— Gdybyś istotnie mnie kochała...

— Nie przypuszczasz, co za walkę stoczyłam z sobą, gdy w czwartek przyszło mi uciekać przed tobą. Podczas gdy ty zapewne spokojnie paliłeś papierosa, ja u stóp schodów siedząc złamana, szlochałam bez pamięci, tak mi było żal cię opuszczać, tak wszystko rwało się w mem sercu do ciebie, chociaż... się ciebie boję... Czuję na sobie twoje wymowne, proszące oczy... Co się ze mną działo?!

— Szalona, okrutna! Ukazałaś mi się jak sen piękna, by pogiążyć w boleści bez granic!

— Przebac, przebac mi, mój drogi, tę wielką winę, lecz nie mogłam zerwać tych pętów niebiańskich, tak ciągnęły mnie do ciebie. Nie patrzeć w twoje śliczne oczy, nie czuć się kochaną, to znaczyłoby umrzeć zaraz. Targowałam się ze śmiercią, wykra-

dlam życiu ten cudny wieczór w teatrze i te błogie, czarowne chwile boskiego szczęścia, gdy biegłam jak koza po twojej pracowni, wyobrażając sobie, że jestem twoją żoną... Nie odwracaj twarzy, mój luby, przebac! To było moje całe szczęście... Czekaj na ciebie i miłość, są inne kobiety, zdrowsze, godniejsze ciebie, pokochasz, bo jesteś zdolnym kochać dla samego kochania... Lecz zachowaj mi swego złotego serca cząstkę ze wspomnieniem tej nocy, tego życia na wulkanie, zachowaj w duszy cień swej biednej Dory!

— Nie rozdieraj tak serca! Litości!

— Kto tam teraz u ciebie będzie gospodarował?

Na tę myśl ból wielki ścisnął jej pierś i jęknęła:

— O Boże, dlaczego to ciało moje takie chore, dlaczego zakuleś w nie tak płomienną duszę?...

Rozplakała się rzewnymi łzami.

Jakby chcąc rozpędzić grobowe widziadła, gromki śmiech Edwarda zagrał radosną pobudkę:

— Kapitalny facet! Ile razy ujrzyś dno kieliszka, przypomina ci się Szekspir.

— Ale ja nie przypominam się Szekspirowi, który pije wino w szczerzejszej kompanii. Patrz, wino się kończy!

— Późno, już trzecia godzina.

— Dopiero trzecia? Zapytuję cię zatem oficjalnie, jak spędzimy resztę wieczoru... bez wina?

— Za późno! — bronił się literat, zanosząc od śmiechu.

— Ojciec Szekspir twierdzi, że gdy wybije dwunasta, robi się wcześnie. Zaprzeczysz temu może, co?

— Ale Róża rozespala się już na dobre.

— Zwyczajnie kura — machnął ręką kantorzysta.

— Do licha, masz już dosyć...

— Marne chwasty rozwijają się bujnie po łada deszczyku, rzadkie jak ja rośliny trzeba rzetelnie podlewać. Do klubu masz niedaleko. Możesz nawet

pozostawić tutaj głowę... do pozłoty, ale nie zapomnij portmonetki.

Rozbrojony literat postanowił postarać się o wino, by zakryć dno Montowego kieliszka i, kończąc grę w karty, zapytał malarza, czy nie zechciałby mu towarzyszyć.

Tymczasem znękana dziewczyna nie przestawała błagać kochanka o przebaczenie.

— Na śmierć skazana, nie mam sumienia przykuwać cię do siebie, zawiązywać ci losu. Gdybym złamała przysięgę i wbrew woli uległa ci, jutro rozpaczalbyś tem więcej... A nie chcę uleść, nie mogę, nie powinnam. Dzisiaj wszystko szczęście zagościło mi w piersi, z takim szczęścia bezmiarem żyć niepodobna, bo ono zabija. Od niego droga wiedzie do nieba... Mam odwagę zeznać przed sobą, że nic więcej dobrego nie ma dla mnie na ziemi i że nie mogę być więcej źródłem szczęścia dla ciebie. Zamiast żegnać się z tobą i światem przez czas pewien, rozrywać, torturować serca nasze, patrzeć jak to wszystko szczęście kruszy się w ręku z dnia na dzień, o ileż lepiej przeciąć zaraz tę strunę słabego żywota, usnąć wielbiona, kochana na kwiatach młodości, wzlecieć „do ptaków i śpiewu“, rozwiać się w przestrzeni z precudną symfonią miłości w sercu... Nie mogąc żyć z tobą, bez ciebie ani chwili żyć nie chcę...

Mówiła spokojnie, ze skupieniem ducha, i w źrenicach jej, jak wówczas, gdy żegnała się z ukochaną pracownią malarza, świeciła aureola wzniosłości i duchowej potęgi. I w ramion jej uścisku było coś z anioła czułości.

Prośby, zaklęcia i przeciwstawienia rozbijały się o skalę determinacji.

Pod wpływem tych słów malarz nie mógł brać jej zamiaru za wpływ przejściowych skrupułów idealnej duszy, lecz gdy zamiar jej nagi stawał mu przed oczyma, nie pojmował sam zdrów i silny

i wzbraniał się pojąć. Było niepodobieństwem, aby miał utracić swą Dorę! Wierząc, w co wierzyć pragnął, uważał wszystko za oznakę wielkiego, lecz chwilowego rozstrojenia i wyczerpania nerwów. A ponieważ pod koniec upadła widocznie na siłach, gorączka i podrażnienie przeminęły, przypuszczał, iż po jego odejściu usnie spokojnie pod okiem przyjaciółki. Sen jeden, trosk ludzkich koiciel, mógł ją wywabić z rąk melancholii.

Tem rozumowaniem wiedziony, przyjął wezwanie Edwarda niemal z zadowoleniem i, tłumiąc głos serca, pożegnał Dorę. Gdy literat rozglądał się przed domem za dorożką, pociągnął za sobą do przedsiionka Lily i zaklinał, aby ani na moment nie spuszczała oka z Dory, aby nakłoniła ją do pójścia spać i czuwała nad chorą.

Wtem zaskrzypiały drzwi, zaszeleściła biała suknia i ptak raz jeszcze padł na pierś artysty. A on przycisnął do serca swe dziewczę z miłością kochanka i czułością stroskanego ojca.

— Otrzyj łzy, idź zaraz na spoczynek, moja dziecino. Jutro...

— Twoja dziecina prosi jeszcze o jeden śliczny pocałunek na dobranoc... Kochasz mnie? Powiedz!

— Nie kocham niegrzecznych dzieci.

— Dora była zawsze grzeczna. Powiedz, że mnie kochasz...

Wpatrzyła się w jego oczy z bezgraniczną tkliwością i słuchała słów jego z tak intesywną radością, jakby każde z nich mieściło w sobie skarby tego świata. A z ostatnim, długim, jak huragan dzi kim uściskiem rozwiała się treść jej serca.

Gdy drzwi za nim zapadły, ogarnęła ją fala znużenia; wsparła się o ścianę i zamknęła oczy, drżąc na całym ciele. Drgały w niej stargane nerwy, niby suche liście za wichru powiewem, zawieja niepochwytanych myśli pędziła gdzieś w noc czarną i w ślad za nią biegł głuchy szept ust pobladłych: „Koniec, koniec...”

W ponurem zaciszu cienie sarkofagu rozlały się po śnieżnej postaci dziewczęcia, które spoczywało na kwiatach ciche, kredowo białe, półmartwe.

Zagasła luna miłości, w której kąpała się przed chwilą, i świat poczerniał, postradał wyraźne kontury, oddalił się gdzieś daleko. Jedna nić łączyła ją z nim jeszcze, pajeczka nić duchowej miłości z nim, z tym dalekim, półrealnym cieniem, który był w jej oczach wszystkim, co drogiego miała na ziemi. Z zaniemógłstwem i upadkiem ducha pierzchnął ostatni promień radości i nie stało w niej materiału, z którego odruchowo wytwarza się poczucie szczęśliwości. Dość było jej dotknąć ustami kielicha uciech światowych, aby się upoić i z zenitu wesela stoczyć w głębie przesytu.

Czyż przeto dary, które fortuna u stóp jej złożyła, mogły być dla niej szczęściem? Jak najpiękniejsze ziarna, rzucone na martwą rolę, bezwartościowym były pyłem, gorzej — nieszczęściem. Pod nawałem zbytecznych dóbr, które, zatruwając organizmy społeczne, całe narody ściągają ze szczytów siły i potęgi, upadała i upadała tem szybciej, że wątłą i słabą była jej istota.

A przecież wyrывała się ku tej jasności pod naciskiem elementarnego prawa natury, które wszystkim ludziom jedną wskazuje drogę: do szczęścia, do życia i do zużycia się i śmierci. Gdy miłość zastukała do wrót, zamykających żywotne zasoby człowieka, zawrzało w niej wszystko; rozegrały się struny serca, wynurzyły skarby wyobraźni i umysłu, ocknęły ambicje, rozszalały pragnienia. I rozwijała się niemal w oczach, lecz — są rośliny, które mogą istnieć tylko podsycane wilgocią gleby, a podlane strumieniem wody, wystrzela, rozkwitną, by umrzeć za chwilę...

Biegła szalonym pędem po drodze swego życia.

Kochała i chciała jak najgoręcej kochać, być kochaną, żyć i użyć, wyczerpać do dna wszystko swe szczęście, bo prócz charakteru i temperamentu, pchał ją tajemniczy głos jej natury, który szeptał: „tyle kwiatów szczęścia dla ciebie, nic więcej...“ Widząc te kwiaty tuż przed sobą, rzuciła się ku nim bez pamięci, aby i tych uszczknąć jej nie wzbroniono.

W miarę jak biegła, odczuwała dobitnie rzeczywiste granice swej szczęśliwości, po za którymi wielka niedola w postaci niemocy czyhała na nią, niby groźny anioł z ognistym mieczem u wrót raj, zakłócając nieraz pogodę dni słonecznych, siejąc wokół niej nieokreślony smutek, rzucając ją w objęcia czarnej melancholii. To przeświadczenie o swej słabości, jak robak toczyło tę cudną różę jednodniową, wżarło się w duszę, w organizm, wyssało energię życiową i stopniowo, okrutnie, brutalnie zabijało. Próbowwała walczyć — napróżno; tem boleśniejsem stawało się poczucie bezsilności, próbowała uciec, lecz rzeczywista słabość organizmu, niby skryty wir, pociągala ją w koła smutnych rozmyślań.

A teraz, lubo błogą była świadomość, że zdołała zerwać wszystkie kwiaty z ogrodu swego życia, zmęczona, wyczerpana nerwowo, syta całusów i pieśszcót, ujrzała przed sobą wyraźnie nieublagane widmo. I padła przed niem z wielką rezygnacją smutku. Tu stała na kulminacyjnym punkcie niedoli, w którym człowiek przestaje wyciągać ramiona do szczęścia, gdy już zgola niczego od życia nie pragnie. Samo słoneczne szczęście, to, które posiadała, i to, którego dosięgnąć nie mogła, wydało jej się czczem, niewartem pożądania, marnością nad marnościami. I jakby duch jej przekroczył już sferę ziemskiego bytu, spozierała na siebie z oddali, z bladym odcieniem żalu, jakim przejmowałby ją widok usychającego kwiatu.

Owładnęła nią chęć zupełnego spoczynku, odpowiadającego ogromowi minionej radości i rozkoszy

upojenia — nostalgia śmierci. Myśli samobójcze nawiedzały ją często, jak nietoperze w ciemnicy, szubując w mistycznych mgłach rozstrojonej głowy, przejmując dreszczem lęku, lecz zarazem zapowiadając zmęczonej duszy spokój, zaciekawiając egzaltowane dziewczę tajemniczością, przynęcając spragnioną wzruszeń artystkę obietnicą dziwnej sensacji. „Byłoby dobrze nie żyć” — mówiła w duszy, gdy fala żywotności odpływała ku zaświatowym brzegom, „byłoby dobrze umrzeć” — mówiła, gdy skłonna dramatyzować swe życie aż do końca, odmalowała sobie obraz swego zgonu, nocą, po występie w teatrze, przy boku kochanka.

Obraz nieraz przesunął się przed oczyma duszy, wnet wstępował do niej nieproszony, natarczywy. Pod jego urokiem nasunęło jej się sto argumentów, przemawiających za zamiarem, i poczyniła przygotowania, każdy prawie szczegół odrysowując sobie z drobiazgowością kobiety i aktorki, która przejmując się rolą Uchwyciła się tej cudnej, odurzającej kreacji, utożsamiając się z tą do Glorii podobną dziewczyną, umierającą w kwiecie wieku, w słońcu miłości.

Rzeczywistość zlała się w jedną całość z wytworem fantazyi. Tu kreacja się kończyła; jutro nie istniało dla Glorii. Straszne i ponure, zdało się pełnemi wrogich duchów i straszdeł czeluściami, do których wejść miała ze świetnego, zaczerpniętego palacu szczęścia. Nie, stokrotnie nie! Umierała oddawna, musiała umrzeć wkrótce, a zatem najlepiej natychmiast rzucić się w wielką falę, ku zaświatowej tajni.

Wrodzony zapęd, który skutkiem choroby zbudził się i nurtować zaczął w podwalinach jej organizmu, przybrał takie rozmiary, stał się tak potężnym instynktem, iż w końcu pogoni za szczęściem rzekło sobie biedne dziecko: „odlecę do siół, zielonych, do ptaków i śpiewu, tam daleko do mej mamy, gdzie mieszka... szczęście.”

I leż kilka stoczyło się na jej lica, leż płynących z umysłowego znękania, które rosą spadają na trawę.

Wreszcie rozwarła zdumione oczy.

Lily siedziała obok niej w milczeniu, patrząc się w twarzyczkę, na której wyryła się jakaś myśl poważna. Zrazu sądziła, że Dora omdlała, co przytrafiło się jej niekiedy, lecz uspokoił jej obawy cichy oddech przyjaciółki.

Dora odetchnęła głęboko, z ulgą bardzo chorej osoby, która nie odczuwa więcej bólów, i odezwała się łagodnym, zwykłym głosem:

— Podaj mi herbaty i zagraj mi teraz „moją” arye. Dobrze?

— Ale zaraz potem pójdziesz spać. Uważaj na swe zdrowie, tak nas niepokoisz. Pomnij, że wkrótce zostaniesz jego żoną, a on cię tak kocha, taki piękny i dobry...

— Prawda, jaki on piękny i dobry? Niema pod słońcem takiego człowieka. Zajdzie wysoko — mówiła jakby o kimś niewidzianym dość dawno, który wyjechał w bardzo daleką podróż.

Na wezwanie siostry Monty wniósł herbatę, popatrzył się na Dorę i poszedł.

— Natychmiast pójdziemy spać, Doro. Niechaj oni sobie grają w karty sami. Róża poszła już na górę.

— Pocziwa Róża — szepnęła Dora, żegnając się z nią w myśli.

— Chodźmy!...

— Nie, droga Lily. Obiecałaś mi zagrać „moją” arye...

— Lecz jesteś tak znużoną, wyglądasz tak blade...

— Wypocznę. Zagraj mi tę pieśń, proszę cię bardzo. Przyrzekałaś...

Lily zawahała się. Dorę robiła na niej wrażenie pe prostu bardzo zmęczonej i nie rozumiała wcale, dlaczego Wiktor z takim niepokojem mówił o jej sta-

nie. Zwykła, przesadna troskliwość zakochanego! Dora, nie będąc zdrową, życzyła sobie czasem śmierci, lecz któżby to brał na seryo?

— Moja droga Lily — mówiła Dora, obejmując ją czule za szyję — przyrzekłaś, zagraj! Dziś moje święto. Jakaś ty bardzo dobra! O ile lepsza ode mnie!...

— Koniecznie? — spytała, podbita chórzystka.

— Koniecznie, na koniec...

Gdy zabrzmiały pierwsze tony smętnej pieśni, oczy dziewczęcia zalsniły wspaniałym ogniem. Wszystko, co przeżyła tego wieczora, przyszło do niej raz jeszcze, uśmiech rozjaśnił lica, prąd ciepła przeniknął ją całą i wyciągnęła przed siebie obnażone ramiona, jakby opleść pragnęła niemi swego kochanka, najcudniejszą pieśń swego życia...

Ramiona opadły, smutek legł na twarzy. Łowiąc uchem tony, podniosła się na siedzeniu, myśląc:

— Wszystko, jak pieśń, przebrzmiewa... Życie to pieśń, prześpiewałam i wyśpiewałam je i, ot, jestem jak polny konik biedna... Nic, nic już niema dla mnie na ziemi... Coś mnie do niego przykuwało, a przecież w ostatniej chwili musiałam uciekać. Lecz niczego nie żałuję; wszystko co piękne, posiadania godne — los usłał mi dziś w darze. Żyłam...

Wzrok jej padł na ciemną szybę zwierciadła, w którego głębi migotało światelko świecy. Powstała i zbliżyła się do lustra.

— Piękne oczy, wspaniałe włosy — pomyślała, przeglądając się. — Co też będą o tem pisali w gazetach? Będą żałowali śpiewaczki... Taka była młoda i piękna, tak ją wszyscy podziwiali, tak ją kochali i taki śliczny artysta tak ślicznie ją kochał i całował... Serca ich, spowite w lazury, śpiewały najśłodsza melodyę wszechstworzenia i... wszystko jak pieśń przebrzmiało...

Naraz przycisnęła rączki do bioder.

— Jakie biedne i chude!... Jakie to wszystko jednak marnie! Niema szczęścia na tym świecie... Nie miałabym nawet dziecięcia! Biednam ja...

Dwie łzy z najgłębszych kobiecego serca tajemników stoczyły się w ziemskie prochy.

W grobowe cienie rzewna muzyka lała cichą rezygnację i głęboką tęsknotę za temi szczytami, gdzie tony szły na wieczny spoczynek.

Splecione ręce przycisnęła do czoła i pograżyła się w myślach, pragnęła zedrzyć zaslonę z tajni grobu. I jakieś bezbrzeżne, mgliste przestrzenie zamajaczyły niewyraźnie przed jej oczyma, muzyka jakaś znana grała w oddali, wspomnienie matki i ojca mignęło jak cień, tęsknota wezbrała w piersi i w przestrzeniach brask rozplywał się złoty.

Uniosła szybko głowę i szepnęła:

— Czuję, że muszę... Muszę... Będę silną!...

Naraz zniżyła się do komody, pośpiesznie wysunęła dolną szufladę, wsunęła rękę pod warstwę bielizny i, pochwyciwszy ciemny flakonik, przyglądała mu się chwilę z odcieniem naiwnej ciekawości, aż przycisnęła go do ust.

— Słodkawe — uleciał szept z oddechem.

Przez moment stała w oczekiwaniu, w osłupieniu, potem ułożyła się na posłaniu z zieleni i zanuciła zcicha finał swej pieśni.

Pęk wodnych lilij, pochwyciwszy jedną ręką, drugą ujęła ponsową różyczkę z bukietu kochanka i do ust ją przychyliła. Tę melodyjną spłynęły po znękanem obliczu wielkiem rozmarzeniem, róża zsunęła się z wolna na śnieżne piersi. Przymknęła powieki...

To on był tam! Dworzanin porzucił jasnowłosą damę i czekał na Gloryę przy strumieniu, na tle pól i gaju, patrząc się na nią miłośnie...

— Mój kochany! — wyszeptowała.

O, jaka była zmęczona! Głowa jej ciężyla, sen

ogarniał... Uśmiech zaigrał wokoło rozchylonych warg, ręka zadrżała, jakby zrywając się do obrony, naraz przed oczyma duszy mignęło błyskawiczne pasmo jej życia i miłości, streszczone do minimum i — gdy ostatni akord tęsknej pieśni skończył wśród murów zakątka — zimna, sina gaza zapadła na czoło, na lica, na piersi i piękna dziewczyna spoczywała bardzo cicho...

XI.

Zawrzało. Szybkie kroki, urywane słowa, szlochanie. Jeszcze chwila i wstąpiło milczenie. Wszyscy się porozbiegali po... nie wiedzieli po co.

Monty jeden pozostał. Z rękoma w kieszeniach, z papierosem w kącie ust, z przymrużonemi oczyma, stał jak głaz nieruchomy przed kominkiem, patrząc na żarzące się węgle. Pił wiele, ale dopiero teraz poczuł zawrót głowy. Nie ogarniał umysłem doniosłości zdarzenia i zauważył, że „niezwykłe rzeczy dzieją się tak zwyczajnie, jak najzwyczajniejsze“ i że „wszystko jest naturalnem.“ Lecz zaczęło się w nim coś budzić, światło rozpoznania błysnęło na jego zakrzepłych, pargaminowych licach.

Wyteżył słuch w stronę przyległego pokoju, pytając się, czy ona żyje jeszcze, jak umiera...

Z przedsionka doleciał szelest przyśpieszonych kroków i brzydki, pogardliwy, srogi uśmiech, jaki szpecił musiał krwi łaknącego inkwizytora, wykrzywił mu usta.

Splunął.

— Hałasują, szaleńcy — mówił w duszy. — Potracili głowy, których nie mają do stracenia. Oni nawet gotowi zmuszać ją do życia, egoiści! Nikłe kreatury! I oni twierdzą, że ją kochają, bo rozpaczają nad tem, że ona... szczęśliwa, ale nie rozpaczali, że tak straszne bóle targają piersi ludzkiej! Półgłówki!

Nie poruszył się z miejsca; lekkie drżenie wstrząsało wątłemi jego członkami, odbierając mu nad nimi władzę. Twarz zaczęła układać się w coraz inne linie.

— Mądra, bosko mądra Dora! — myślał. — Nie wtenczas, gdyś wychylił do dna czarę goryczy, aby rozpocząć świeżą, lecz gdyś stanął na szczycie szczęścia, idź!... Czegóż tu czekać jeszcze?! Tchórz jeno głupi złazi z piedestału wesela w pokrzywy, ciernie i głogi, wlecz się ślimaczym krokiem, koląc się co chwila, lży roniąc, zawodząc.. w tej nudnej wędrówce przez życie, przez ten czyściec, wiodący do wielkiego znaku zapytania... Ciekawym, dokąd się też takie bydlę wlecz? Ha, jak ten żywot jest marnym, a, co gorsza, bezdennie idyotycznym!...

— Mądra Dora; ona pojęła jego cenę i wartość. Wielka i prześwietna, bo zdolna działać w zgodzie z sobą! Największa z artystek, bo umiała umrzeć pięknie!...

— A ja?... Pójdę znów włożyć kark w me jarzmo, zliczać cyfr szeregi za cenę garstki srebra, aby było czem napoić wstrętne zwierzę. Od lat kilku rewolwer czeka przy mem łóżku, a lubo żadna idyotyczna nadzieja jaźni mej nie splami, wegetuję jednak, ja brzydal, cherlak, niedołęga, urodzony bankrut!... W mem życiu nie było stylu, nie mogło go być i ziarna mą ręką rzucane jedynie chwasty wydawać mogły. Urodziłem się w przeklętą godzinę, a przecież włóczę te żądze, zgryzoty, wzgardę, mego ciała i pogardę świata, pasę te bóle, upijam, kocham nawet... Bo było tło, na którem pięknie błyszczały w mem oku, była Dora, ta Boska gwiazda mych dni posępnych, ta słodycz, ta śliczność, ta... mądrość. Anielska jej istota podły proch w piasek zamieniała złoty...

— I serce moje rwało się, jak ptak, do lotu, lecz... skrzydła były złamane i spadało znów w ocean nicości... Pragnąłem ją kochać każdym nerwem,

schronić rozbite serce pod skrzydła tej szczytnej duszy, ale nie mogłem... Urodzony bankrut. Nie byłem nawet zdolnym zazdrościć mu pieśczęt, lecz... o! jak ja mu zazdroszczę tej Boskiej zdolności kochania!... Woda płynęła w mych żyłach, dno duszy przykryła kałuża goryczy! Boleśnie jest kochać bez wzajemności, ale pragnąć zanurzyć skolataną duszę w krynicy słonecznych przezroczy, a nie móżdż — to tragedya!...

— Miałem ją wszakże przed oczyma codziennie, oddychałem jej powietrzem, przyjaźń żartami zdobywałem. Czegóż jabym dla niej nie uczynił?... Teraz pojmuję, jakim była dla mnie skarbem! Zapora wyższości i dumy od ludzi odgradzony, przeszedłem przez to życie samotny, zapomniany przez wszystkich, przez nikogo niezrozumiany, urodzony bankrut. Czyż mogłem upaść tak nisko, aby pozwolić deptać profanom po świętych zgłiszczach mej istoty? Żyłem sam w sobie, samotnością silny. I świat nisko u nóg mych spoczywał, zajmujący jak studyum, dopóki tej cudnej duszy skrzydła rozwiewały mgieł czarnych chimury. Znikła... A! com ja stracił!...

Rozpaczliwym ruchem przesunął ręką po czaszce i łady twarzy ściągnęły się kurczowym bólem.

— Kola mnie teraz obnażone cierpienia, wpijają sępie pazury w jądro mej duszy, tego źródła mych nieszczęść, katuszy siedliska, a ja, głupiec, pójdę znów włożyć kark w me jarzmo, pójdę...

— Niel... Nie pójdę. Dość tej wstrętnej farsy! Przecież w swój rozum nie zwątpiłem jeszcze. Plunę na świat marny, cisnę rękawicę okrutnemu losowi, który w to mrowisko wprowadził nikczemnie taką jak moja istotę. Jedną, jedyną mam własność — życie. Gdzie, któż panem tak możliwym, chciwym i tak okrutnym, aby nawet po to nędzne życie moje

wyciągać rękę?... Nikt, nikt niem nie rozporządza, bo ono jest... moje.

— A tam?... Coś tam jest, chociażby... nie. Dość jednak wiedzieć, czego niema... Niema ohydneho ciała mego i niema... tego świata. Tam w ślad podążę za swą gwiazdą. Może tam kochać można... Ha, z pewnością, gdzie taka jak Dora za gościła istota, tam dobrze być musi...

Burza szalała w tej piersi, pokrytej kamieniem martwoty. Po chwili przatarł ręką czoło, zapalił papierosa i, napelniwszy szklankę winem, przyglądał się szumowinom z ciepłym uśmiechem. Nareszcie wychylił ją do dna...

Powłócząc pantoflami, podszedł ku kotarze, ale zatrzymał się w pół drogi, szukając czegoś po kieszeniach. Łagodny świt radości przesunął się po jego rysach, gdy spostrzegł na stole zapomniany tom Szekspira. Pośpiesznie schował go w zanadrze i, odchyliwszy rąbek ciemnej kotary, zapatrzył się...

— Idę — wymówił szeptem.

Na trzecim piętrze padły dwa strzały z rewolweru, ale przebrzmiały wśród głośzy nocnej, nieposłyszane jak... jego życie.

I cisza grobu legła nad zakątkiem.

Na śniegach, kwiatach i zieleni spoczywał młodzieniec, z ręką na marmurowem czole dziewczyny, na której cudnych licach zawisł ton jutrzeńki nowej i srebrny uśmiech z niebios na ziemię zesłany i szepczący po raz ostatni czałowne słowa: „mój kochany...”

Ot, uleciała ptaszyna z pomroku bagniska na zielone sioła, do ptaków i śpiewu, uleciała hen daleko, aż tam... w słoneczną krainę szczęścia.



SPIS RZECZY

Przedmowa	3
Błazen	7
Przekupień gazet i myśli	19
Ironie życia	33
Gentleman John	69
Dora	109
